

OLSZTYN
60 | 2017

borussia

KULTURA ••• HISTORIA ••• LITERATURA

UWAGA!
ostatni numer
Borussii

WYWIADY

Z PRZEMYSŁAWEM CZAPLIŃSKIM, WOJCIECHEM KASSEM,
TAMARĄ BOŁDAK-JANOWSKĄ

POEZJE

ZBIGNIEWA MIKOŁEJKI, KAZIMIERZA BRAKONIECKIEGO,
JANUSZA DRZEWUCKIEGO, ANTONIEGO JANOWSKIEGO,
WALDEMARA KONTEWICZA

O LITERATURZE I KULTURZE NA WARMII I MAZURACH

EWA KOZŁOWSKA, ANNA MATYSIAK, MAREK BARAŃSKI,
JERZY LENGAUER

GOŚCINNIE

DECLAN KIBERD, GEORG M. BROWN, MARGARET ATWOOD

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Zrealizowano przy współudziale finansowym Samorządu Olsztyna



Redakcja:

Redaktorzy naczelni: Kazimierz Brakoniecki, Robert Traba

Zespół redakcyjny:

Iwona Liżewska, Maryla Paturalska, Janusz Pilecki (grafik), Ewa Romanowska,
Joanna Szydłowska, Rafał Żytyniec

Asystent redakcji: Paweł Sarnowski

Rada Redakcyjna:

Piotr Mitzner, Zbigniew Mikołajko, Anna Nasiłowska, Iwona Anna NDiaye,
Hubert Orłowski, Leszek Żyliński

Korekta: Emilia Janowska

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Janusz Pilecki

Skład i łamanie: WZORCOWNIA | www.wzorcownia-art.pl

Fotografia na okładce: Janusz Pilecki

Druk: GUTGRAF Olsztyn

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia“

Adres do korespondencji:

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia“

ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn

tel./fax 89 534 00 26

www.borussia.pl

zamówienia publikacji: dystrybucja@borussia.pl

Numer 60/2017 jest ostatnim zeszytem przygotowanym do druku przez WK „Borussia”. Numer pierwszy ukazał się latem 1991 roku. Redakcja serdecznie dziękuje wszystkim fundatorom, autorom, czytelnikom, członkom stowarzyszenia, sympatykom za wspieranie i popularyzowanie czasopisma oraz bliskich nam zasad i idei otwartego społeczeństwa, demokracji obywatelskiej, szlacheckiego humanizmu.

PL ISSN 0867-6402

Nakład: 500 egz.

SPIS TREŚCI

POEZJA

Zbigniew Mikołajko | Heilsberg, to miasto. Rzeczy z lat 2016-2017 5

GEOPOETYKA

W niewiadomym celu, w niewiadomym kierunku.

Z prof. Przemysławem Czaplńskim rozmawia Grażyna Banaszkiewicz 11

LITERACKIE MAZURY

Promiennosc Prania. Z Wojciechem Kassem, poetą, kustoszem Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu, rozmawia pisarz Jan Jastrzębski z Gołdapi 27

POEZJA

Wojciech Kass | Możemy wyruszać, Na co taki dzwoni?, Tym piórkem, Do Roberta Walsera 49

Janusz Drzewucki | Wyprawa przez Warmię i Mazury 54

OSTATNI MAZUR?

Anna Matysiak | Rzeczy niestworzone. O Erwinie Kruku 61

POEZJA

Kazimierz Brakoniecki | Kruk i kos. Pamięci poety Erwina Kruka 69

KULTURA NA WARMII I MAZURACH

Marek Barański | Owoc granatu po raz pierwszy. Subiektywna kronika kulturalna lat 2014-2017 76

Ewa Kozłowska | Skrajna konkretność kultury w Olecku 86

Jerzy Lengauer | Lokalna kultura w Kętrzynie 92

WOLNA TRYBUNA

- Hop! Hop! Hop! Traktat o samotności – dialog położniczy.
Rozmawiają **Tamara Bołdak-Janowska i Antoni Janowski** 101

POEZJA

- Antoni Janowski** | Istota (Widoczność, Szybkość, Oczy, Podobieństwo, Całość, Miłość, Ramiączko, *** [Naleciało...], *** [Przez dzieciństwo...], *** [Żyję...], *** [Gniazdo...], *** [Tulipan...], *** [A raz...], Łagodność, Powód, Ciąg dalszy, Światło, Powrót, Kiedyś, Opowiem twój koncert, córko, i twoje słowa, Chcę tego dialogu, Indze Rulff, fotografce z Drezna, Taka mała, Opowiedzieć ojca, Istota) 137

JOYCE I MY

- Declan Kiberd** | „Ulisses” Joyce’a i my. Czytanie,
tłum. Kazimierz Brakoniecki 149

POEZJA

- Waldemar Kontewicz** | Jakób Montwitz. „Tragedja Właściciela Kantoru Bankierskiego”; Canyon Creek; Żelazna w 1975 roku 160

ARCHIWUM LITERACKIE

- Odczytując XVII-wieczny poemat na nowo. Marcina Borzymowskiego „Nawigacyi” pierwsze tłumaczenie na język niemiecki [„Von Danzig nach Lübeck – eine Meeresfahrt im Jahre 1651”, red. J. Vietig, tłum. B. Hartmann, Colloquia Baltica, Bd. 23, hrsg. v. Ch. Pletzing]. O książce rozmawiają **Jürgen Vietig, Christian Pletzing, Miłostawa Borzyszkowska-Szewczyk** 166

POEZJA

- George M. Brown** | Noworoczne opowieści, Tonący bracia,
tłum. Andrzej Szuba 182
- 2 **Margaret Atwood** | Maria, tłum. Waldemar Kontewicz 185

VARIA

- Wojciech M. Darski** | Lament nad rozlanym jeziorem,
Raport z końca Europy 194
- Stanisław Gut** | Zrozumieć autyzm. O akcji „Być jak autystyczny hipster” 197

RECENZJE

Jerzy Lengauer Acting-in [Leo Lipski, <i>Powrót</i> , Warszawa 2015]	201
Mirosław Słapik Wokół Kopernika, czyli kolejna konstelacja Krzysztofa Beśki [Krzysztof Beśka, <i>Konstelacja zbrodni</i> , Gdańsk 2017]	210
Mirosław Słapik Aby miasto stało się idealne... [Ewa Kozłowska, <i>Krótkie historie</i> , Olecko 2016]	213
Anna Matysiak Idziemy w noc z literkami [Janusz Radwański, <i>Kalemberek</i> , Warszawa 2017]	217

POŻEGNANIE BORUSSII

Kazimierz Brakoniecki, Robert Traba Pożegnanie	221
Wojciech Marek Darski „Borussii” na <i>Do widzenia</i>	223

POEZJA



Zbigniew MIKOŁEJKO

Heilsberg, to miasto

Rzeczy z lat 2016-2017

*Lecz kto się treściwemi chce Rytmami wslawić,
Ten musi dzień choć ieden w Heilsbergu zabawić.*

(Stanisław Trembecki, „Gość w Heilsbergu”)

...baciò la sua petrosa Itaca Ulisse

(Ugo Foscolo, „A Zacinto”)

*

Niedaleko zamku i ścierwa cuchnącej knajpy,
tuż obok kaszarni,
z jej oddechem tak bezpiecznym i sytym,
a czasem i słodkim,
z jej odwołaniem z tęgiego kamienia,
dwie rzeki rzucały się sobie do gardła
i pieniały się wściekle, bez drobiny litości
i bez miary obrzędu.
Musiałeś więc pomyśleć,
przeczuć przynajmniej,
dotknięty mrokiem jak parchem,
że to jest rzeź esencji,
co były na początku
i na końcu też będą.

*

W przybrzeżnej wodzie, obok ruin mostu,
znajdowaliśmy ludzkie kości, wyplukane z istnienia,
nieczułe na płasanie małych, brązowych ryb,
zżerane przez muł i szarpane przez rzeczne prądy;
i ciskaliśmy je potem z rozmachem, jak najdalej od siebie,
tam, gdzie czerniała głębia i gdzie wiry supłały się w brudne pętle,
tam, gdzie śmierć była jeszcze piękniejsza.

*

Marzenie: żeby łodzią popłynąć w dół rzeki,
a potem na morze sine i szerokie, bez dna.
Ale tu nikt nie miał łodzi,
tylko rzeka gniła w magmie pejzażu,
rwała brzegi i pulsowała wirami,
tłoczyła brunatne wody w ślepą dal,
niosła w łonie poronne kształty i muł,
ostre, podłużne muszle,
ułamki drzew i odór ścieków,
trupy zwierząt, a czasem i ludzi.

*

Wujek przynosił mi bezcenne łuski po nabojach,
czekolady, okręty z zapalek cudem uwięzione w butelkach
i książki z obrazkami – aby je niebawem ozdobić rysunkiem,
na którym taki pan bez spodni kucał nad ogromnym nocnikiem.
A niekiedy, ubrany w odświętny mundur, zabierał mnie do restauracji,
na obiad z kolegami z armii – i mogłem w nieskończoność pastwić się
nad kotлетem
albo rozmazywać po talerzu sos i buraczki,
podczas kiedy oni, popijając dobrze schłodzoną wódkę,
rozmawiali o kobietach i wspominali wojnę.
Najbardziej jednak podziwiałem go w chwilach,
kiedy jechał konno na czele baterii, z szablą przy boku,
niczym rycerz ze starej księgi.
Umarł we śnie, po latach.

*

Uciekłem
i schowałem się w króliczej klatce na podwórku sąsiadów,
ale i tak musiałem wrócić do domu,
w krzyk z żelaza i namiętne błogosławieństwo bólu.
Zbity, jak należało, kablem albo kijem od szczotki,
pełzłem znów na swój strych, aby tam dygotać w ciemności
lub wędrować na morza Południa, po muszelki i skarby piratów,
w wielki błękit, co pozwala zapomnieć o sobie.

*

Kiedyś umarłem w śniegu,
lecz i tak dopadł mnie, niczym ostrze rzeźnika,
brudny blask zmartwychwstania.

*

Nikt nie odejmie mi piosenki gruzów,
posmaku krokwi przemienionych w popiół,
kalectwa cegły poległej pod bombą,
przemarszu chwastów przez zwaliska domów –
tuż przy ulicy, co wiodła do szkoły.

*

Niebo jasno płonęło nad nami,
a my, zupełnie nadzy,
jak chłopcy z greckiego kamienia,
kąpaliśmy się wśród krzyków w płytkiej rzeczułce –
bezcieleśni, skazani tego lata na wieczność.

*

Ciągle tkliwe na fotografiach, zanim poszły tu leżeć,
wypiły jakąś truciznę lub skoczyły z mostu w mętny nurt rzeki,
zawsze z miłości, jak mówiła mi matka, kiedy na mogiłę mego
rodzeństwa
szliśmy długą aleją cmentarza, tuż nad doliną cienia,

pełną zetlałych liści i połamanych gałęzi,
obok kilku bezradnych nagrobków,
oddzielonych od mieszkania innych pomarłych:
tych, co modlili się gotycką niemczyzną z murszejących kamieni,
i tych niedawno przybyłych, co błagali o pamięć już polską antyką.

*

*Nim poznałem, jak rachować,
już wiedziałem, jak szlachtować.*
Roland Topor, „Rzeźnik”

Świnie, uważając bardzo na szpicli, bito nad ranem.
I słyszałem z podwórek sąsiadów, przez szmatę mroku, brudny krzyk
śmierci,
i czułem swąd opalanej spiesznie szczeciny,
i widziałem zaraz karmin ciał, porąbanych na sztuki,
śliskie i żmijowe powróśla jelit,
miąszz wątroby, serca i nerek,
i patrzyłem na różę posoki w aureolach emaliowanych naczyń
i cyboriach kamionek,
na strzaskane katedry żeber, na tęcze błon,
i zasypiałem jeszcze na trochę –
wtulając się w aksamit ciemności, nic nie śniąc,
nie słysząc wcale, jak odchodził do domu
podpity rzeźnik z owiniętym w partyjną gazetę pakunkiem pod pachą.

*

Pani Chlewicka pasła na odkosach nasypu dwie chude kozy
i mieszkała wraz z nimi, a także z czeredą kotów i psów, i kur,
w zapuszczonym domku z ogrodem,
w którym nic, oprócz chwastów, chyba nie chciało rosnąć.
Wierzyła, że na reumatyzm najlepsze są krecie skórki,
i skrzeczając jak postrzępiony ptak,
wygrażała nam, dokuczliwym chłopakom z przedmieścia,
drobną, umorusaną piąstką
albo umykała w podskokach przed diabłem.
Cuchnęła czymś zatęchłym i trochę się jej bałem,
lecz babcia Maria ją zapraszała na święta:
a wtedy przychodziła jako ktoś inny –
starannie wymyta i spokojna,

wybudzona ze swych zwykłych obrzędów,
jak przystało na oficera z warszawskiego powstania.

*

Zaprężony w jarzmo małego pługą, w jego parciate pasy,
orałem ziemię pod kartofle.
Było tego zbyt wiele jak na moich lat kilkanaście,
ale ktoś, na Boga, musiał to zrobić.
Pole kładło się przede mną szarym, wilczym odłogiem,
pot wżerał się w skórę,
grzbiet i ramiona pękały od bólu,
nogi z trudem znajdowały oparcie w sypkim, nieczułym gruncie,
ślizgały się po młodych chwastach i trawach,
wiosenne słońce, niczym wyciosany z płomienia bóg,
domagało się wrzenia krwi, popiołu mózgu,
piło resztkę soków z czerepu, zaprawionych należycie goryczą.
Do wieczora było jeszcze daleko,
może zresztą w ogóle miał nie nadejść,
jak to zwykle w przedpieklu.

*

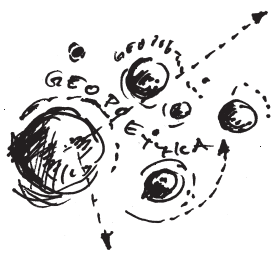
Cienie Prusów
krążą ciężko po nocy,
wdzierają się do głowy,
szczekają cicho w cierpkim, obcym języku
albo kwilą jak ptaki,
potem, jeden po drugim, wchodzą wolno
na stos ofiarny,
pustka spływa w głąb ziemi
jak krew.

Zbigniew Mikołajko

9

Zbigniew Mikołajko (ur. w 1951 roku w Lidzbarku Warmińskim), filozof i historyk religii, eseista. Kierownik Zakładu Badań nad Religią i profesor w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN, członek Akademii Amerykańskiej w Rzymie, wykładowca różnych uczelni warszawskich. Autor blisko tysiąca publikacji w dziewięciu językach. Ważniejsze książki: „Emaus oraz inne spojrzenia do wnętrza Pisma” (1998), „Śmierć i tekst. Sytuacja ostateczna w perspektywie słowa” (2001), „Żywoty świętych poprawione” (2001, 2004, 2011), „W świecie wszechmogącym. O przemocy, śmierci i Bogu” (2009), „We władzy wisielca”, t. 1-2 (2012-2014), „Żywoty świętych poprawione ponownie” (2017), „Gorzkie żale” (wiersze, 2017).

GEOPOETYKA



W niewiadomym celu w niewiadomym kierunku

Z prof. Przemysławem CZAPLIŃSKIM
rozmawia Grażyna BANASZKIEWICZ

PRZEMYSŁAW CZAPLIŃSKI

Prof. zw. dr hab. Przemysław Czapliński – krytyk literacki, wykładowca literatury współczesnej w Instytucie Filologii Polskiej UAM w Poznaniu, laureat m.in. Nagrody Fundacji Kościelskich (1998), Nagrody Krytycznoliterackiej im. Kazimierz Wyki (2004), autor licznych książek, w tym ostatnio głośniejszej „Poruszonej mapy. Wyobrażenia geograficzno-kulturowa polskiej literatury XX i XXI wieku” (Kraków: WL, 2016), za którą otrzymał Nagrodę im. Jana Długosza, za najlepsze dzieło z dziedziny polskiej humanistyki opublikowane w 2016 roku.

GRAŻYNA BANASZKIEWICZ

dziennikarka, reżyserka filmów telewizyjnych, dokumentalnych, fotografik, poetka, działaczka społeczna. W latach 1979-2011 związana z TVP, współtworzyła tygodnik „Wprost”.

... geografia to kombinacja wielkości z odległością

Poruszenie mapy – zapowiadające geopolityczne zmiany – nastąpiło w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy to luźne i osobne tradycje raptownie poukładają się w nową całość.

Zbiorowy podmiot, który wypiera prawdę o sobie, jest skazany na życie w ustawicznym strachu przed powrotem wypartego.

W rzeczywistości wirtualnej, w coraz większym stopniu organizującej rzeczywistość ludzką, demokracja prawnie zatwierdzona nie odgrywa większej roli.

Żyjemy dziś na mapie, którą nazwać można lotną – w odróżnieniu od wcześniejszych kategorii świata stałego i płynnego. Pojawienie się mapy lotnej nie unieważnia dwóch poprzednich, ale wszystko mocno komplikuje.

(Myśli, zdania wyrwane z książki
Przemysława Czaplińskiego „Poruszona mapa”)

11

Grażyna Banaszkiewicz: Cóż tam, Panie, w polityce?

Przemysław Czapliński: Nie odpowiadam na takie pytanie. Nie jestem politykiem.

Grażyna Banaszkiewicz: Pytanie literackie.

Przemysław Czapliński: ...o Chińczykach mam mówić, że *trzymają się mocno?*

Grażyna Banaszkiewicz: O! Zgotowali nam, jakby nie było, epokę jednorazowego użytku.

Przemysław Czapliński: Może w pewnym momencie dojdziemy do jakiegoś konkretnego.

Grażyna Banaszkiewicz: Konkretem jest Twoja bardzo gorąca książka.

Przemysław Czapliński: Dotyczy literatury i od tej strony musimy...

Grażyna Banaszkiewicz: Tak, literatury przyglądającej się światu, opisującej ten świat, niekiedy diagnozującej go w obecnym momencie. Wnikliwie bardzo przechodzisz przez kolejne tytuły dotyczące poszczególnych obszarów, składasz z nich określoną kartografię, zauważając, że jej oś wyraźnie się przemieszcza. Dyskusje, w których dane mi było uczestniczyć, wyraźnie pokazują, jakie roznieciłeś emocje, wykraczające znacznie poza treść książki, poza literaturę.

(Na marginesie – *po długich poszukiwaniach kupowałam „Poruszoną mapę” w Krakowie w Księgarni Naukowej. Okazało się, że nabyłam ostatni egzemplarz, a obsługa księgarni powiedziała, że tytuł sprzedaje się wręcz rewelacyjnie).*

Przemysław Czapliński: Słucham tego z dużą radością. Wydaje mi się, że jesteśmy w tej chwili w dziwnym, niespokojnym czasie i wszyscy odbieramy to podobnie. Zmianom ulegają dotychczasowe powiązania między państwami. Te zmiany dotyczą również bloków państw, układów, wzajemnych relacji, całej tej sieci (a kartografia jest siecią, punktami na mapie) – i temu poświęciłem moją książkę. Twoje pierwsze pytanie wyciąga więc z całości tylko jakąś malutką nitkę...

Grażyna Banaszkiewicz: Nie bez powodu.

Przemysław Czapliński: ...która w pewnym momencie – prawda – może powrócić, jako przyczynek do dużo szerszej historii, dużo szerszego obszaru, jakim jest Europa. Coraz bardziej pomijana. Co spowodowało, że zaryzykowałem opis nowej osi świata, w coraz większym stopniu łączącej Stany Zjednoczone i Chiny. W bardzo brutalny sposób pojawiła się ona na przykład podczas afery podsłuchowej. Nie mam tu na myśli głośnej sprawy Edwarda Snowdena. To osobna sprawa. Odnoszę się do afery późniejszej – kiedy wyszło na jaw, że Europa jest przez Stany Zjednoczone podsłuchiwana, namierzana, włącznie z ich sojusznikami; gdy Angela Merkel stwierdziła, że nawet rozmowy z nią były rejestrowane. Stany nie zareagowały, nie ustosunkowały się do wypowiedzi Angeli Merkel. Nie było z ich strony żadnej pokory czy skruchy. Stany Zjednoczone nie kierują do Europy pytań, czy im tu czegoś nie wolno. Inaczej niż w przypadku Chin. Tam wyraźnie kierują swoje pytania i swoje propozycje.

Grażyna Banaszkiewicz: Czyli?

Przemysław Czapliński: Pojawia się kwestia zmieniającego się położenia na tej mapie i Polski. Polska nie leży już tam, gdzie leżała, ta zmiana jednakże nie wynika ze zmiany znaków geograficznych, tylko znaków powiązań, które albo Polska zrywa, albo ich nie podtrzymuje. I temu poświęcona jest moja książka, jej tezy. Polska dryfuje, wyprowadza się z obszaru, w którym była tradycyjnie postrzegana. Przy czym ta wyprowadzka odbywa się w niewiadomym celu i w niewiadomym kierunku. Jej położenie staje się coraz trudniejsze do określenia, ponieważ wchodzimy w stan bardzo niebezpiecznego dryfu wewnątrzkontynentalnego. Dokądś suniemy jeszcze siłą rozpędu czerpanego z impetu momentu odkotwiczenia. Nie łączy nas już zbyt wiele ze Wschodem. Bardzo specyficzny jest nasz sojusz skierowany ku Południowi, rzekomo łączy nas z państwami tegoż Południa.

Grażyna Banaszkiewicz: Międzymorza.

Przemysław Czapliński: No tak, no tak... To jakaś zabawa literacka, ten projekt „Międzymorza”. Pojawiły się jednocześnie bardzo silne napięcia na linii Polska–Zachód czy bardziej Polska–Unia Europejska. Osadzamy się coraz bardziej właśnie na osi Północ–Południe, żeby w największym skrócie odślonić założenia mojej książki. W związku z czym taka drobina jak Polska na mapie Europy...

Grażyna Banaszkiewicz: Uwaga na skalę! Kiedy podróżowałam po Chinach, mój opiekun, gdy stawiałam mu zbyt niewygodne pytania, natychmiast dociekał liczby ludności naszego kraju. Wtedy to było ponad 37 milionów obywateli, co skrupulatnie mi przypominał, podkreślając, iż ich jest niemalże półtora miliarda!

Przemysław Czapliński: Dobrze, przenoszę tę skalę na mapę Europy – kraj średniej wielkości, skoro od Chin i Stanów Zjednoczonych tu jakoś wyszliśmy. Natomiast to, co mówisz, dowodzi, że mieszkańcy każdego kraju postępują do pewnego stopnia według zasady: Bliższa ciału koszula. Wobec czego ta skala jest zawsze największa. Co nie zmienia faktu, że Polska będąc na osi Północ–Południe średniakiem, w skali mapy na półkuli północnej jest już dużo mniejsza. Toteż decyzje tutaj podejmowane, nawet jeżeli mają charakter awanturniczy, z taktycznego punktu widzenia wydają się nierozsądne, dają się jakoś wytłumaczyć. Mianowicie, poszerzając nieco spojrzenie, wychodząc poza Polskę, to właściwie wszystkie państwa czy wysokie kultury w tej chwili odbywają swoiste scenariusze próbne: Co by było, gdybyśmy zostali sami, gdybyśmy, z różnych powodów, utracili sojuszników? Czy jesteśmy w stanie poradzić sobie wśród takich sąsiadów, jakich mamy, w takiej historii, jaka obecnie panuje, z tą gospodarką, która obecnie funkcjonuje? Bodaj przed rokiem Norwegowie wyemitowali intrygujący serial [„Okupowani”, 2015 – przyp. red.] właśnie o tym, że zostają sami, że wprawdzie nie zrywają sojuszy, wręcz przeciwnie, oni chcą je podtrzymać, owi sojusznicy ze względu na określoną specyficzną sytuację międzynarodową, nie udzielają im jednak pomocy, kiedy wkraczają Rosjanie i na ich

terenie wszczynają hermetyczną wojnę. To oczywiście scenariusz futurystyczny, ale operujący wiedzą czerpaną ze stanu aktualnego.

Grażyna Banasziewicz: Wejść w słowo. Film futurystyczny to jedno, a realia to realia. Na naszym kontynencie mamy oto chcących się odseparować Brytyjczyków. A wiesz, jakie pytanie pojawia się najczęściej w Google? Młodzi mieszkańcy Anglii masowo wrzucają pytanie o to, czy po wyjściu z Unii będą mogli brać udział w Eurowizji!

Przemysław Czapliński: No i ja również o tym! O tym, że w różnych miejscach Europy i świata, w Norwegii, Francji, Anglii, oczywiście w Polsce, na Węgrzech, w Czechach i tak dalej, i tak dalej, państwa budując swoje najróżniejsze koncepcje, muszą jednakowoż stawiać pytania o określone powiązania. Nie! Mówią wyraźnie przeciwnicy wszelkiego osamotnienia. Zachowajmy nasze układy albo odświeżmy je, albo zmieńmy. Co również stanowi jeden z punktów wyjścia mojej narracji. Przepytałem – że tak powiem – polską literaturę i pod tym kątem, pozwalającym mi zobaczyć, co podróżujący, definiujący świat pisarze mają do powiedzenia na temat aktualnych powiązań. W zdecydowanej większości tytułów dostrzegam, że pisarze nie tylko widzą, lecz również praktykują te już zupełnie nowe powiązania, stawiając pod znakiem zapytania sensowność dotychczasowych. Nie da się, według literatury, utrzymać dotychczasowych stosunków w ramach dotychczasowych koncepcji, chociażby Czworokąta Wyszehradzkiego. Bo nie jest to żadna unia, żaden blok państw, układ.

Grażyna Banasziewicz: Jest gra egoizmami.

Przemysław Czapliński: Oczywiście. A fakt jest taki, że w każdej złej sytuacji wszyscy będą skazani na osobność, na samotność. Dokładnie to samo mówi literatura, jeśli chodzi o Północ–Południe i Wschód–Zachód. Unaocznia nam, że dotychczasowa mapa jest już nieaktualna.

Grażyna Banasziewicz: Nie ma sytuacji stałych, danych raz na zawsze. Wszystko jest dynamiczne w historii świata, podlega transformacji, w tym i kartografii. Odwiedziłam niedawno Muzeum Czapskich w Krakowie. Najdłużej zatrzymałam się w zbiorach map. Fascynujący obraz odkryć, podbojów, rozmaitych przeszeręgowań, zmian nazw, etc. Dlaczego więc dzisiaj dziwi zmiana na osi globusa, ruch na mapie świata?

14

Przemysław Czapliński: Dziwi i nie dziwi. Podważanie aktualności obecnej mapy zostało odnotowane już jakiś czas temu, odpowiedź na Twoje pytanie jest dość prosta – że myśmy sobie wymyślili nie do końca ugruntowany w rozmaitych poczynaniach pewien wariant końca historii. To znaczy taki pułap rozwoju dziejowego, na poziomie którego naszą największą troską od momentu wejścia do Unii, właściwie od chwili podpisania dokumentów traktatów akcesyjnych, powinno być tylko korygowanie istniejącego systemu, ponieważ już nic spektakularnego po prostu nie powinno się wydarzyć.



Prof. Przemysław Czapliński | Fot. z archiwum autorki

Grażyna Banaszkiewicz: Ergo – stagnacja. To absurd.

Przemysław Czapliński: Tak. Tylko że po 1989 roku mieliśmy przekonanie, że zasadniczym naszym dążeniem jest uzyskanie sytuacji pozwalającej nam ową stagnację uznać za cel pożądany. Bo w ramach tejże stagnacji (przy czym takiego określenia nie używano!) zachodzić miał jednak poważny, wyrazisty rozwój o charakterze gospodarczym, gwarantujący społeczeństwu podnoszenie stopy życia, wzrost zarobków, możliwość podróżowania po świecie, możliwość wyboru miejsca zamieszkania itd., itp. Po drugie, w tym nowym układzie, w jaki weszliśmy po 1989 roku, mieściła się bardzo istotna dla nas, dla każdego średniej wielkości państwa, obietnica bezpieczeństwa strategicznego, stabilności. Podpisanie wejścia do NATO miało być tego gwarancją, jeśli oto coś się będzie działo, mamy sojuszników.

Grażyna Banaszkiewicz: Ale historia – że znowu odwołam się do nietrwałości czegokolwiek – pokazuje wyraźnie, że nie ma równości jako takiej, że budzą się przywódcze zapędy, hierarchie, kolonialne... Był czas obowiązywania w świecie języka hiszpańskiego, potem dominował język francuski, jeszcze w naszej dobie językiem świata stał się angielski. Jaki będzie język przyszłości?

15

Przemysław Czapliński: Hmm... Jednak angielski.

Grażyna Banaszkiewicz: Odważna diagnoza.

Przemysław Czapliński: Masz oczywiście rację, ale...

Grażyna Banaszkiewicz: Dzisiaj niemalże nie ma miejsca, gdzie nie dałoby się słyszeć języka rosyjskiego: Nowy Jork, Londyn, Paryż, Rzym, Wenecja, Berlin, Warszawa, Gdańsk, Krotoszyn... Niemalże półtora miliona obywateli Izraela mówi po rosyjsku. Nie wskazuję na ten język jako język przyszłości, ale pokazuję, jak ludzie migrują i jak zachowują w każdym miejscu swoją tożsamość.

Przemysław Czapliński: Po 1945 roku język rosyjski był językiem w polskim szkolnictwie obowiązowym. Przez 45 lat dzieci uczyły się w szkołach języka rosyjskiego nie mniej niż 6 lat. Ci, którzy poszli do liceum i na studia, uczyli się go 8 albo i 10 lat. Ale w społeczeństwie polskim, o ile dobrze pamiętam, znajomość języka rosyjskiego deklaruje nawet nie 1% ludności. I to ci, którzy potrafią się dogadać. Nie istnieje znacząca liczba osób, która by się nim posługiwała biegle, prenumerowała czasopisma rosyjskie, poznawała literaturę rosyjską w oryginale. Nie, nie.

Grażyna Banaszkiewicz: A kwestia mocarstwowej polityki Władimira Putina?

Przemysław Czapliński: To, co się dzieje od momentu, kiedy Donald Trump został prezydentem Stanów Zjednoczonych, jest innego rodzaju grą niż to, co robi Putin. Trump to podnoszenie Ameryki na powrót do „Wielkiej Ameryki”, co jest związane ze stopniowym wycofywaniem się Stanów Zjednoczonych z rozmaitych interwencji zagranicznych. A to oczywiście jeszcze gorsza forma egoizmu niż egoizmy państw mniejszych, dlatego że to Stany Zjednoczone po 1945 roku trwale naruszały światowy ład.

Grażyna Banaszkiewicz: Bo ważne jest również testowanie broni...

Przemysław Czapliński: Cokolwiek to było, po okresie trwającej siedem dekad ich ekspansji, obecne deklaracje wydają się nieprawdopodobne. Toteż mam wrażenie, że jesteśmy spóźnieni z naszą wyobraźnią i z naszymi narracjami w stosunku do tego, co realnie dzieje się wokół Polski, co w ogóle dzieje się na świecie. Nasza wyobraźnia została jakby uśpiona tą „nową mapą”. To znaczy, że przyjęliśmy za optymalny poruszany tu już kontekst historyczny, jaki udało się nam wynegocjować. My – w Europie – nie na zasadzie życzeń, lecz na podstawie ratyfikowanych określonych traktatów uwierzyliśmy, że jesteśmy silnym, równoprawnym sojusznikiem, strategicznym i militarnym, z poczuciem nie tego, że jesteśmy gorszą częścią Europy (co dla społeczeństwa zamieszkującego średnie państwo, mocno przez historię sponiewierane, ma ważkie znaczenie), ale że na równych prawach będziemy chronieni, będziemy bezpieczni. Dawało to również poczucie odzyskiwania godności, poczucie pewnego rodzaju europejskiego uznania. Ludzie łatwo nie wycofują się z tego rodzaju założeń, wyobrażeń. Tymczasem weszliśmy w taki etap historii, w którym nasza rola ma się sprowadzać do, jak już zaznaczyłem, jedynie korygowania istniejącego układu, wprowadzania doń ewentualnie drobnych zmian, gdy coś zadziała wadliwie. Zasadniczo mieliśmy się stać swego rodzaju kustoszami historii w jej muzeum.

Grażyna Banaszekiewicz: W spetryfikowanym muzeum zasycha się.

Przemysław Czapliński: W muzeach obowiązuje określony optymalny wariant kontaktu z rzeczywistością. Po pierwsze, to, co widzimy, nie zagraża nam, jest eksponatem, co więcej jest eksponatem podpisanym, a więc mającym swoją instrukcję obsługi. My nie możemy wprawdzie tych eksponatów dotykać, zarazem eksponaty te nie skoczą nam do gardła, nie zaatakują nas. Dalej, istnieje pewna struktura (posługuję się rzeczą jasną metaforą), nie mówię o *stricte* gmachu, ale o zbudowanych w ramach owej zamkniętej historii nowych układach gospodarczych, politycznych, zjednoczeniowych. Powtarzam: Historia została wytyczona, zarazem zakończona. Na tym polegała wielkość i niezwykłość unijnego kontraktu, proces w naszych dziejach z niczym nieporównywalny, niezestawialny. Nawet z rokiem 1918, gdy Polska po zakończeniu I wojny światowej prowadziła dwie wojny – jedną z Litwą, ze strony Polski będącą w pewnym stopniu operacją podobną do tej, której Putin dokonał na Krymie, drugą prowadzoną na obszarze wschodniej Galicji, czyli Zachodniej Ukrainy. Trudno wycofać się z historii, w której nastąpiło coś, o czym marzyła w Europie Polska na drodze kapitalistycznego rozwoju, idąc ku bogactwu czy przynajmniej zamożności powszechnej, ku silnym soюзom militarnym, jako stróż nie tylko lokalnego, ale i globalnego pokoju. W tym zakresie przez 20 lat, od 1989 roku, nie było wielu korekt. Prawdę mówiąc, czuję się w naszej rozmowie dość niezręcznie, bo ciągniesz mnie w stronę komentowania aktualnej sytuacji geopolitycznej, gdy media pełne są najróżniejszych ekspertów, ludzi, którzy się na tym znają.

Grażyna Banaszekiewicz: Tak naprawdę – myślę – nikt nie jest w stanie przewidzieć kierunku i zwrotów lawinowo następujących w świecie zmian. Ty napisałeś książkę, jako pierwszy bodaj dając literacki opis ewoluowania zdarzeń, zjawisk, przesileń doprowadzających do poruszenia mapy, na jakiej się latami sytuowaliśmy. Obecny chaos budzi wiele lęków, spekulacji. Dowodzą tego przecież i Twoje spotkania w różnych czytelniczych gremiach. Twoja książka dowodzi tego, co definiował prof. Zygmunt Bauman, że to literatura, sztuka jest sejsmografem naszej rzeczywistości, jej implikacji.

Przemysław Czapliński: O właśnie – naszej! Ja starałem się trzymać bardzo wyraźnie tego podwórka, Polski. Zauważyłem proces, który wydał mi się niesłychanie interesujący. Mianowicie naszą przymiarkę do innej przynależności geograficzno-historycznej czy też geograficzno-historyczno-kulturowej. Kultura polska, gdyż już nawet nie wyłącznie literatura, zaczęła próbnie formułować odpowiedzi na pytania, co by było, gdybyśmy realnie wyobrazili sobie siebie jako mieszkańców osi Północ–Południe, a nie osi Wschód–Zachód. Polega to na stopniowym rozpoznawaniu, czym w istocie jest fenomen skandynawski i czym są nasze powiązania z kulturami Południa, poczynając od czeskiej, słowackiej, węgierskiej itd. I to literatura powiedziała, że to, co stało się za sprawą sojuszu Trójkąta Wyszehradzkiego, a później Czworokąta Wyszehradzkiego, jest kompletną iluzją, że te państwa mogą się nawzajem wspierać w dążeniu do wejścia do Europy przede wszystkim po to, żeby żadna ponura historia się więcej nie wydarzyła, i to zanim przyszły problemy, z jakimi mamy teraz do czynienia. W rozlicznych książkach wi-

dzieliśmy niezmiernie istotną korektę wynikającą ze zmiany optyki. Zamiast patrzeć na przeobrażenia Polski, Czech, Słowacji, Węgier w Unii Europejskiej z perspektywy polityków, z perspektywy elity, tych, którym się w procesie transformacji powiodło, literatura proponowała spojrzeć na cały proces z perspektywy mas prowincji, z perspektywy ludzi, którym się nie udało, z perspektywy tych, którzy w dalszym ciągu doświadczają tej całej transformacji jako procesu kolejnej kolonizacji. Na tym poziomie widać było, że część społeczeństwa wcale nie będzie popierała kolejnych deregulacji, głębszego zacieśniania więzi z Europą, gdyż dla niego taki proces wiąże się z rosnącą niepewnością egzystencjalną. W literaturze nie ma zdziwienia oporem wobec rozmaitych unijnych decyzji, prawnych regulacji. To literatura pokazała nam, że TA MAPA JEST NIEAKTUALNA. Mapa, którą wszyscy uznawali za historycznie optymalną.

Grażyna Banaszkiewicz: Alternatywą?

Przemysław Czapliński: Literatura – i na tym polega jej sens, jej wartość – pokazała nam, że alternatywą nie jest zrywanie więzi, ale wskazywanie nowych, weryfikowanych określoną sytuacją więzi, że w interesie nawet części niezadowolonych nadal pozostaje akces w Unii, wiążące się z tym swoboda przekraczania granic, swoboda handlu, swoboda przepływu informacji, które mogą zostać mocno zakłócone, pozbawione trwałych perspektyw w związku z tym, że znacząca część społeczeństwa mówi: NIE.

Grażyna Banaszkiewicz: Brak wyobraźni, empatii?

Przemysław Czapliński: Z empatią bym nie przesadzał, ale z całą pewnością ważna korekta idzie ze strony literatury mówiącej, że trzeba na powrót rozruszać wyobraźnię. Mapa uznawana za optymalną pruje się jak płótno, drze jak papier czy poszewka. Zamiast Unii mamy do czynienia z coraz bardziej osobnymi państwami, w których władze nie postępują w imię własnych przyszłych sojuszy, lecz w imię dziwnie bardzo pojętej autarkii. I w tym jawi się niebezpieczeństwo! I tu literatura wykonała w znacznej mierze fenomenalną zupełnie pracę. Rozbijającą, taką po prostu chulikańską robotę polegającą na dotarciu do prawdy.

Grażyna Banaszkiewicz: Rzeczywiście fenomenalne, że po pewnym czasie literatury wypięknionej, raczej opisującej niż dyskutującej, dostajemy znowu tytuły mocne, nieobojętne, mierzące się z tym, co realnie się rozgrywa.

Przemysław Czapliński: Ale też wszyscyśmy się zakochali w drobnomieszczańskim wizerunku Europy! Jednocześnie podkreślam – nawet jeżeli nie brakuje nam gorzkich czy krytycznych słów pod adresem rzeczywistego jej wizerunku – że to warto rozumieć, że nie mamy tak naprawdę w naszych dziejach – my, Węgrzy, Czesi, Słowacy – podobnego momentu jak ten po 1989 roku. Oczywiście można raz jeszcze powiedzieć, że wszystko jest kwestią skali: roszczeń, nadziei, błędów, obaw, związanych również z mniejszościami etnicznymi...

Grażyna Banaszekiewicz: ...*Cztery miliardy ludzi na tej ziemi, a moja wyobraźnia jest jak była...* To wers z wiersza Wisławy Szymborskiej „Wielka liczba” z tomu pod tym samym tytułem wydanego w 1976 roku. Od tego czasu ludzkość praktycznie się podwoiła. Trącamy się łokciami, o wszystko walczymy. Nikt właściwie nie miał i nie ma wobec tego faktu wyobraźni.

Przemysław Czaplinski: Znowu ciągniesz mnie w stronę rozważań globalnych.

Grażyna Banaszekiewicz: Przecież Twoja książka, chcesz czy nie, jest narracją globalną. Świat to naczynia połączone. Unia Europejska nie stanowi totalnie zamkniętej enklawy. Nadmieniałam o udziale w dyskusjach, jakie „Poruszona mapa” wywołuje. Jeden kamyczek uruchamia lawinę...

Przemysław Czaplinski: Albo i nie. Choć z całą pewnością mamy dzisiaj do czynienia z kumulacją gniewów i lęków, jednak z odwrotnością tego, o czym Ty mówisz. Dawno temu, 20 albo 30 lat temu, zachwycaliśmy się w humanistyce „Teorią chaosu” [Edwarda Lorenza – GB], jednym z doszczętnie zbanalizowanych powiedzeń mówiących o tym, że trzepot skrzydeł motyla w Ohio może spowodować burzę piaskową w Teksasie czy trzęsienie ziemi w Chinach. Otóż punkt, z którego ja wychodzę, jest taki, że żyjemy w świecie, w którym żadne trzęsienie ziemi, w Chinach, Stanach i gdzie tam jeszcze, nie wywołuje machania skrzydłami u motyla.

Grażyna Banaszekiewicz: Bo każdy ciągnie linię wyłącznie ku sobie?

Przemysław Czaplinski: Z tym właśnie się nie zgadzam! No i teraz jesteśmy w środku mojej opowieści. Otóż część społeczeństw wcale nie chce rozwiązania, o którym Ty mówisz, osobnego, egoistycznego, autorytarnego, ponieważ jest ono pod wieloma względami niesłychanie ryzykowne. Co więcej, ono w żadnym z wariantów (powiedzmy, że ograniczymy się do tego, co w Polsce, w Czechach, na Słowacji i na Węgrzech) nie jest opierane na jakichkolwiek sensownych podstawach. To jest kompletnie doraźna fabuła. To jest autokrytyczny sen o naszej przynależności do Europy, snuty na bardzo niskim poziomie, na obszarze rzadko uwzględnianym przez polityków. Tu więc wchodzi obecnie literatura, wykonuje swoje zadanie (jeżeli możemy w ogóle mówić o jakichkolwiek zadaniach stojących przed literaturą), nie dowierając średniej wielkości narracjom albo nawet wielkim narracjom, kiedy je demontuje, destabilizuje, obnaża, rozrywa, kiedy je zakłóca w imię czegoś, co słyszalne na poziomie wioski, małej miejscowości, niedużego regionu. Nad tym właśnie literatura [szeroka bibliografia i cytaty w książce „Poruszona mapa” – GB] bardzo ciekawie pracowała, pokazując alternatywę uspionego w gruncie rzeczy stanu wyobraźni, geopolitycznej wyobraźni. Natomiast my, historycy literatury (proszę mi wybaczyć, że użyję podmiotu zbiorowego), mniej więcej od schyłku pierwszej dekady XXI wieku, czyli po blisko dwudziestu latach owego nowego okresu, mówiliśmy, że literatura i dramat stanowią dwa najczulsze sejsmografy; pokazują bardzo niepokojące sytuacje społeczne, w których coraz większa część ludności decyduje się na przejście do przemocy, uznając, iż wyczerpały się środki negocjacyjne. A więc już nie dialog, nie porozumienie, lecz radykalne przejście do działań wymuszających uwagę na ich status, na ich potrzeby. Właśnie

dlatego, że ich racje w kwestii rządzenia społeczeństwem, związane z ich ogólną kondycją, były lekceważone, odsyłane, delegitymizowane. Kiedy czytaliśmy literaturę pierwszej dekady, zauważaliśmy, że istotną część ówczesnych fabuł stanowi rewindykowanie rozmaitych krzywd wyrządzonych szeroko definiowanym mniejszościom narodowym. Najpiękniejsze książki, które wtedy powstały – od połowy lat 80. do połowy lat 90. minionego wieku – mówiły społeczeństwom: Uważaj na tego, kto jest inny, odmienny. Na Żyda, na Białorusina, Ukraińca – ponieważ nie każdy był ukraińskim nacjonalistą, na Niemca – ponieważ nie każdy był hitlerowcem, agresorem, zbrodniarzem; na każdego, kto budził niepokój przez niezrozumienie jego tożsamości, ponieważ był obcy. Uważaj na tych, którzy zostali wykluczeni, przesunięci na margines, pozbawieni należnych im praw. Literatura dokonywała pewnego rodzaju rewindykacji historii po to, aby ona się nie powtarzała. Zaczniemy wreszcie – mówiła literatura – od „Shoah” Claude’a Lanzmanna w 1980 roku, od eseju Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”, od powieści „Weiser Dawidek” Pawła Huellego, „Zagłada” Piotra Szewca, „Umschlagplatz” Jarosława Marka Rymkiewicza, „Bohiń” Tadeusza Konwickiego rozpoznawać historię według takich reguł, w których wszelkie mniejszości będą traktowane jako istotna i wartościowa część społeczeństwa, byśmy nie powtórzyli dyskryminujących, niszczycielskich gestów, ponieważ wiemy już, że znaczącą wartością życia społecznego, źródłem dynamiki, postępu, rozwoju jest praca dla różnorodności.

Grażyna Banaszekiewicz: Historia dowodzi, że zamknięte klany degenerują się.

Przemysław Czapliński: No tak, ale to prawidło, jakiego część dzisiejszych społeczeństw nie chce zaakceptować. Wręcz przeciwnie. Autarkia, o której wspomniałem, nie chce uchodźców, nie chce innych, podsyca w swojej grupie obawy, niechęci, dając powszechnie do zrozumienia, że wystarczy sami sobie, będziemy się nawzajem podziwiać, kochać, wystarczy nam naszego seksapilu, żebyśmy się do siebie nawzajem przymilali, kochali, płodzili polsko-polskie dzieci, że nie potrzebujemy żadnej mieszanki.

Grażyna Banaszekiewicz: Jak do tego doszło?

Przemysław Czapliński: Powszechnie wiadomo, że umocowane w ramach komunikacji demokratycznej środki, narzędzia, instytucje źle działały, one źle funkcjonowały.

20

Grażyna Banaszekiewicz: One nadal źle funkcjonują.

Przemysław Czapliński: Już z zupełnie innego powodu.

Grażyna Banaszekiewicz: Upolitycznienie, dehumanizacja, zurzędniczenie. Kafka cały czas się kłania. Nikt tych struktur nie rewiduje, w istotny sposób nie przeobraża.

Przemysław Czapliński: Aha, to teraz znowu wracamy bezpośrednio do mojej książki, do koncepcji przeniesienia Polski z osi Wschód–Zachód na oś Północ–Południe. Oczywiście przeniesienia wyobrażeniowego. Otóż to! Wyrażona przez Ciebie przed chwilą dość powszechna prawidłowość w złym działaniu u nas różnych, często upolitycznionych struktur, wynika prawdopodobnie z punktu naszego położenia na osi Wschód–Zachód i tego, że przyjęliśmy za nasze podstawowe zadanie zmianę kierunku ocalenia, kierunku polegającego na tym, by znaleźć się jak najdalej od Rosji. Nie mówimy oczywiście o przemieszczaniu się fizycznym, ale o tym, by odpodobnić się od Rosji. Nie mieć takiej gospodarki jak oni, nie mieć takich zwyczajów politycznych, instytucji, procedur, lecz taki rozwój, demokrację, takie instytucje, jakie ma Zachód. Co z kolei prowadzi do mimetyzmu, do w dużym stopniu zbyt pośpiesznego naśladownictwa. Ryczałtem przyjęte po 1989 roku procedury demokratyczne, kapitalistyczne, obce wzorce, bez wybierania, rozważania, co nam się przyda, co u nas się sprawdzi, doprowadziły do tego, że powstało państwo od pewnego momentu głuche, niebędące w stanie podjąć żadnej korekty, nawet gdy po 1994 roku mieliśmy trzy miliony bezrobotnych, a w roku 2000 już prawie cztery miliony bezrobotnych. Wyraźnie obowiązywała przewaga myślenia o słuszności, o nieomyślności transformacyjnych działań, postawa, że tylko my jesteśmy w stanie określać, jak Polska winna rozwijać się dalej. Głos wątpliwych, pytających nie miał znaczenia.

Grażyna Banaszkiewicz: My – nasz rząd, my – partia go stanowiąca?

Przemysław Czapliński: Tu powiem – uderzmy się wszyscy we własne piersi. Nie za mocno, jednak uderzmy się. I to szczerze. Po prostu, po 1989 roku zdecydowana większość społeczeństwa sądziła, że podążamy słuszną drogą, że ludzie, którzy znaleźli się na bezrobociu, są „niedobrym spadkiem” po PRL-u, ale że wkrótce ulegnie to rozproszeniu, że ci ludzie pozakładają własne małe biznesy, staną się właścicielami jakichś małych zakładów, staną na nogi, wyjdą z dołków. Co opierało się na podwójnym złym czy wręcz fałszywym założeniu. Mianowicie, że całe społeczeństwo w punkcie startowym zmian dysponuje równymi szansami oraz że ludzie po latach pracy w Polsce Ludowej w zakładach przemysłowych, w tym w zakładach przemysłu ciężkiego, gdy uległy one likwidacji bądź wyprzedaży, mogą się samodzielnie przebranżowić, znaleźć nowe zatrudnienie. Nie była to równa sytuacja z sytuacją ludzi na przykład tuż po studiach prawniczych, ekonomicznych, medycznych w dużych miastach, tych, którzy po swoich rodzicach dziedziczyli jakiś kapitał, w tym – jak się okazuje też istotny – kapitał kulturowy. Bo inaczej wygląda edukacja w rodzinach inteligenckich, inaczej w środowiskach robotniczych i chłopskich. Bo czym innym jest bezrobocie w dużej aglomeracji, czym innym w zróżnicowanych wielkością miastach, a jeszcze czym innym jest bezrobocie na wsi.

Grażyna Banaszkiewicz: Są jeszcze cechy osobnicze, jak spryt, przebojowość, zaradność...

Przemysław Czapliński: Tylko tego nie jesteśmy w stanie obliczyć, wymierzyć. Natomiast generalnie państwo jest zobowiązane do tego, żeby zapobiegać nierównościom, zapobiegać dziedziczeniu tych nierówności, dyskryminacji. Nie ma porównania sił, jak to było w latach 90., jeżeli

ktoś – dla przykładu – chciał otworzyć w dużym mieście restaurację i musiał konkurować z kapitałem McDonald's. Błędne były ukryte czy jawne założenia, że w obliczu tzw. rynku wszyscy jesteśmy równi, bez względu na to, jak jesteśmy zmyślni, sprytni, zasobni. Po prostu nie ma czegoś takiego jak równe szanse na rynku kapitalistycznym. W efekcie wszystko, o czym teraz mówimy, to zbiór przyczyn, z powodu których dotychczasowa mapa została poszargana, podarta, a my stoimy w obliczu tychże kawałków papieru niedających się posklejać. Jeżeli weźmiemy pod uwagę – o czym wcześniej mówiliśmy – na osi Północ-Południe Skandynawię i odkrywany przez literaturę sens tamtejszego eksperymentu, którego założeniem nie był dobrobyt jako taki, nie zamożność powszechna, a bogactwo tym bardziej nie, ale podstawą była równość tak ekonomiczna, jak i płciowa, etniczna, religijna, a wraz z nią zaufanie społeczne, to widać wyraźnie, że historycznie jesteśmy spóźnieni. Literatura odkryła, że Skandynawowie nie poszli drogą naśladowania Zachodu. Zwróciła również uwagę, że Polska nie może naśladować Północy, gdyż nie da się skopiować wprost zaufania społecznego. Do tego trzeba wypracowania własnych określonych procedur, obyczajów, instytucji sprzyjających umacnianiu zaufania społecznego. W Skandynawii podpatrzeć można nie tyle konkretny model, ile sposób jego wypracowywania. Zerknijmy do książek Zbigniewa Kruszyńskiego, Bronisława Świdarskiego, Macieja Zaremby, Manueli Gretkowskiej czy Grażyny Plebanek. We wszystkich tych tekstach skandynawski model nowoczesności opiera się na równości – przede wszystkim płciowej, seksualnej, wyznaniowej. Równość jest glebą zaufania. Zaufanie jest warunkiem uczestnictwa w życiu politycznym. Dzięki tym trzem wartościom – równości, zaufaniu, partycypacji – możliwe jest wprowadzanie całościowych reform i wspólne dokonywanie korekt. Lokalny wariant nowoczesności wypracowany w Skandynawii jest w istocie tylko tym: systemem ustawicznego korygowania przyjętych rozwiązań w obliczu zmian przynoszonych przez terażniejszość. Najprostsza definicja nowoczesności mówi, że uczestniczy w niej to społeczeństwo, które szuka rozwiązań nie w przeszłości i nie w niebie, lecz w sobie – tu i teraz. To właśnie dostrzegła literatura polska na Północy – model nowoczesności, który obywateli nie wyzwala z transcendencji i bez zawierzenia w trwałość dawnych rozwiązań.

Grażyna Banasziewicz: Fakt braku zaufania w relacjach z państwowymi instytucjami czy w ogóle w społecznej przestrzeni jest rzeczywiście naszym wewnętrznym obciążeniem, by nie powiedzieć przekleństwem. Ale rozmawiamy cały czas o mapie wyraźnie dającej się wyrysować, gdy dzisiaj mapa to także przestrzeń wirtualna, niedająca się wykreślić, przekraczająca jakiegokolwiek granice. Rzeczywista–nierzeczywista mapa i jej też poświęcasz uwagę w swojej książce.

22

Przemysław Czapliński: Im bardziej istotna staje się przestrzeń wirtualna, tym mniej zdajemy sobie z niej sprawę, ponieważ jest ona niekwestionowalna. Tymczasem wiele bezpośrednio dotyczących nas operacji odbywa się w przestrzeni wirtualnej. Wszelkie rozliczenia, przecież nasze płace, nasze honoraria wirtualnie przelewane są na dane konto; wirtualnie, czy to przez telefon komórkowy, czy e-mailowo, na FB, kontaktujemy się ze światem, czerpiemy z niego różne wiadomości, po prostu korzystamy ze swobody przepływu informacji.

Grażyna Banaszekiewicz: Jesteśmy też nimi bombardowani. Nierzadko bez możliwości ich weryfikowania.

Przemysław Czapliński: Zarazem dostrzegamy, im bardziej znaczący staje się ów system wirtualny, że kluczową rolę odgrywają jednak przejścia od świata wirtualnego do świata realnego. Ale tak w coraz większym stopniu w społeczeństwie władzę sprawuje ten, kto potrafi skierować naszą uwagę do konkretnych kanałów, przytrzymać nas tam bądź przekierunkować do kolejnego kanału, kolejnego medium, kolejnego wycinka wirtualnego świata.

Grażyna Banaszekiewicz: Co powoduje, że ludzie częstokroć zwalniają się z myślenia, dają sobą powodować, podlegają przekazywanym bodźcom.

Przemysław Czapliński: Tego nie wiem. To chyba zbyt protekcyjne określenie. Bo czy sama jesteś w stanie obronić się przed fałszywymi wiadomościami? Jeżeli tak, to dobrze jest założyć, że inni też sobie z tym radzą. Chociaż w obliczu rosnącego, podsycanego lęku... No, może tak.

Grażyna Banaszekiewicz: Twoja książka ma jeszcze inny wymiar, w ostatnim rozdziale – „Geografia późnej nowoczesności”...

Przemysław Czapliński: ...Tam, gdzie się pojawia TRZECIA MAPA. Tak, piszę o zupełnie czymś innym. Mówię o tym, że najistotniejsze dla polityki międzynarodowej były dwie mapy, to znaczy mapa stała – Ziemia, oraz druga – mapa płynna, uwzględniająca nie tylko oceany, morza, rzeki, jeziora, ale wszystko, co porusza się jak płyn: strumienie samochodów, poruszające się ruchem płynnym inne grupy, informacje płynące światłowodami, gotowymi przewodami, pieńdże, które niczym woda przepływają z banku do banku... A ta trzecia mapa – piszę – to jest mapa powietrzna, mapa w coraz większym stopniu decydująca o kształcie naszego globu. Jeżeli zadamy pytanie, skąd się wzięli w Europie uchodźcy z Bliskiego Wschodu, to trzeba będzie na nie odpowiedzieć właśnie tą mapą powietrzną, czyli mapą klimatyczną. Zaczęło się od suszy. Nie mówiąc już oczywiście o tym, że Stany Zjednoczone narobiły tam bałaganu, po czym wycofały się, nie chcąc posprzątać po swoich działaniach. Ale brak wody i nieprawidłowa dystrybucja dostępu do wody, która zagroziła ogromnej rzeszy społeczeństwa śmiercią, zdecydowały, że półtora miliona ludzi musiało zacząć szukać innego dla siebie miejsca. Dotarło do Europy. Jednocześnie w tamtym pasie państw, po tamtej stronie Morza Śródziemnego, kilka milionów uchodźców przebywa też w Turcji, w Libii... Ci, którzy dotarli do Europy, nie są terrorystami zamierzającymi wysadzić ją w powietrze. Oni po prostu szukają miejsca do życia, takiego, w którym będą zapewnione elementarne potrzeby każdego człowieka. I to jest właśnie owa TRZECIA MAPA. Jeżeli nie zaczniemy się nad nią zastanawiać, myśleć, przewidywać dla niej wszelkich scenariuszy, wariantów obecnej sytuacji, historia nas pokarze tak samo, jak pokarała już w momencie, kiedy ci uchodźcy do nas dotarli, kiedy napłynęła ich fala (proszę zwrócić uwagę na tę akwaryczną metaforę!), odsłaniając, że nie istnieje w obrębie Unii coś takiego jak polityka solidarnościowa, że dusimy się pod naporem niebagatelnego problemu.

Znalazła się w nim Europa Środkowa, Węgry, Chorwacja. Chwilę później ta fala nadpłynęła do Niemiec. Wówczas państwa Europy Środkowej powiedziały: Nie! Odtwarzamy warunki autonomii państwowej nawet sprzed 1945 roku. Nie chcemy być blokami, stawiamy odrębne mury, stanowiąmy sami o sobie. Przeciwno czemu one występują? Przeciwno mapie płynnej, która jednak relatywizuje się w topografii, jako że to punkty zmienne, jako że została ona wprowadzona w ruch za sprawą mapy powietrznej – zmian klimatycznych. Toteż musimy uświadomić sobie pytanie, co będzie, jeżeli zjawiska klimatyczne na Bliskim Wschodzie (pod uwagę należy wziąć również Afrykę), będą się pogłębiały, jeżeli nie półtora miliona, a pięć milionów uchodźców się tutaj pojawi? Kto ich zatrzyma? Przy czym to nie jest armia, to nie wojsko, ale ludzie w swoim uchodźczym dobytku niemający niczego więcej ponad miskę, dwa, trzy swetry, spodnie, rzeczy dla dzieci. Oni – raz jeszcze to mówię – szukają tylko warunków do życia. Nie postulują otwarcia im Europy na zasadzie niech się osiedlają, gdzie chcą. Nie. Zwracam po prostu uwagę na wyzwanie płynące z tego przesilenia, i dla Europy, i dla świata.

Grażyna Banaszkiewicz: Podczas gdy również Stany Zjednoczone stawiają mur.

Przemysław Czapliński: Mur między nimi a Meksykiem jest identyczną taktyką, sposobem odgródzenia się od problemów. Przy czym ja zwracam uwagę, że największy problem dotyka Europy, gdyż jest ona bogatą Północą dla biednego Południa. I Europa musi wypracować jeden z dwóch wariantów: albo okrutny, taki mianowicie, że na wodach okołoterytorialnych ustawione zostaną kanonierki, stateczki militarne będące odgródzeniem dla wszelkich pontonów czy tratw z uchodźcami, albo alternatywnie do tego wariantu zamiast się militaryzować, odgradzać, Europa zacznie z rozważą rozplanowywać tych ludzi, co będzie oznaczało trwanie Unii nie jako federacji osobnych państw, ale jednak pewnego organizmu współpracującego ze sobą. Skądinąd pierwszy kryzys tak pojętej solidarności nastąpił w 2010 roku, wtedy gdy doszło do wybuchu islandzkiego wulkanu. Tysiące osób na kontynencie europejskim zostało wówczas zablokowanych w różnych miejscach przez zawieszono połączenia lotnicze. Wtedy tylko Niemcy na swoim obszarze wydali decyzję o traktowaniu biletów lotniczych jako biletów kolejowych. Natychmiast też uruchomili połączenia autobusowe. W pełni poradzi sobie z nagłą sytuacją. Jednak tylko oni, na swoim terenie.

Grażyna Banaszkiewicz: Przywołuję swoje wcześniejsze stwierdzenie, że ludzie generalnie zwolnili się z myślenia, ugrzęźli w swoim struchleniu.

Przemysław Czapliński: Do tego cały czas się odnoszę: Nie ma już *status quo*. Co więcej, *status quo ante*. Nie ma powrotu do latami trwającego stanu rzeczy. Najbezpieczniejszym dla nas działaniem będzie umacnianie rdzenia europejskiego. Wszystko wskazuje na to, że Niemcy, Francja, Włochy, pewnie Hiszpania, kraje Beneluksu będą to czyniły. Na jakiej zasadzie? Otóż będą zachęcali twórców, artystów, by wymyślali najdziwsze nawet, zgoła nierealne warianty przyszłości.

Grażyna Banaszkiewicz: Tegoroczne 57. Biennale Sztuki w Wenecji i Documenta 14 w Kassel były tego namiastką. Z niezachodzącą dotąd mocą definiowały nasz glob politycznie, formułowały obrazy przyszłości. W polskim filmie krótkometrażowym „Najpiękniejsze fajerwerki ever”, nagrodzonym na Festiwalu w Cannes [wyróżnienie za najlepszy krótki metraż – przyp. red.], który teraz zawalczy o nagrodę na festiwalu w Gdyni [2017, 2 nagrody – przyp. red.], podjęła te kwestie Aleksandra Terpińska.

Przemysław Czaplinski: Musimy sobie wyobrazić zarówno scenariusze dobre, które jakoś wszystko ze sobą skorelują, jak i bardzo złe warianty związane z rozmaitymi kryzysami, epidemiami, nawet wojną. Chodzi o rozbudzenie uśpionej po 1989 roku wyobraźni. Najbardziej deficytowym dzisiaj towarem stało się wyobrażenie przyszłości, gdy ogromnym, jak i ryzykownym interesem było inwestowanie w nostalgię. Też w Polsce. Owe resentymenty kresowe, objawiające się pod postacią licznych tras turystycznych, przewodników, folderów, restauracji etc. Często pod płaszczykiem tak naprawdę kolonialnych złudzeń, kontestowanych, kwestionowanych przez literaturę. Tamtych realiów już nie ma. Aby zmienić ten stan, należałoby wymyślić suwerenność integrującą, czyli porzucić nacjonalizm separujący nas od wschodnich sąsiadów, wypracować nową narrację o Europie Środkowej, złączyć się z Zachodem na poziomie codzienności i wzorem Północy podjąć pracę nad zaufaniem społecznym jako podstawą systemu korygującego nowoczesność. Cztery strony polskiego świata okazują się warunkami geografii późnej nowoczesności. Nie da się opowiedzieć Polski osobnej, jeśli ma ona w ogóle istnieć, ale nie da się współistnieć bez odnowienia narracyjnych powiązań. Narracje eksponujące całkowitą odmienność Polski od Wschodu, narracje o oczywistej przynależności Polski do Europy chrześcijańskiej, o możliwości skopiowania nowoczesności skandynawskiej albo o polskiej samowystarczalności nie nadają się do wykorzystania. Aby jednak wymyślić nową historię, trzeba wyrysować ją na mapie. Żeby więc w jakikolwiek sposób sprostać przyszłości, trzeba puścić wodze wyobraźni. Literatura bierze na siebie to zadanie: kreślenia dobrych i nierealnych, nieprawdopodobnych scenariuszy, układania narracji – sygnałów.

*Rozmawiała Grażyna Banaszkiewicz
Wywiad nieautoryzowany, czerwiec 2017*

LITERACKIE MAZURY



Promienność Prania

Z Wojciechem KASSEM, poetą, kustoszem Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu rozmawia pisarz Jan JASTRZĘBSKI z Gołdapi

WOJCIECH KASS

(1964) – poeta i eseista. Opublikował m.in. tomiki: „Do światła” (1999), „Jeleń Thorwaldsena” (2000) – za które otrzymał nagrodę im. Kazimierzy Iłłakowiczówny i Nagrodę Stowarzyszenia Literackiego w Suwałkach; „Próśnienie i pranie” (2002); „Wiry i sny” (2008); „41” (2010); „Ba! Dwa-dzieścia jeden wierszy” (2014); „Prze-stwór. Godziny” (2015) – nominowa-ny do Nagrody Literackiej Stołeczne-go Miasta Warszawy. Należy do SPP i PEN Clubu. Członek redakcji dwu-miesięcznika literackiego „Topos”. Uehonorowany m.in. nagrodą „Nowej Okolicy Poetów” za dorobek poetic-ki (2004), „Sopocką muzą” – nagrodą prezydenta Sopotu (2011).

Jan Jastrzębski: Pozwól, Wojtku, że zacznę od wspomnień... Jest październik '85 roku, naszego pierwszego roku na Warmii, kiedy to zupełnie „na wariata” wybieram się z żoną Anią do Prania. Pamiętam: Kira Gałczyńska odpoczywa na powietrzu, w admini-stracyjno-gospodarczej części muzeum, a jej mąż podaje nam przez płot podpisane przez nią książki, które przywieźliśmy ze sobą... Nie sądziłem, że kiedykol-wiek znajdę się po drugiej stronie tego płotu, a jed-nak prawie trzynaście lat później, za sprawą Stowa-rzyszenia Literackiego w Suwałkach, tak się stało. Piękne to było z wami spotkanie i nie tylko mnie uję-liście swoją wrażliwością, świeżością, energią jako no-wi gospodarze Prania. Przeżyliście już tam jesień i zi-mę, mimo to trochę o was się niepokoiłem... A jak Ty, Wojtku, widzisz teraz, z perspektywy dwudziestu lat, wasze zjawienie się jesienią 1997 roku w Praniu?

Wojciech Kass: Czy wiesz, że pod koniec 1997 roku w Muzeum Okręgowym w Suwałkach (leśniczówkę Pranie obejmowało wówczas woj. suwalskie, Mu-zeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego było zaś oddziałem suwalskiego muzeum) tamtejsi muzealnicy założyli się między sobą o to, czy przetrwamy nad Jeziorem Nidzkim pierwszą zimą. Powiedział mi o tym wielce zasłużony dla muzealnictwa suwalskiego

Zygmunt Filipowicz, mój ówczesny dyrektor, który bodajże w 1999 roku przyjechał do Prania, aby się pożegnać, gdyż odchodził na emeryturę. *Znakomita większość pomyliła się* – powiedział i pogratulował nam wytrwania. Teraz wygląda to inaczej, ale dwadzieścia lat temu wcale nie było to takie oczywiste, że porzucą się Poznań, w przypadku Jagienki, i Sopot – w moim, decydując się na dom w lesie. Co prawda, to domostwo naznaczone było obecnością Gałczyńskiego i jego legendą, dla wielu nasza decyzja była jednak niezrozumiała i dziwaczna. Nawet Zbyszek Fałtynowicz na chwilę zamilkł, gdy w pensjonacie Dowcień nieopodal Wigier oświadczyliśmy mu, że jesteśmy zainteresowani Praniem, i nie dowierzał, że chcemy zamienić morze na jezioro, molo na kawałek pomostu, miasto ogród na puszcze, sławetny Monciak na bezludne dukty... Kierowca samochodu ciężarowego, zrzuciwszy na podwórku poznański dobytek Jagienki, pokiwał głową i powiedział: *Choćby mi dopłacali, tobym tu nie zamieszkał!* Takie i inne przykłady mógłbym przytaczać bez liku. W Sopocie robiono wiele, aby mnie w rodzinnym mieście zatrzymać. Mówiono: *Scześniesz tam, rozpijesz się, skazany będziesz na drwali, robotników leśnych, walonki*. Jakby obraz Mazur zlał się z kartami „Siekierzady” Stachury, którego – nawiasem wtrącając – w latach 60. do pobliskich Krzyży przywiózł Ziemowit Fedeki, publikujący jego wiersze i prozę w „Twórczości”. Kogóż zresztą pan Ziemowit nie zaraził okolicą Nidzkiego? Marta i Marcin, dwoje smyków z poznańskiej rodziny Jagienki, po krótkim pobycie w leśniczówce wyznali: *Nie moglibyśmy z cicią mieszkać, bo tu nie ma McDonaalda*.

Wracając do Twojego pytania, mogliśmy wówczas w oczach innych wyglądać szczenięcio, zwłaszcza Jagienka. Przed naszym wyjazdem na Mazury przysłała mi do Sopotu kartkę, która przedstawiała chłopca i dziewczynę siedzących w rozpadającym się domu, do którego kapąło przez dziury w dachu, i opatrzona była napisem: *biednie, ale razem*. Owszem, bywało biednie. Zanim Jagienka znalazła zatrudnienie w Pieszku, żyliśmy z mojej niewielkiej pensji i z drobnych przyległości honoraryjnych. Jagienka posiada zdolności manualne (zawsze pragnęła skończyć którąś ze szkół rzemiosła artystycznego) i swojego czasu z masy solnej lepila wielkanocne baranki, którym po wypieczeniu malowała na brązowo ślimy, czyli zakręcone rogi. Te baranki w okolicy świąt sprzedawaliśmy na targu w Łysych. Właściwie to Eros – potężna siła – zwiódła nas do Prania. Nic i nikt nie mógł jej wtedy zmóc.

28

Nie w tym rzecz jednak, pierwsze lata w Praniu wspominam jako te najszcześliwsze, kiedy to na niekłamaną radość serca nie kładł się jeszcze cień rutyny oraz nudy generowanej przez powtarzalność życiowych czynności, jak też wypracowanych przez lata mechanizmów, wprawiających Pranie w kulturotwórczą ruchliwość. Musisz wiedzieć, że kiedy zaczęliśmy urządzać się na wzgórzu, bo Pranie położone jest na wzgórzu, to myśmy tu nikogo nie znali, a ziemia mazurska, poza szlakami żeglownymi, które wcześniej kilka razy przetarła Jagienka, była dla nas *terra incognita*. Odkrywaliśmy ją dla siebie po omacku, chaotycznie, lecz w pełnym upojeniu i zachwycie. Tak, dla nas spał na Mazurach Bóg, niekiedy przeciągał się, a wtedy my przecieraliśmy oczy.

I jeszcze jedno, skoro mówisz, że to spotkanie w Praniu wiosną 1998 roku było piękne, to należy odnotować, kto w nim uczestniczył, kto czytał wiersze i prozę, siedząc na krześle Gałczyńskiego: Józefa Drozdowska, Leszek Aleksander Moczulski z synem Mateuszem, Mirosław

Słapik, Tadeusz Krzywicki, Zbyszek Fałtynowicz, Stefan Maciejewski, Wiesław Osewski oraz Ty i ja. Po wyjeździe z Prania Leszek ułożył wiersz „W leśniczówce pana Konstantego”, jeden z najpiękniejszych w długim szeregu tych, które eksponują fenomen ciszy tego miejsca, a zachynający się od słów: *Jeszcze was ptaki z puszczy trzymam na uwięzi*.

Jan Jastrzębski: Wasza decyzja o związaniu się z tym miejscem obrosła już legendą. Czy jadąc do Prania i, w przeciwieństwie do Jagienki, nie znając go, miałeś jakieś wyobrażenie tego, co Cię tam czekało?

Wojciech Kass: Najpierw udaliśmy się do Prania w czerwcu 1997 roku, a więc na miesiąc przed przeprowadzką, gdyż Kira Gałczyńska życzyła sobie nas poznać. Był z nami Zygmunt Filipowicz i Zbyszek Fałtynowicz. Z tego pobytu szczególnie utkwiła mi w pamięci droga do Prania, ten jej krótki odcinek, kiedy to za terenem popadłej w ruinę fabryki płyt wiórowych skręca się w lewo na Krzyże i Karwicę. Dzisiaj ta droga jest pokryta asfaltem, ale wtedy była szutrową, latem niemilosiernie kurzącą, a późną jesienią i na przednówku niekiedy nieprzejezdną ze względu na wielkie kałuże i zwały błota, lecz tamtego czerwca na kilku odcinkach stanowiła zielony tunel prowadzący do czegoś Niewiadomego, acz bardzo przyjemnego. Mogę powiedzieć, że była magiczna, bajkowa, urokliwa, ale tak nie powiem, gdyż te słowa powtarzane codziennie przez setki ust straciły już swoją moc, dlatego są płaskie, przestały znaczyć, są puste. Nieżyjący już mąż Kiry Gałczyńskiej, Janusz Kilański, na moje pytania, na co w Praniu powinienem zwrócić uwagę i jakie trudności mnie tu spotkają, odpowiedział krótko: *Pobędzie pan, to zobaczy*. Innych jego słów nie pamiętam, bo nie padły. Kiedy opuszczaliśmy Pranie, córka poety nachyliła się do Zbyszka Fałtynowicza i ściszym głosem oznajmiła: *Nie poradzają sobie, za wrażliwi*. Ale te słowa Zbyszek przytoczył mi po roku. Zresztą wielką panią tego małego domu była Kira Gałczyńska, to ona nadawała kulturalny ton temu miejscu, ona wносиła do niego nieco dumny, acz inteligencki sznyt. To, że zamieszkaliśmy w obejściu leśniczówki, że dostaliśmy w nim dwupokojowe służbowe mieszkanie, zawdzięczamy temu, że to ona w pierwszej kolejności wyjednała ten metraż dla siebie i męża. Jej wola i upór ustanowiły tradycję: opiekunowie Prania w tymże Praniu mieszkają.

Obejmując to miejsce, odczuwałem głęboką niepewność i niepokój. Niepewność brała się stąd, że za sobą zostawiałem bogate trzydzieści trzy lata życia w Sopocie i nie da się wyrwać z siebie tęsknoty za tym miastem i w pewnym sensie „osieroconymi” przeze mnie osobami. Niepokój brał się zaś z zasadniczych pytań: czy podołam temu miejscu, czy się w nim sprawdę, czy zawiąże się między nim i mną duchowa wzajemność, egzystencjalne współobcowanie? Przecież pan Janusz Kilański nie przekazał mi dziedziczenia, nie nastąpił z jego strony choćby najmniejszy symboliczny gest, choćby namiastka rytuału przekazania teraźniejszości w ręce przyszłości. Wypowiedziane przez niego słowa znamionowały odcięcie się, jakiś taki gest odganiający nazbyt natarczywego komara. No dobrze, a z drugiej strony odczuwałem jeszcze nie przeświadczenie, ale już przeczcucie przygody, której na imię Wyzwanie. Niejasno czułem, że w tym miejscu spotka mnie łaska przemiany, że wstąpię tutaj w samo centrum misterium, które oferuje tylko natura. A poza tym zaczynałem wspólne życie z Jagienką, bo do tej

pory byliśmy pasażerami różnych środków lokomocji i lokatorami miejsc bardziej lub mniej przypadkowych.

Jan Jastrzębski: Na ile prańska rzeczywistość okazała się zbieżna z Twoimi projekcjami, a na ile Cię zaskoczyła?

Wojciech Kass: Nie kalkulowałem w ten sposób, w ogóle atrybutem pierwszych lat życia i pracy w Praniu na pewno nie było kalkulowanie, przynajmniej tak teraz o tym myślę. Tymi atrybutami było zaskoczenie i zadziwienie, co dałoby się porównać do poetyckiego istnienia w świecie. O tak, mnogość rzeczy się wtedy przede mną otwierała i mnie otwierało. Jak ten stan nazwać? Zewnętrzno-wewnętrznym zanurzeniem w miejscu? Wzajemną ufnością? Poddaniem się orszakowi ludzi, zjawisk, rzeczy napierających z zewnątrz i wypełniających człowieka organicznie, po brzegi, po najmniejsze tkanki? Jakoś tak. Ten napór przemieniał mnie, prał, czułem się jak istota zmieniająca skórę. Nie, Janku, żadne wyobrażenia, kalkulacje, po prostu los brał nas w objęcia, niekiedy odkrywał rąbek swojej ukrytej twarzy.

Czy wiesz, że gdzieś w początkach lat 80. ubiegłego wieku, podczas moich podróży po Polsce wraz z mentorem moich młodzińskich lat Andrzejem Kryszczyńskim, jego żoną i córką, napisałem wiersz zatytułowany „Kustosz”? Napisałem go pod wrażeniem pałacu Izabeli Czartoryskiej w Gołuchowie, inspirując się wierszem Stanisława Grochowiaka, zdaje się, że pod tym samym tytułem. Czy już więc nie w tamtym, odległym czasie zapisało się coś, co miało spotkać mnie w przyszłości? Kilka lat po naszym zamieszkaniu w Praniu zawitał na wzgórze kolega Jagienki, towarzysz ich żeglownych podróży sprzed lat, to on przypomniał jej pobyt w Praniu i spacer w alei świerkowej (teraz zwanej Aleją Nieznanego Poety), podczas którego ponoć miała wtedy wypowiedzieć znamienne słowa: *Ja tutaj kiedyś zamieszkam*. Dziwne? Ktoś powie, że dorabiam mitologię, niech sobie mówi. Jako poeta czytam takie znaki, słowne i każde inne, bo wiem, że ze znakami nie ma żartów. Współczesny racjonalny człowiek stracił węch, słuch, wzrok, uznając, że przestały mu one być potrzebne. Tymczasem zanim ludzki umysł cokolwiek pojął, uporządkował, wpierw węch, ucho, oko mędrców musiało pochwycić. Słowem, czujność zmysłów wyprzedza rozum, tego między innymi nauczyłem się w puszczy, na wzgórzu, nad Nidzkim. Nauczyłem – to może złe słowo, może należałoby powiedzieć tak: niekiedy uderza we mnie ukryta konstrukcja tej prawidłowości. A jeszcze ta „Kassa”, którą Gałczyński uparcie pisał w swoich pismach przez duże „K” i dwa „s”. Włodzimierz Słobodnik w wierszu dedykowanym Gałczyńskiemu napisał tak: *Jeszcze Rej nam powiedział kochany, / że nie gęsi, lecz swój język mamy, / dzisiaj również – zielonej gęsi język, / tuczzonej przy kassach*. Dziwne i zarazem zabawne.

30

Jan Jastrzębski: Jak wyglądał Wasz pierwszy rok w Praniu – wspólna podróż przez cztery pory roku? Więcej było zachwytu czy oporu materii?

Wojciech Kass: Pewnie i to, i to. W moich wspomnieniach jest niekiedy więcej zachwytu, oporu materii zaś – w tych Jagienkowych, a czasami odwrotnie. Dla nas Pranie było jak cu-

downa gwiazda-ład rozpalona przez Gałczyńskiego w jego poetyckich obrazach, choć przecież świeciła znacznie wcześniej, zanim poeta wprowadził to miejsce do historii polskiej literatury i kultury literackiej. Leśniczówka bowiem miała swoją historię niemiecką, ale, o ile mi wiadomo, ta historia nie doczekała się żadnych świadectw piśmiennych. W wierszu „Leśniczówka Pranie” zrobiłem taką wyprawę przed 1945 rok. Wylądowaliśmy więc na tej gwiazdzie, skąd rozchodziły się rozliczne drogi w bliższą i dalszą okolicę; wyposażeni w literaturę i mapy wyprawialiśmy się nimi we wszystkich kierunkach, niejako promieniście doznawaliśmy co rusz nowych olśnień i wtajemniczeń, jakbyśmy odkrywali nową ziemską galaktykę. Zatem ten pierwszy rok i kilka następnych upływały pod znakiem poznania, czyli spożywania owoców z drzewa wiadomości, tych dobrych – w zachwycie, i tych złych – pokonując opór materii. Gdybym dzisiaj miał ten czas nazwać, to z braku innych słów określiłbym go porą „oszołomienia”.

W 1999 roku Jagienka urodziła naszego syna, któremu daliśmy na imię Bruno. Z wiadomych względów urodził się w szpitalu w Piszcu, w sumie jednak jest to pierwsze dziecko po II wojnie światowej, które może z całą odpowiedzialnością podkreślać: *Urodziłem się i wychowałem w Praniu. Na wzgórzu minęło moje niemowlęctwo, dzieciństwo, młodość.* 28 września 2017 roku Bruno skończył 18 lat, ciekawy jestem, jak to miejsce, my, rodzice, poniewierająca się przyroda oraz liczni goście zajmujący poczesne miejsce w polskiej kulturze ukształtowały jego osobowość, zbudowały go wewnątrz, utkały jego duchową koronkę. Zaraz po tym, jak syna i jego matkę małym fiatem, zwanym przez nas „cytrynkiem”, przywoziłem do Prania, tuż koło budynku, w którym mieszkamy, na płot i liche zabudowania gospodarcze przewrócił się świerk. Pomyślałem sobie, że tylko las potrafi wznosić takie toasty. My rozbijamy puchar, przyroda powala puchar drzewa. Padło drzewo, niech żyje człowieczek.



Wojciech Kass z żoną Jagienką i synem Brunonem w Praniu, lato 1999 lub 2000 | Fot. Jakub Dobrzyński

Jan Jastrzębski: W jaki sposób „urabiałeś” w sobie przestrzeń dla Gałczyńskiego, który przecież nie był Twoim poetą, a którego pamięcią miałeś się opiekować?

Wojciech Kass: Nie był. Był nim Miłosz. Ale powiedzmy sobie szczerze, moje dawne myślenie o autorze „Balu u Salomona” w kontekście autora „Traktatu moralnego” było nieuprawnione, niedomyślane. Przede wszystkim jednak dogłębnie nieprzeżyte albo inaczej: przeżyte powierzchwniowo, a nie z gruntu. Słowem, robiłem szczeniackie „miny”. Co nie było ładne, a to dlatego, że Gałczyński nie mógł mi odpowiedzieć „miną”. Przedstaw sobie jednak, że żyje i odpowiada „miną” wersu, strofy, wiersza, kupletu. Ach, mogłaby to być mina porażająco piękna albo straszliwie sarkastyczna, skraplająca mnie w jakiś brzydko pachnący roztwór lub krystalizująca mnie, dajmy na to, w zwisający stalaktyt skazany na ciemną jaskinię. Chciałem doznać poety żywego, co, że niemożliwe? Co złego w pragnieniu niemożliwego? Narzędziem takiego pragnienia jest właśnie poezja. Ale do rzeczy. Jestem czuły na martwy język, czuły na frazes w języku, banał, jego powtarzalność, mechaniczność. I taki martwy język, taka mowa-trawa na temat Gałczyńskiego i względem jego „świętej mowy” osaczała mnie, o paradoksie, właśnie w Praniu, dobywając się z setek ust zwiedzających to miejsce turystów. Żebyś wiedział, jak te gadki są męczące, jakie duszne i jak trudno przed nimi uciec, chyba że na dno jeziora lub w głębię jeziora. Wyobraź sobie setki słownych klisz o Gałczyńskim, wypowiedzianych w tym właśnie miejscu. Niekiedy odnoszę wrażenie, że ono pod ich ciężarem tonie.

Słowem, jesteśmy wszyscy niewolnikami języka, z tą różnicą, że poeta tego zniewolenia jest świadomy, a pozostali nie. Poetom udaje się niekiedy rozedrzeć językowy gorset, co wymaga nadludzkiego trudu i straszliwej miłości do całej tradycji języka, a pozostali w owym gorsecie tkwią. Mało tego, swoim bezmyślnym i nic niekosztującym gadulstwem sprawiają, że on jeszcze bardziej się zaciska, powodując omdlenia i utratę tchu, a poezja jest przecież wolnym, szerokim i niespiesznym oddychaniem.

No więc pragnąłem dotknąć najbardziej samotnego miejsca w Gałczyńskim i chyba to mi się udało, a jednocześnie wyzwoliło mnie z moich głupich min. Tak, po zapisaniu *in tormentis scriptris* poematu „Ba!” odczułem ulgę, spłynął na mnie wielki spokój. Odbylem rytualny taniec z mistrzem w silnym uścisku, trudnym, ale za to serdecznym. Poznałem mojego Gałczyńskiego, poetę – wbrew pozorom – wielce samotnego i bezmiernie opuszczonego, bo był jedyny i w żaden sposób niepodrabialny. To był mój żywy taniec z poetą, jaki odbyłem niejako wewnątrz jego/mojego języka. Chcesz poznać poetę? Odbądź z nim taniec nad przepaścią! Miłosz powiedział, że Gałczyński zawarł w swojej poezji najwięcej z epoki, nikomu z polskich poetów to się nie udało. Podkreślam – nie udało się w poezji, po którą sięga się tylko w chwilach największego napięcia duchowego i jedynie wówczas, gdy inne formy sztuki piśmiennej nie są w stanie tego napięcia ani udźwignąć, ani dać mu się rozładować. A Gałczyński wiedział, że wielkie utrudzenie jest cudowne.

Jan Jastrzębski: Jak dochodziliście do własnej wizji Prania, pomysłu na swoje tu bycie i funkcjonowanie muzeum? Skąd przychodziły impulsy, bodźce?

Wojciech Kass: Na początku byliśmy pewni jednego – Pranie powinno stać się miejscem bardziej otwartym i dialogicznym zarówno dla społeczności lokalnej, jak i turystów zjeżdżających na Mazury. Oczywiście, otwarte nie na wszystko, a zwłaszcza na współczesny aksjologiczny nieład i kulturowy chaos, gdyż wówczas straciłoby twarz, wyraz. Zresztą powiedz: co to znaczy otwarcie? Nie doznasz go, nie doświadczając zamknięcia. Całość naszego ziemskiego doświadczenia jest dualna, dlatego otwierasz się, kiedy zamykasz, i zamykasz się, kiedy otwierasz. Od dłuższego już czasu, latem, na prańskiej scenie umieszczam stojak z napisem: *Zakaz wstępu na scenę*. Magda Umer zapytała, dlaczego taki napis. Ano dlatego, że scena jest dla artystów, dla polityków zaś mównice, dla dzieci – piaskownice, dla amatorów piwa – krzaki lub bary etc. To przeświadczenie bierze się z jakichś resztek magicznego myślenia, które głęboko ukryte tkwią w rdzeniu mojego mózgu. Może nie tyle myślenia, co „sposrzegania” ludzi i miejsc, natury i zjawisk, rzeczy i zwierząt. Uważam bowiem, że nasza cywilizacja, której duchem jest pęd, nazbyt już daleko posunęła się w naruszalności idei miejsca, dając przyzwolenie na jego „gwałt” przez masowe „widzimisie” oraz na zatarcie różnic między istotą miejsca a tym, co pochodzi z zewnątrz i w gruncie rzeczy jest nieistotne lub mało istotne. Dlatego miejsca zaczynają tracić przyrodzoną im „sakralność”, „inność”, *genius loci*. Tymczasem nasza cywilizacja oferuje nam rozwiązania, które w gruncie rzeczy rozmywiają istotność i wyrazistość miejsca, a mianowicie buduje obiekty wielofunkcyjne, wielocelowe, służące wydarzeniom i sprawom kompletnie do siebie nieprzylegającym, igrzyskom w skali dotąd niespotykanej. Przyjrzyj się agroarenom; w jednym tygodniu odbywają się w nich mistrzostwa sportowe w dowolnej dyscyplinie, w kolejnym – targi gospodarcze lub zjazdy partyjne, potem festiwal fryzjerski lub pokazy psiej mody, następnie koncert muzyczny jakiejś hałaśliwej grupy lub eksperymentalny spektakl teatralny, w którym statyści latają z gołymi tyłkami. Niekiedy myślę sobie, że owa gigantomania architektoniczna i megalomania „atrakcji”, „dziania się” dawno przekroczyła jakąś elementarną ludzką miarę istnieniową.

Kultura jest przy świeczkach – powiada mój anielski chlebobdawca Gałczyński, a w „Notatniku”, zapisywanym przez trzy miesiące w stalagu w Altengrabow, postawił takie oto zdanie: *Istotą, z której wyrasta cywilizacja, jest skłonność do kładzenia każdej rzeczy na miejscu*. Staram się więc, aby rzeczy w Praniu miały swoje miejsce i aby ich miejsca nie były mylone oraz dbam o zachowanie kameralności Prania, właściwie rozstawiając służące jej akcenty, co znaczy akurat tyle, że żaden człowiek nie powinien czuć się na wzgórzu ani zanadto anonimowy, ani zanadto schowany, prywatny. Andrzej Strumiłło namalował jedną z symbolicznych wariacji leśniczówki, a mianowicie obraz przedstawiający leśniczówkę jako arkę. Kiedy jednak na któryś z koncertów ściągnie tłumna publiczność, można odnieść wrażenie, że konstrukcja arki nadmiernie trzeszczy, a ona sama niebezpiecznie się przechyla, nabiera wody. Podobnie jest z wierszem; na przykład krótki wers nie dźwiga ciężaru zbyt długich słów, przymiotnika, imiesłowu. Prawidłowości gramatyczne w dużej mierze odpowiedziała naszemu umysłowi natura.

Jedną z twarzy ducha mazurskiej ziemi jest kameralność zarówno natury wraz z jej krajobrazami, jak i kultury, która przede wszystkim miała charakter domowy. Tę kameralność, tę domowość najbardziej odczuwam w miejscu Kajokowym w Ogródku koło Orzysza lub Wiechertowym w Pierśławku koło Piecek. I żeby było jasne, idea domowości i kameralności nie prze-

kreśla otwartości, podkreśla jednak dystans do wszelkich form masowego show czy też zbiorowego szalu.

Jan Jastrzębski: Pamiętam, że na początku upominałeś się o to, aby gdy mówi się o kulturze regionu, nie tracić z oczu Prania. Był z tym jakiś problem?

Wojciech Kass: W 2000 roku na fali reformy administracyjnej kraju Pranie objęły na powrót granice województwa warmińsko-mazurskiego, wcześniej olsztyńskiego. Przez bez mała ćwierć wieku południowo-wschodnia część Mazur, w której leży Pranie, była pod jurysdykcją suwalską, ale wtedy to właśnie, między innymi za sprawą zmarłego w 2013 roku Zygmunta Filipowicza, dyrektora Muzeum Okręgowego w Suwałkach, izba pamięci Gałczyńskiego awansowała do rangi muzeum, które otwarto w czerwcu 1980 roku. Na fali owej reformy muzeum przeszło pod władanie samorządu powiatu piskiego, którego rada w tym samym roku, stosowną uchwałą, uczyniła muzeum Michała Kajki w Ogródku oddziałem muzeum prańskiego. Tak oto prawo administracyjne złączyło w jedną instytucjonalną strukturę miejsce pamięci poety autochtonicznego z miejscem pamięci poety gościa. Rozmaite okoliczności historyczne zdecydowały o tym, że w stosunkowo niewielkiej odległości położone są trzy muzea, upamiętniające pisarza języka niemieckiego w Pierśławku, poetę polskiego w Praniu i poetę mazurskiego w Ogródku. Ów muzealny trójkąt ilustruje dziedzictwo kulturowe i piśmienne mazurskiej strony Europy.

Wracając do postawionego przez ciebie pytania, to w tym czasie mogłem do któregoś z mediów wypowiedzieć przytoczone w pytaniu zdanie. Okres przejmowania muzeum w Praniu przez urząd powiatowy nakładał się na proces formowania powiatowych samorządów terytorialnych, które przechodziły fazę nauki. Stąd wynikały różne niepewności związane z finansowaniem muzeum, kształtowaniem jego budżetu, na szczęście chwilowe. Wysunęliśmy wówczas koncepcję współprowadzenia i współfinansowania muzeum przez dwa samorządy, marszałkowski w Olsztynie i powiatowy w Piszcu, ale i ona była chwilowa.

Jan Jastrzębski: Działacie z wielkim rozmachem, co nieuniknienie łączy się z pozyskiwaniem środków, zdobywaniem funduszy. Jest to trudne czy bardzo trudne?

34

Wojciech Kass: Odbiorca naszych poczynań na wzgórzu dostrzega jedynie czubek góry, proporzak zatknięty na tym czubku. A jakiegokolwiek sensowne przedsięwzięcie kulturalne, przeprowadzone od elementarnego A do ostatniego Z, jest jak usypywanie góry, u jej podnóża da się słyszeć „fedrowanie geologów za pieniądzem”. Podobnie jak w kulturze hałasu, żyjemy w kulturze pomysłu i gadżetu, a także projektu. Niektórzy autorzy wierszy zwierają mi się tymi słowami: *Mam projekt na tomik*, albo: *Napisałem wiersz z pomysłu*. W naszą kulturę literacką wkrada się wiersz-pomysł, wiersz-gadżet, tomik-projekt. Do rzeczy, wiele osób podsuwa mi różne pomysły na Pranie i na takim pomysle kończy się ich twórczość oraz zyczliwość. Zaryzykuję stwierdzenie, że masowa kultura grzęźnie w pomysłach. I Ty, i ja wiemy, że pomysły nieprawdopodobnie trudne i robotą, cierpliwością i troską, są li tylko wydmuszkami. Pomysłów

w głowie rodzi mi się multum i mógłbym rozłożyć je jak wachlarz na firmamencie mazurskiej okolicy, a przy tym mam dwie ręce, jedno serce, anioła Jagienkę, niezgorszą wyobraźnię, wypróbowanych przyjaciół, swoich umarłych, no i patrona w postaci Wielkiego Cienia, czyli Gałczyńskiego. Co wymieniłem, to i tak dużo, dlatego wypada mi składać wyłącznie dziękczynienie zarówno ludziom dobrej woli, którzy przez ostatnie dwadzieścia lat bezinteresownie i w dowolnej formie, czy to intelektualnej, czy rzeczowej, czy pieniężnej, wspierali moją działalność i pisarstwo, jak i niedocieczonym siłom wyższym, które – mam takie wrażenie – nie szczędzą mi opieki. Ale były i dary warte podkreślenia. Otóż w 1999 roku jednego z niedzielnych koncertów w Praniu z cyklu „Muzyka u Gałczyńskiego” wysłuchała Hanna Gronkiewicz-Waltz, wtedy prezes NBP. Zapewne spędzała kilka wolnych dni w ośrodku banku na Guziance, gdzie znajduje się śluza łącząca jeziora Nidzkie i Bełdany. Nie podszedłem do pani prezes, ale zrobiłem jej amatorskie zdjęcie. Jesienią dyrektor Muzeum Okręgowego w Suwałkach, wówczas już Jerzy Brzozowski, zakomunikował mi, że przyszłoroczny budżet muzeum będzie chudy, w związku z czym zawiesza finansowanie owych niedzielnych koncertów, które wtedy organizował prezes Suwalskiego Towarzystwa Muzycznego Zdzisław Wyszkowski, aktorską interpretację twórczości Gałczyńskiego monopolizował zaś zmarły w 2010 roku Wojciech Siemion. Mówię: monopolizował, lecz nie ma w tym przytyku, bowiem aktor ten wykonywał poezję Gałczyńskiego koronkowo i wzorcowo zarazem. Pamiętam, jak kiedyś ściągnął ze stóp drewniane chodaki i założywszy je na dłonie niczym bokerskie rękawice, wystukiwał nimi rytm „Kolczyków Izoldy”. A kiedy już znalazł się w środku wykonywanych wierszy, płonął jak pochodnia, a wtedy jego silny głos docierał przez leśną gęstwinę aż na parking, gdzie ludzie ciekawi prąńskiego wzgórze pozostawiają swoje pojazdy.

Kiedy po telefonie dyrektora Brzozowskiego wywołałem letnie zdjęcia, a jedno z nich przypomniało mi panią prezes NBP, która na tym zdjęciu siedziała na którejś z ostatnich ławek na widowni, postanowiłem napisać do niej list z prośbą o dofinansowanie „drzewa” koncertów, które przez lata tak pięknie rosło, a teraz skazane jest na uschnięcie. Kiedy list wkładałem do skrzynki pocztowej, na nic nie liczyłem, nawet na odpowiedź, przeciwnie, wyobrażałem sobie, że któryś z selekjonerów korespondencji do pani prezes list mój bez mrugnienia okiem wyrzuci do kosza. Po kilku dniach jednak podniosłem słuchawkę telefonu, w którym usłyszałem głos naczelnika stosownego wydziału NBP. *Nie wiem, co pan napisał w liście – usłyszałem – ale ujęta nim pani prezes wydała polecenie finansowego wspomnienia koncertów.* Na tym nie koniec, kiedy już pani Gronkiewicz-Waltz objęła wiceprezesurę EBOR-u w Londynie, w wyniku jej wstawiennictwa NBP wspomógł pieniężnie najszynniejszą w Polsce leśniczówkę jeszcze raz, może dwa. Przypadek z tym zdjęciem?

Andrzej Kłoptowski, były olimpijczyk w pływaniu, doradca przy UNESCO, mieszkający w Karwiku koło Pizsa, gdzie pomazurski dom z zabudowaniami kupił swojego czasu również Roman Bratny, przyprawił pod koniec XX wieku do Prania Wiesława Sanakiewicza, który miał wysoką pozycję w Telekomunikacji Polskiej S.A. Obaj, wysłuchawszy z przejęciem mojej opowieści o planowanych przeobrażeniach na wzgórzu, poruszyli następnie znane im tylko struny w telekomunikacyjnej firmie, z czego wynikała spora suma przelana na konto Stowarzyszenia Leśniczówka Pranie. Była na tyle duża, że przez trzy lata zasilala sezony artystyczne

w Praniu, a ich organizatorom zapewniła pewny i silny sen. Darczyńcy nie chcieli oficjalnych podziękowań, a tym bardziej rozgłosu, ale teraz, kiedy obaj nie żyją – aj, dawno umarli! – przytaczam ich dobroczynny uczynek z roztkliwieniem oraz *in memoriam*.

Jan Jastrzębski: Przybywałeś na Mazury jako człowiek piszący. W jaki sposób wchodziłeś w nowe środowisko literackie i jak ono wyglądało z perspektywy Sopotu?

Wojciech Kass: W Sopocie czy w Trójmieście nie obracałem się w żadnym ze środowisk literackich. Skądinąd jednak wiem, że ono miało do mnie pretensje, bowiem osób z nim związanych nie zapraszałem do Sopotu podczas organizowanych przeze mnie wizyt Czesława Miłosza. Uwier, nie było w tym ani puchy, ani lekceważenia, po prostu byłem, jak to ujął mój mecenas Wiesław Uchański, naiwnym poeciątkiem. Do tego singlem, bez jakichkolwiek powiązań literackich. Może stąd pytanie Miłosza do swojego kuzyna (i on nie żyje) Zbigniewa Lipińskiego: *Skąd wziął się Kass?* Dlatego perspektywa sopocka nie ma tu nic do rzeczy.

W środowisko literackie Suwalszczyzny wciągał mnie Zbyszek Fałtynowicz, który zachęcał, tłumaczył, objaśniał i wpisał mnie na listę członków Suwalskiego Towarzystwa Literackiego, które w listopadzie przyznało mi coroczną nagrodę, finansową, zaraz po tym, jak za swoje debiutanckie tomiki „Do światła” i „Jeleń Thorwaldsena” otrzymałem Nagrodę im. Kazimierzy Iłłakowiczówny. W tym czasie, pamiętam, złożyli wizytę w Praniu Władysław Katarzyński i kolejny umarły przywoływany w naszej rozmowie Józef Jacek Rojek, którzy zaproponowali mi wstąpienie do olsztyńskiego ZLP, lecz odmówiłem. Do olsztyńskiego oddziału SPP natomiast zarekomendował mnie Zbigniew Chojnowski. W 2001 roku w Domu Literatury w Warszawie wystawiono mi legitymację o numerze 1016, zostałem więc tysiąc szesnastym literatem po Miłoszu, cokolwiek to znaczy.

Jan Jastrzębski: Muzeum zyskiwało nowe oblicze, Ty zaś – o czym świadczy Twój dorobek twórczy – wzrastałeś jako poeta. Czy to Puszcza Piska obudziła i wywołała Twoją poezję, wyszumiała i wykołysała Twoje pieśni?

Wojciech Kass: Wiersze zapisywałem od podstawówki. Pamiętam nawet ten pierwszy, skreślony pod wpływem Mickiewiczowej inwokacji z „Pana Tadeusza”. Niedawno odwiedziła mnie Ż., koleżanka, już mężatka, z rodziną. Powiedziała, że zachowała te wszystkie wiersze, które wkładałem do kieszeni jej kożuska wiszącego w szkolnej szatni, na wszelki wypadek, gdybym jednak stał się sławny. [Śmiech]. Musiałem być głęboko nieśmiałym chłopcem, wiersze były więc moim komunikacyjnym kanałem zastępującym mi bezpośredni, normalny kontakt. Kryłem się zatem za filarem wiersza, za znakiem pisemnym. Przed przyjazdem do Prania wiersze oczywiście publikowałem, za niektóre wpadło mi również kilka literackich wyróżnień. Pamiętam jednak wieczór, kiedy powiedziałem sobie: *nie wygłupiaj się, zostaw stare w spokoju, niech zdycha*, i rozpaliwszy w kominku ogień, pożywiłem go kilkoma cyklami wierszy, notatkami, próbami sztuk scenicznych. Wszystko to było miłą, naznaczone młodzieńczym trądzikiem, całkowicie już niepotrzebne ani mnie, ani nikomu.

Co, jak to ładnie ująłeś, wykołysała i wyszumiała Puszcza Piska w moich wierszach, to wiadomo. Jeszcze w tomiku „Gwiazda Głóg” puszcza pozostaje w progu wierszy, nadal jest czymś zewnętrznym, nie całkiem zaproszonym, a to dlatego, że ja poszukuję języka, poprzez który mógłbym wejść w jej centrum, maticznik. Powiem tak – terminuję w ogródkach wielkich gospodarzy poetyckiego sensu i języka, grzecznie modelując pod ich dyktando grządki strof, strofoid oraz pilnie wytyczając ścieżki wersów. Pierwsze znaki przełomu odnajdujemy w „Wirach i snach”, ale całkowity dokonuje się w tomie „41”, czemu dałem wyraz w dzienniku zapisywania tychże ciemnych pieśni poprzedzonych stanem, jak to ujęła Achmatowa, *przedpiosenego niepokoju*. Po tym doświadczeniu twórczym przekonałem się, że dotąd moje odczuwanie poniewierającej się wkoło puszczańskiej natury było naskórkowe, dekoratywne, że ona ledwie w znikomej swojej części była mi dostępna, w znakomitej zaś większości pozostawała w ukryciu. W znikomej, czyli estetycznej, w znakomitej, czyli ontologicznej. Kiedy na przełomie lutego i marca 2010 roku tworzyłem w Praniu pieśni, byłem tutaj nie tak „obecnym” jak codziennie, raczej metaobecnym. W posiadanie brało mnie jakieś ukryte dotąd meta-Pranie i metapuszcza. Była to przestrzeń, która w sposób dotąd mi nieznanym miała mnie, prała, w której czułem się organicznie związany z wielce skomplikowanym i utajonym systemem oddechowego wszechstworzenia. Nic nie było mnie w stanie oddzielić od istnieniowej całości, jakbym był częścią jakiegoś nadzwyczajnego instrumentarium, cudownego polifonicznego interioru, gdzie wszystko z sobą gada, zaplata się, obejmuje. Jagienka mówiła, że żyłem nieprzytomnie pochłonięty rzeczywistością jej niedostępną. Starła się mnie trzymać za wystający mysy ogonek, abym przypadkiem nie wpadł na dobre w ten interior i powrócił z niego jak najmniej obolały, posiniaczony. A kiedy źródło pieśni wysychało, chodziłem po Praniu jak dziecko przecierające oczy ze zdziwienia; było ono takie, jakbym ujrzał je po raz pierwszy, na nowo, ludzie i rzeczy świeciły, a mną powodował *spiritus lenitatis*. Nie miałem ochoty na cokolwiek napierać, cokolwiek ustanawiać, poprawiać, przeinaczać, mówiłem do siebie – świat pragnie być głaskanym, a nie gwałconym. Wówczas to słowo poezji odsłoniło przede mną swoją absolutną realność. *Słowa się nie wymyśla* – zapisał Mandelsztam. Przekroczyłem ważny dla siebie próg, poza którym poezja przestaje być sprawą ambicji, a staje się czymś niezbędnym istnieniowo oraz językową koniecznością.

Jan Jastrzębski: Naznaczone surowością i powagą piękno puszczy, świetlistość jeziora... W jakiej mierze owo *malutkie i własne centrum*, które przybliżasz nam w „Notesie”, publikowanym w dwumiesięczniku literackim „Topos”, pomaga Ci w *pracy nad życiem, w budowaniu życia?*

Wojciech Kass: Pozwala zachować mi równowagę i dystans wobec dookólnego galopu ludzi i zjawisk, kalejdoskopu przemian historycznych, medialnej hysterii, konwulsyjnej sztuki, żalosego repertuaru min i gestów pseudoartystów, celebryckiego cyrku, aktorskich burd polityków, oszustw intelektualistów, społecznej paniki, wobec straszliwie zmęczonej twarzy kultury europejskiej i światowego kłamstwa w natężeniu dotąd w historii niespotykanym oraz wobec tego całego upadku ludzkich postaw i zachowań, który odbywa się – jak napisała mały wielki

mistrz Różewicz – *poziomo*. Nie znaczy to jednak, że i mnie, tutaj na wzgórzu, nie dopada hydra wewnętrznego chaosu, nie podchodzi melancholia, która jest jak nieruchawa mulista ryba. Przyroda, ta mazursko-północna, ta późnojesienna, zimowa i wczesnowiosenna ma cechy wampiryczne, a ten jej bezruch wydaje się „trupim”, „prosektoryjnym”. Pytasz, na ile małe prańskie centrum pomaga mi w pracy nad życiem, na ile buduje. Pomaga i buduje, ale również przygotowuje do śmierci. To dziwne, co teraz powiem, ale sztuka, w tym sztuka poezji, przygotowuje nas do śmierci, uzbrajając w osnowę wielkiego uspokojenia. Gałczyński w liście do Aleksandra Maliszewskiego zapisał: *Sztuka jest kontaktem ze śmiercią, przewyciężeniem śmierci i nonsensem*. To zdanie jest przedmiotem mojej częstej medytacji. I co może znaczyć? Sztuka, w tym poezja, aby mogła skontaktować się ze śmiercią i przewyciężyć ją, w pierw musi być żywa. Martwa poezja nie dotknie niczego ze śmierci, a tym bardziej jej nie przewycięży, dlatego szybko pada ofiarą życia, które to, no właśnie, które to ją przewycięża. No dobrze, mówmy o budowaniu życia, ono jest cudem, zawsze większym niż jakiegokolwiek społeczne i kulturowe formy życia, przez nas powoływane i sankcjonowane, następnie zmieniane, znów powoływane i znów usankcjonowane, niż nasze ograniczone wyobrażenia o nim, niż tysiące bzdur wywiedzionych względem niego przez nasze umysły.

Wytyczyłem sobie rozmaite zadania wobec siebie i Prania, które jednak niepoparte pracowitością nad własnymi ułomnościami i biesami pożądlivosti ego, muszą pozostać nieosiągalnymi, a zatem i niedocieczonymi. Powtarzam sobie, codziennie i nieustępliwie walcząc z martwcem w sobie, aby to on nie pokonał ciebie. Ernst Wiechert, mój starszy kolega, krajan z Puszczy Piskiej, poucza: ucz się pokory, głębi spojrzenia, służby, zaś Gałczyński wskazuje przęsła mostu, po którym osiąga się cel. Są nimi: modlitwa i wola, cierpliwość i ufność. Ćwicząc te zdolności, głęboko ufam, że ma szansę znaleźć we mnie lokum, a może już znajduje, dar cichego i pokornego uwielbienia dla tego, co jest, w tym i Prania, ponieważ po prostu JEST, oraz, jakże wspomniały, *spiritus lenitatis*.

Jan Jastrzębski: Rozmawiamy w aurze jubileuszu, nie sposób więc uciec od „rzutu oka w przeszłość”, od podsumowań. A jest co podsumowywać! Lista dokonań jest doprawdy imponująca. Które z nich darzysz szczególnym sentymentem albo chciałbyś po prostu je wyróżnić?

Wojciech Kass: Kiedy pytasz mnie o dokonania, popadam w konsternację, gdyż krępuje mnie mówienie o swojej sprawie. *Nic gorszego niż własna sprawa* – brzmi fragment kogoś z moich wierszy. Jest jednak okazja, aby przywołać – kogoś to już umarłego w naszej rozmowie? – osobę Jerzego Markuszewskiego, który był moim mentorem i wiele się od niego nauczyłem. Na przykład o „duchu” sceny, co ona znosi, a czego nie, komu i dlaczego jest uległa, a komu nie. *Nie spinaj się* – mówił, kiedy coś nie szło podług założonego scenariusza – *przecież nie nauczysz babci szczać do butelki*. Babci już nie miałem, ale dobrze rozumiałem tę może nazbyt naturalistyczną, za to dobitną metaforę.

Wraz z żoną Zosią przyjeżdżali do swojego domu w Krzyżach wczesną wiosną, a kiedy Jurek napalił już w piecu i rozgrzał sławetną kuchnię, telefonował do mnie i zapraszał: *Napisales coś zimą? To przybywaj i czytaj*. Mówię: sławetna kuchnia Markuszy, gdyż w niej to, przy smacz-

nym, pichconym przez Jurka jedzeniu, powstawały załączki idei twórczych, które znajdowały urzeczywistnienie w Praniu. W tej kuchni ze strony Zosi i Jurka padło wiele mądrych rad dotyczących choćby tego, jaką postawę powinienem przyjąć lub jak się zachować wobec okoliczności nieprzychylnych zarówno wobec mojej osoby, jak i miejsca, którym się opiekowałem.

Czego więc nauczyłem się, czytając Jurkowi u progu wiosny zestawy swoich zimowych wierszy? Tego, że one powinny wybrzmiewać na głos, że wielokrotne, głośne ich czytanie jest formą pracy nad wierszem, niejako oplukiwaniem w ustach jego potoczystości, mowności. Jurek słuchał uważnie, nawet nie komentował, nie mądrzył się, a mimo to, kiedy nasz coroczny rytuał dobiegał końca, zaczynało docierać do mnie, co w niektórych wierszach powinienem dopracować, a co poprawić, które z nich ważne, a które mniej ważne etc. Skąd to wiedziałem? Po mimice jego twarzy. Współczesna krytyka i nauka swoje badanie wiersza przesunęła na jego pole znaczeniowe, zapominając całkowicie o tym, co wiersz porusza w drugim człowieku, jak na niego działa. Wydaje mi się, że to drugie pole wytwarzane poprzez wiersz, czyli bezpośrednie mówienie osoby wiersza do osoby ten wiersz odbierającej, że to było znacznie ważniejsze w wiekach poprzedzających nauki ścisłe w zakresie badania poezji.

Wracając do pytania, otóż z wielu powodów wciąż czule wspominam spektakl poetycko-muzyczny „Poeci polscy XX wieku. Goście Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego”, który przygotowałem wspólnie z Jerzym. Z kilku co najmniej powodów: po pierwsze, praca nad nim przypiętowała naszą zażyłość, nie tyle na gruncie towarzyskim czy mentorskim, ile na gruncie artystycznym; po drugie, poezja na scenie w Praniu, którą w 1999 roku zaprojektowała Zosia, wybrzmiała jasnie i dobitnie, a przede wszystkim w pełni autonomicznie, bo muzyka w tym spektaklu była jedynie deseniem, taką rozetką wpiętą w klapę. Pamiętam ten kwartet, Capellę Gedanensis, złożony z czterech przystojnych kobiet, ubranych w piękne, aksamitowe, takie „bufiaste” i świetliste suknie, a każda z nich była w innym kolorze. Artystki wyglądały jak barwne, egzotyczne nenufary na spokojnym stawie sceny, którego wody od czasu do czasu przeczesywał wiatr. Po trzecie, zaprosiliśmy plejadę znakomitych polskich aktorów, takich, którzy jeszcze coś czuli do poezji i potrafili zawiązać z nią nie tylko techniczny, ale i uczuciowy oraz intelektualny związek; po czwarte, odbiór spektaklu przez widzów był zdumiewający, bo niby nic na tej scenie się nie działo – aktor, wiersz, narrator, czyli ja, trzy w całym spektaklu bloki muzyczne – zgromadzona na ławkach publiczność wydawała się jednak jednym wielkim transformatorem kumulującym napięcie prądu (a więc poezji), generowanego na scenie i podawanego niewidzialnymi przewodami do widowni i... dalej. Dla wszystkich artystów występujących tego dnia miałem ogromny podziw, a wobec Ignacego Gogolewskiego i Zbigniewa Zapasiewicza osiągnął on pułap uwielbienia. Gogolewski nie wykonywał „Starego poety” Iwaszkiewicza, on ten wiersz mówił, w dodatku mówił tak, jakby sam był starym poetą, samym Iwaszkiewiczem. Z kolei Zapasiewicz wchodząc na scenę, zapalił papierosa, którego palenie skończył na ostatnim wersie Herbertowskiego „Trenu Fortynbrasa”; był tym barbarzyńskim wodzem w asyście niewidzialnej gwardii siepaczy, który spokojnie, acz szorstko, z szacunkiem, acz ironicznie, wygłaszał mowę do nieżyjącego Hamleta, do jego dłoni *jak strącone gniazda, do jego nóg w miękkich pantoflach*.

Jan Jastrzębski: Przeżyciem, na które czekam cały rok, jest inauguracja sezonu artystycznego w Praniu, połączona z galą przyznania ogólnopolskiej nagrody Orfeusz. Można wtedy spotkać tam ludzi, których nie spotka się nigdzie indziej, i porozmawiać o sprawach, o których nigdzie indziej już się nie rozmawia. Jaka była idea ustanowienia tej nagrody i czy spełnia ona swoją rolę?

Wojciech Kass: Została powołana z kilku powodów, z których jeden może być poczytany za egoistyczny, ale niby dlaczego? Po pierwsze, chciałem, aby zaistniała w naszym kraju nagroda imienia Gałczyńskiego, do czego między innymi zachęciła mnie liczba wierszy, która nadeszła na okolicznościowy konkurs poetycki ogłoszony przeze mnie w 2003 roku, ustanowionym przez Sejm RP Rokiem Gałczyńskiego. Była to liczba oszałamiająca, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że nazwisko patrona wciąż jest potężnym magnesem, a Polakom, w tym piszącym wiersze, jego twórczość wciąż nie jest obojętna. Po drugie, często zadawałem sobie pytanie: Jak to jest, że polscy poeci, których twórczość cenię sobie bardzo wysoko, zarówno ze względu na ładunek uczuciowy oraz intelektualny, jak i za estetyczną siłę oraz artystyczny wyraz ich wierszy, jak to jest, że wartości, które wyznają w poezji, są konsekwentnie pomijane przez gremia przyznające liczące się w Polsce nagrody? Można więc powiedzieć, że tę nagrodę powołałem przeciwko opresji dyskursu dominującego w poezji oraz stojącym za nią i panującym obecnie postawom ideologicznym po to, by wyeksponować inną mowę wiersza, równie istotną. W tym sensie czuję się „partyzantem”. Kiedyś nieżyjąca już dziennikarka Polskiego Radia nagrywała audycję z leśniczówki, w której akurat przebywał Krzysztof Karasek. Powiedziała do mnie wówczas, że Pranie to taki salon poezji, na co Karasek: *O salonie nie ma mowy, to prawdziwa partyzantka poetycka*. Miałem więc dość – i to mocne słowo „dość” także świeciło, kiedy powstawały zręby preambuły i koncepcji nagrody – dość nijakości, bezideowości i bezcelowości eksponowanych tomów wierszy, dość literackich cmokaczy, jak to ujął w liście do mnie Grzegorz Kociuba, którzy, rzekomo w imię artystycznej i myślowej niezależności, powtarzają, gdzie się da, banały, dawno już przećwiczone i wymiętoszone na paryskich czy nowojorskich salonach, tej klockologii stosowanej w wierszu polskim – to jeszcze jedno wyrażenie Kociuby. Po trzecie, ponieważ Pranie leży w Polsce północno-wschodniej, zależało mi na tym, aby nagroda wyносиła poezję, która z tych terenów czerpie soki, dlatego po licznych konsultacjach, między innymi z Krzysztofem Kuczkowskim i Zbigniewem Fałtynowiczem, ustanowiłem kategorię Orfeusza Mazurskiego. Po czwarte, Gałczyński w altengrabowskim „Notatniku” – na marginesie swoich rozważań o Orfeuszu – zapisał takie oto przykuwające uwagę zdanie: *Sztuką jest żyć w złym świecie i śpiewać*. Nasza ziemia, jak nigdy, potrzebuje śpiewu poetyckiego – na poziomie istnieniowym i inkantacyjnym, egzystencjalnym i lingwistycznej rytmiki. Potrzebuje dlatego, że cierpi na deficyt harmonii, powoli niedomaga z braku harmonii. Ponadto napór na planetę żarłocznego ludzkiego ssaka uszczupla warstwę jej subtelnej i kruchej koronki, jaką jest przestwór. Co jeszcze? Jak nigdy całe ziemskie stworzenie, tak intensywnie bezczeszczone, woła o głaskanie. Takiego gestu, gestu głaskającego byt, na poły lirycznego, na poły metafizycznego, oczekiwałbym od poety żyjącego w złym świecie. W zdaniu Gałczyńskiego widzę tragicznie zaciśnięte gardło współczesnej poetyckiej dykcji, która kiedyś była

„mową świętą”. Głaszcz mnie, śpiewaj mi – zdaje się wołać zagubione i bezradne ludzkie królewiatko naszej epoki, na której gardle zaczyna zaciskać się pętla niemoty, przy jednoczesnym, monstrualnie wszechświatowym gadulstwie, ze swej istoty wulgarnym.

Jan Jastrzębski: Rzeczą nie do przecenienia jest powstanie ciekawej konstelacji ludzi, głównie artystów, którzy ciążą ku Praniu, pozostają z nim w pięknej symbiozie. Wystarczy wspomnieć konfraternię poetycką „Topoi”...

Wojciech Kass: Są poetami, wymieńmy ich: Jarosław Jakubowski z Koronowa, rocznik 1974; Artur Nowaczewski z Gdyni – 1978; Przemysław Dakowicz z Łodzi – 1977; Adrian Gleń z Grabczoka koło Opola – 1977, Wojciech Kudyba z Nowego Sącza – 1965, Wojciech Gawłowski z Ostrowa Wielkopolskiego – 1953, Krzysztof Kuczkowski z Gdyni – 1955, i ja, z Prania – 1964. Czy oni Igną do Prania, tego nie wiem. Dałoby się policzyć na palcach jednej ręki, ile razy każdy z nich odwiedził wzgórze. Za to z mojego podszeptu każdy z nich zaprezentował się jako poeta i pisarz na Mazurach, w Pisz, Działdowie, Orzyszu, Myszyńcu, Olsztynie i dalej na północy – w Suwałkach, Gołdapi. Zanim powiem, gdzie zawiązał się początek myślenia o konfraterni, należałoby dodać, że wymienieni poeci od lat związani są z dwumiesięcznikiem literackim „Topos”, założonym i prowadzonym od ćwierćwiecza przez Krzysztofa Kuczkowskiego. Nazwiska jednych pojawiały się w piśmie od jego początków, inne ukazywały się na jego łamach stopniowo. Osoby te są pierwszym, powiedziałbym, najbardziej wyrazistym, kręgiem środowiska literackiego przy „Toposie”. W zewnętrznym oglądzie wiele ich dzieli: lata urodzenia, miejsce zamieszkania, status zawodowy, choć z tym ostatnim bym się nie zgodził, czterech z nich zatrudnionych jest na wyższych uczelniach w Warszawie, Łodzi, Opolu i Gdańsku, dwóch pracuje nad habilitacją, a jeden, Wojciech Kudyba – jak dobrze pójdzie – niebawem zostanie pasowany na profesora belwederskiego. Profesor Andrzej Lam, znakomity tłumacz Rilkego (poety patronującego „Toposowi”), Hölderlina, Benna, Goethego, doniósł mi, że w swoich rozmowach często podkreśla, iż sopocki dwumiesięcznik jest obecnie największym skupiskiem poezji – i nie ma powodów, żeby mu nie wierzyć. Konfraternia czy też konstelacja, jak woli prof. Jarosław Ławski, czyli wyraźny zarys i niezliczone gwiazdy w tle, to najsilniejsza osnowa tego skupiska. Przyznasz, że nieczęsty to przypadek, żeby grupa wyróżniających się poetów trwale została związana z tytułem pisma, co nie oznacza, że całkowicie nieznanymi w historii polskiej poezji (Skamander, Współczesność, Orientacja Poetycka „Hybrydy”, także Nowa Fala, bruLionowcy, poeci borussiańscy). Impuls do myślenia o sobie w kategoriach konfraterni/konstelacji padł na Festiwalu Poezji „Pisz i Śpiewaj Poezję” w Pisz, podczas wspólnego spotkania autorskiego w tamtejszej bibliotece. Wtedy to nastąpiło coś, co wykroczyło poza zwyczajowe ramy takiego spotkania, jakieś wyjątkowe sprzężenie pomiędzy czytаныmi wierszami i odautorskimi komentarzami do nich a odbierającą je publicznością. Wiersz mówi ja do ty, a wiersz liryczny wręcz szepcze ja do ty. Sądzę, że wówczas wiersz wydarzał się w połowie drogi pomiędzy autorskim ja a odbiorczym ty. A skoro tak się wydarzał, niejako ujawniał, to był poezją, dlatego autorzy wierszy, ich odbiorcy poczuli się wewnątrz niecodziennego rytuału, poczuli się zgromadzeniem, kręgiem. Po spotkaniu jedna z przybyłych na nie pań zapytała, czy jesteście

grupą, bo co prawda każdy z nas przemawiał swoim zindywidualizowanym głosem, jawiliśmy się jednak jako jedno ciało, jeden organizm. Agnieszka, żona Dakowicza, powiedziała: *Powiało siłą i grozą!* Od tego piskiego impulsu zaczęliśmy myśleć o sobie w sensie wspólnotowym.

Poetycki głos każdego z nas jest odrębny, ma on jednak początek u tego samego źródła metafizycznego, dla wielu zresztą od dawna wyschniętego, nieczynnego. Czy rzeczywiście, skoro Jarosław Ławski w posłowniu do „Konstelacji Toposu”, naszej antologii wierszy, między innymi napisał (nie jak akademik, ale poeta): *Tak oto na poetyckim firmamencie pojawiła nam się konstelacja poetów ducha. A właściwie – trzeba o nich powiedzieć, iż są to: poeci złożonych układów; takich, w których duch i nic, to i nie-to, „ja”, życie i śmierć spięte są kosmicznym rytmem docieklivego wiersza. Metrum, puenta, wołacz, tradycja – to, z jednej strony, u konstelacionistów po mistrzowsku opanowane sposoby zaczarowywania świata. Z drugiej: sposoby wyrażania pragnienia duchowości, zwróconego zarówno przeciw bufonadzie pewności, jak i apostołstwu nicości.* Otóż to! Myślę, że właśnie Pranie sprzyja kosmicznemu rytmowi docieklivego wiersza oraz ukręcaniu łba *bufonadzie pewności*. W moim debiutanckim tomiku „Do światła” jest wiersz „Posłannicy nicości”. Czy przypadkiem? Oczywiście zapisany przeciwko!

I jeszcze jedno chciałbym dobitnie wyrazić. Człowiek nie jest ani czystym duchem, ani czystą naturą, bowiem gdyby był którymkolwiek z nich, nie mógłby stanowić historii, zyczajnie by jej nie miał. Istnieje jednak między tymi biegunami, a z napięcia między nimi rodzą się nieskończone formy tego, co można określić jego duchowymi możliwościami. Dla mnie literatura – i ta jej najbardziej zwarta, biorąca się z największego napięcia duchowego forma, a więc wiersz – niepodszyta duchem nie ma większego sensu, a tym bardziej znaczenia. Litera słowa, w którym nie załamuje się promień litery ducha, pozostaje martwą, taką mniej lub więcej wartą grą w słowa-klocki, niewyleczalną klockomanią. A poeci, jak powiada Brodski, to ci, dzięki którym język żyje, którzy *zbawiają mowę*. „Topos” jest chyba jedynym pismem w Polsce, które na różne sposoby wskazuje na wymiar duchowy literatury, co bierze się z przekonania, że świat jest językiem Boga. Człowiek myśli i zapisuje się symbolami, Bóg myśli drzewami i skałami, obłokami i morzami, a także najstarszymi językami swoich natchnionych i wytrwałych proroków. Poezja, zanim stała się książką z wierszami, zanim stała się zbiorem wierszy, była kroniką duszy. Tę kronikę, jej zewnętrznego wyrazu, starają się – lepiej lub gorzej – w swoich wierszach prowadzić poeci konfraterni Toposu/Topoi.

Jan Jastrzębski: Pranie – tak jak o tym marzyłeś – rzeczywiście stało się miejscem promiennym i promieniującym, a jednym z jego promieni jest Muzeum Michała Kajki w Ogródku. Czy – podobnie jak Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – przeżywa swój dobry czas?

Wojciech Kass: Na Kajkę trzeba mocarza, niepospolitego szamana, który dysponowałby siłami posiadającymi moc skruszenia tubylczych, pokrytych skamieliną serc, a przez to nieczułych na skromnie nuconą dawno temu mazurską piosnkę cieśli. Pewna bibliotekarka z Elku, przesłuchując ze mną uczestników konkursu recytatorskiego, wykonujących utwory poetów regionalnych, powiedziała do mnie szeptem: *Nie mogą już słuchać wierszy tego Kajki*. Wiem, dlaczego nie mogła – bo pochodziły z epoki sprzed tragicznej świadomości człowieka postnowoczes-

nego, z takiego zakątka ziemi, który wielu mógł wydawać się jeszcze pozostałością jakiegoś mazurskiego ogrodu, pisane były w cichości i mówione właśnie szeptem. A w język, który dziedził i którym władał poeta z Ogródka, nie wtargnęła jeszcze żadna rewolucyjna idea awangardowa ani XX-wieczna bomba świadomościowa, czyniąc z niego poligon eksperymentalny, lingwistyczne pole doświadczalne. Ale sam mocarz czy szaman w Ogródku na nic się nie zda. Konieczna w sprawie Kajkowej spuścizny, zarówno tej ideowej, jak i literackiej, jest wola samorządu regionalnego i samorządów lokalnych, nie tylko na poziomie uświadomienia sobie, jak istotne jest dziedzictwo tego poety dla kultury regionu, ale śmiem sądzić, że również na poziomie politycznym, kto wie, czy nie ważniejszym. Chyba że obecne procesy cywilizacyjne i społeczne „nie przewidują” w swoim planie jakiegoś tam „kątką” poezji, ogródka, gniazdeczka, gdyż ich duch jest przeciwko kulturze domowej, z której Kajka się wzięła, a na której duchowość mazurska, porażona wypadkami historycznymi, musiała zakończyć swoją robotę.

Kiedy w 2000 roku muzeum w Praniu przejmowało Ogródek, muzeum wraz z dawną zagrodą Kajków zaczynało pożywiać się ziemią. Po długim czasie udało się pozyskać środki na kapitalny remont murów i nową ekspozycję muzealną. Do 2018 roku mamy nadzieję zakończyć trzeci, ostatni etap remontów obiektu, a więc postawić nową scenę artystyczną, wymieścić ogrodzenie, wykonać biesiadną wiatę, zewnętrzne oświetlenie oraz wybudować parking.

I wtedy poszukam mocarza. A kiedy go znajdę, wpierw zadam pytanie, czy zna szamański taniec, który byłby zdolny przywrócić z zaświatów Kajkę nowym Mazurom jako poetę żywego, domowego, i czy potrafi sprawić, że w izbach muzealnych rozlegnie się gwar i zgiew, do okien zaś zapukają złaknieni wiersza, a zatem i pewnego rytmu życia tubylcy oraz turyści z repertuarem tych swoich ulubionych słów: magicznie, bajkowo, urokliwie. Wtedy mocarz nie powie, cóż te słowa znaczą, tylko tchnie w nie nową wizję po to, by dla ciebie, dla mnie, Borussian i tych wszystkich zdążających do Ogródka, znów stały się realnością.

Jan Jastrzębski: Istnieje jakaś szansa na nowy promień, to jest na odkupienie domu Igora Newerlego w Zgonie?

Wojciech Kass: To historia sprzed 2006 roku, ale rzeczywiście przyszło mi na myśl, aby mazurski dom Newerlego podłączyć niejako do muzeów Gałczyńskiego i Kajki, nadając mu status izby pamięci, a w przyszłości – kto wie – może i muzeum. Spadkobiercy tego domu, Ryszard i Irena Gałęccy, którym jego faktyczna właścicielka Zofia Łapicka tenże dom przekazała w spadku, nie wyrazili woli jego odsprzedaży, co nie znaczy, że nie byli otwarci na wszelkie kulturowe formy upamiętniania twórczości autora „Leśnego Morza”, a co za tym idzie – utrwalenia w świadomości mieszkańców związków pisarza z Mazurami. O tych związkach nie będę mówił, gdyż są na tyle głębokie, że należy im się cykl wykładów, a nawet opracowanie monograficzne. Ryszard Gałęcki nie żyje – chyba więcej zmarłych niż żywych zaludnia naszą rozmowę – Irena Gałęcka niekiedy korzysta z naszej letniej, artystycznej oferty, przyjeżdżając ze Zgonu na rowerze, który stawia pod zieloną drewnianą przy garażu.

Staralem się zarazić postacią Newerlego i jego pisarstwem Annę Błaszczyk, co mi się zresz-

tą udało. Anna przyjechała na Mazury z Warszawy, czyli była tzw. spadochroniarzem, jakich wielu na Mazurach. Wpierw usiłowała ułożyć sobie życie w Ukcie, w domu nad samą Krutynią, a następnie – po wygraniu konkursu na stanowisko dyrektora biblioteki – w Pisz, gdzie zamieszkała. To między innymi dzięki jej staraniom dom pisarza w Zgonie przemianowany został na Dom Pracy Twórczej im. Igora Newerlego, to ona sprowadziła do piskiej placówki wystawę przygotowaną przez Bibliotekę Narodową z okazji stulecia urodzin pisarza. Wreszcie, w rocznicę sześćdziesięciolecia prowadzonej przez siebie biblioteki, zainicjowała wraz ze spadkobiercami tzw. otwarte poniedziałki, a więc dni, w które to dom Newerlego był otwarty dla zwiedzających, oraz wystąpiła do rady gminy i miasta Pisz z pomysłem nadania bibliotece imienia Igora Newerlego. Niestety, nie został on podchwycony ani należycie przedyskutowany, a w 2006 roku usunięto ją ze stanowiska, co spowodowało jej powrót do Warszawy. W archiwum w Praniu przechowuję wspomnienie syna Igora Newerlego, Jarosława Abramowa-Newerlego, pokrótce traktujące o fascynacji pisarza krainą Smętka, a jak wiemy, poznał ją po raz pierwszy, kiedy udał się w 1948 roku tropem marszruty kajakowej Melchiora Wańkowicza, która odbyła się trzynastcie lat wcześniej, a jej podzwonnym był słynny reportaż. W muzeum posiadamy też, ofiarowane przez syna, meble, wykonane przez jego ojca: kredens, sekretarzyk, stół, krzesła, skrzynie, stojak na broń i trofeum – poroże jelenia. Niezależnie od przytoczonych tutaj wypadków nadal sadzę, że Newerly zasługuje na to, aby o jego sylwetkę wzbogacić poczet twórców, którzy ukochali powojenne już polskie Mazury, gdyż prawdziwa kultura miejsca obejmuje również poczucie wspólnoty z pisarzami, którzy obraz tego miejsca zamknęli w literze swojego słowa.

Jan Jastrzębski: Dziesiątki spraw związanych z prowadzeniem Muzeum, do tego dochodzi Twoja twórczość, aktywny udział w życiu literackim, redagowanie „Toposu”. Jak zachować w tym wszystkim równowagę, skupienie, nie przeoczyć *świecenia rzeczy i zjawisk*, o którym piszesz we wspólnym eseju „Światło jaśnie gość”?

Wojciech Kass: Dodaj do tego rozliczne *ręczne robótki społeczne*, jak rzecz określał Herbert, czyli jurorowanie w rozlicznych konkursach poetyckich, prowadzenie zajęć z zakresu *creative writing*, współorganizacja wydarzeń kulturalnych i poetyckich poza Praniem, konsultacje, spotkania autorskie etc. Nie przeszkadza mi to jednak w skupieniu, uważności, wyciszeniu. Jest pora mowy i milczenia. Pora chaosu i porządkowania tego chaosu. Pora działania i stawiania znaku. Pora dawania i udzielania się dla „zewnątrności” oraz pora darów zwrotnych i życia wewnętrznego, skupionego. Jedno warunkuje drugie. Nasze doświadczenie doczesne jest dualistyczne. Sztuka, w tym i sztuka poezji, jest wciąż od nowa podejmowaną próbą przezwyciężenia dualizmu, aby choć na chwilę doznać pełni i harmonii oraz możliwości wkomponowania się w przyrodzoną ciemność rzeczy i zjawisk. W każdym razie, żeby *odnaleźć ów zewnętrzny bezruch, a i zarazem wewnętrzne poruszenie*, jak chce Rilke, należy wpierw nie żałować sobie czegoś zgoła przeciwnego, a co niesie z sobą codzienność, czyli zewnętrznej ruchliwości i zgrzytliwości nie tyle oferującej owo wewnętrzne poruszenie, ile wewnętrzny pełnokrwisty chaos i zgiełk.

Jan Jastrzębski: Dość często wychylasz się z puszczy w świat, ale i ten „wielki świat”, w osobach wybitnych artystów, podąża Aleją Nieznanego Poety na prańskie wzgórze. Czy te dwa światy – tajemniczy puszczański mikrokosmos i rozedrgane, migotliwe miasta – godzą się w tobie, nawzajem się dopełniają, czy też toczą ze sobą spór?

Wojciech Kass: Dobrze, że przywołałeś Aleję Nieznanego Poety. Jest nią aleja świerkowa, która prowadzi od strony łądu na wzgórze, gdzie około 150 lat temu stanęła leśniczówka, w pierw drewniana, a następnie z cegły. Andrzej Strumiłło opowiadał mi, że sadził te świerki razem z leśniczym Stanisławem Popowskim, ale ja nie do końca wierzę jego opowieści i przypuszczam, że jest ona starsza, a drzewa zostały nasadzone ręką ostatniego niemieckiego leśniczego Prania, wtedy Eichenborg, a jeszcze wcześniej – Seehorst. Świerki mają płytkie ukorzenie, stąd z powodu słabych opadów deszczów i niedoboru wód gruntowych słabną, stają się podatne na kornika, który za mojej bytności w Praniu doprowadził do uschnięcia co najmniej kilkunastu drzew. Z tej przyczyny musieliśmy je wyciąć, a widocznym śladem tej wycinki są wystające z ziemi pnie. Mówię o tym, aby uzmysłowić, że o przyszłości jej zdecydować dwa żywioły: deszcz lub mały robaczek. Wolałbym oczywiście, aby były to strugi deszczu, a nie szkodnik, gdyż jest unikatowa.

Jakiś czas temu naturalną nazwę tej alei postanowiłem zamienić na literacką, pieczętując ją przenośnią. Pomyślałem, że skoro stolica ma Grób Nieznanego Żołnierza, to czemu w Praniu nie ma być świerkowej Alei Nieznanego Poety i w ten sposób, wpisując się jednocześnie w poczet pionierów nazywania miejsc, których dotąd nie nazwano – a wśród nich w Puszczy Piskiej byli przecież Putrament i Gałczyński – usatysfakcjonowałem wszystkich poetów na świecie, wraz z tymi, którzy nie żyją, i tymi, którzy przyjdą po nas. Metafora ta jednak nie jest przypadkowa i ma swoje głębokie uzasadnienie. Do wzgórza prowadzi łagodne podejście, a na samym wzgórzu króluje admirał, czyli autor „Niobe”. Starożytny poeta Pindar powiada: *Strome są zbocza sztuk*. Ilu więc poetów musi paść, jak te świerki, które powaliły żuchwy tysięcy korników, aby tylko jeden miał na nim pośmiertny kwaterunek?

Na tym wzgórzu jestem strażnikiem pieczęci Gałczyńskiego – strzeżono jej przede mną, strzec będą po mnie – z kolei aleja jest moją dedykacją złożoną wszystkim, którzy zechcieli wstąpić na strome zbocze poezji. Odkryłem ci jedną z kart mojej prywatnej mitologii, jedną, a przy okazji odkryję drugą i trzecią.

Na twoje pytanie odpowiem tak: mój syn 1 września rozpoczął rok szkolny, a sezon artystyczny w Praniu kończy się zazwyczaj 20 sierpnia. Widelki ostatniej dekady tego miesiąca są dla nas, na nasze wspólne wakacje, które spędzamy w różnych częściach Polski, ale na odludziu. Nad Nidzkim mówi się, że Kassowie mieszkają przy Nowym Świecie, dlatego zasztywają się na wakacje z dala od jego ruchliwości i zgiełku. Mówi się również, że Kassowie nie muszą wyjeżdżać z leśniczówki, gdyż, jak to nazywasz, wielki świat sprowadzą sobie na wzgórze w osobach wybitnych artystów. W tym, co mówią, jest wiele racji. Czterowiersz Adama Zagajewskiego brzmi tak:

*W lusterku samochodu zobaczyłem
nagle bryłę katedry w Beauvais;
rzeczy wielkie mieszkają w małych
przez chwilę.*

Pranie jest takim lusterkiem. Przez chwilę.

Jan Jastrzębski: Tymczasem: *Dni i noce z nami biegną, / a my z nimi ku przodowi*, przypomina wielki holowniczy tego miejsca, jak go nazwałś. Podpowiada przy okazji coś w kwestii przyszłości? Pomaga wyznaczać strategiczne cele na najbliższe lata?



Wojciech Kass z żoną Jagienką w Praniu | Fot. Janusz Pilecki

46

Wojciech Kass: Nie tylko holowniczy, ale i admirał. Czy podpowiada, czy pomaga? Tego nie wiem, ale nie skłamię, gdy powiem, że odczuwam jego wstawiennictwo promieniujące z niepojętej dla nas drugiej przestrzeni. Młody człowiek z Ornety zapytał mnie kiedyś, czy ja modłę się za Gałczyńskiego. Przyznam, że zaskoczyło i zdumiało mnie to pytanie. Po latach dochodzę do wniosku, że było w nim jednak coś na rzeczy. Niedawno na scenie w Praniu poezję Gałczyńskiego czytał ks. Adam Boniecki, który podarował do muzealnego archiwum cenny list Natalii. Na zadane przez księdza pytanie o wiarę poety 24 września 1956 roku wdowa odpowiedziała tak: *Ale mój mąż do ostatnich dni życia był człowiekiem wierzącym, pełnym poczucia Boga, choć z pewnością nie był ortodoksyjnym katolikiem [...]. Do ulubionych i niemal co-*

dziennych lektur Konstantego należały „Wyznania” św. Augustyna (egzemplarz łaciński leży na jego stole, tak jak go pozostawił) i Ewangelia św. Mateusza, którą uważał za szczyt poetyckiej prostoty. Często odmawiał litanie do Dzieciątka Jezus i modlił się razem ze mną na dobranoc [...]. Pamiętam, jak kiedyś w słonecznym lesie powiedział do mnie nagle: Bóg przeszedł przed chwilą tą ścieżką. Jeszcze się liście kołyszają. Dlatego pozwól, że jako poeta opiekujący się pamięcią drugiego poety, naszą rozmowę zakończę wierszem mówiącym o tym, co Gałczyński „podpowiada”. A dedykuję go tobie i wszystkim czytelnikom naszej rozmowy.

Wypis z Gałczyńskiego

Z jak starego
zaśpiewu
by się nie brała,
po pierwsze:
wiara.

A po drugie:
czy wiecie, że
grunt w pisaniu
to silne ręce?

Gorące serce
to po trzecie.

I obowiązek;
rzecz nie w stosie,
jego wielkości
bylebyś ty świecił
w ciemności.

Świeć uparcie
to po czwarte.

POEZJA



Wojciech KASS

Możemy wyruszać

Weranda na piętrze domu jak lampion,
szkatuła w połączane szybki, tabernakulum,
światlisty domek dla ptaszków, błyszczący wagonik
górskiej kolejki; poza tłem i czasem weranda
jakby przybita do jednej ze ścian mojej głowy

niewidzialnym gwoździem wiecznego lata.
A w niej oni: ojciec, matka, wujostwo, kuzynki,
sąsiedzi; a w niej stolik, kwiaty w donicach,
taborety, krzeselka; a w niej okruchy spękanego
kitu na skrzypiącej podłodze i wtedy słyszę głos.

To głos mojej matki: O! Nareszcie się zjawileś,
siadaj z nami, i wskazuje małe krzesło z miękkim
siedziskiem, któremu ojciec skrócił cztery nogi,
powstaje w fartuchu w łąkowe kwiaty i szepcze
do ucha: – Jesteś, możemy więc wyruszać.

Pranie, 25 lutego 2017

Na co taki dzwoni?

Jedno ze śniadań
w hotelu nad morzem
poza sezonem, pośpiechem,
towarzyskim stadem;

kelnerka żuje gumę,
puszcza balony,
jej nagie ramiona
masuje światło.

Muszka na szyjce
karafki z likierem,
na karku divy z plakatu
loczek jak literka.
W ogóle, ruch tutaj
jakby niedobudzony;
nawet ta cicha melodia
snuje się po jadalnym

jak babie lato,
które podają sobie
zerowa do piątej, piąta
do zerowej pory roku.

W ogóle, cisza tutaj,
że słyhać pojedyncze
dźwięki; ze spodkiem
rozmawia filiżanka

z wnętrzem filiżanki
łyżeczka; razem są
jak odwrócony dzwonek.
Na co taki dzwoni?

Tym piórkiem

Dla Joasi H.

Z kłody piastunki
wyrasta nowe drzewko
proszę, chwiejna łodyga
i ma już listki
takie samo drzewko
a inne.

Z kłody chmury
urywa się deszczyk
proszę, spada pierwsza
zaraz druga kropla
taki sam deszczyk
a inny.

Z kłody starego
jak świat wiersza
wychodzą na jaw
niepoliczone wierszyki
takie same wierszyki
a inne.

A dzięcioł werblista
kuje kuźnię w drzewie
proszę, po czym ją zatyka
sosnową szyszką
taką samą szyszką
a inną.

Sójka zakopuje
trzy żołędzie w dołku
proszę, i ona sadi dąbek
na piastunkę kłodę
taki sam dąbek
a inny.

Potem dzióbkiem
czesze błękitne piórko
no proszę, założyłaś kartkę
w moim notesie
tym, a nie innym
piórkiem.

Pranie, 3-4 września 2016

Do Roberta Walsera

A więc, drogi panie, rzeczą
wielce trudną jest miłość do życia,
miłość chwili i wielce trudnym jest
nie dawać się za nos wodzić nicości.
Stareńki poeta polski zapisał w wierszu:
nie nicość, nie nicość, nie nicość
a Miłość, a Miłość, a Miłość.

I trudnym jest to z wnętrza
płynące przywiązanie do ziemi,
która przestała być ogrodem, trudną
jest wiara w ludzi, którzy się pogubili
na dobre, porzuciwszy swoich
aniołów stróżów; przemija ochota
do śpiewu, który odżywia

ziemię i wszelkie stworzenie
z niej pochodzące, a z coraz większym
zapalem i w gniewie beczeszczone;
i wielce trudnym jest odwaga
w każdym przedsięwzięciu,
jakie narzuca życie, które z wielkim
trudem daje się miłować.

A więc, mój panie, z trudem
przychodzi beztroska w czas zabawy
z przyjaciółmi, jeżeli się ich posiada,

ale najtrudniejszą z tych rzeczy
będzie uśmiech w godzinę śmierci,
którym przyjdzie nam pożegnać
oddech i powitać niepojęte.

Tak, panie Walser, co tu padło,
jest twoją i moją wielce trudną religią,
ale przez nią to pragnę dziękczynić
Bogu memu i śpiewać *laudamus* Te.
Zapisałeś, że jest on najbardziej uległy
i wdzięczny ze wszystkiego, czego
tutaj doznajemy, i że nie należy o nim
za dużo myśleć, bo go tracimy.

Niewiele z rzeczy tego świata
zasługuje na pogardę, może jedynie
przewrotny i szydrczy język, i truposze,
którzy zaludniają miasta i poezję.
Gdybyż ludzie wiedzieli, ile rzeczy
z naszego świata daje się udobruchać.
Ale czas, o którym mi powiedziałeś
w tę noc, ten czas jest przebaczeniem.

Krynica-Zdrój, 9 lutego 2017

Wojciech Kass

Janusz DRZEWUCKI

Wyprawa przez Warmię i Mazury

Minąłem Iławę, kołysząc się
pomiędzy dwoma jeziorami, wśród
ciemnozielonych lasów, minąłem
Ostródę z wysmukłą wieżą kościoła
Niepokalanego Poczęcia, pogałem
na Olsztyn; gdzieś tak w połowie drogi
między Grunwaldem a Gietrzwałdem,
doszło do mnie, że jestem już na Warmii;

dotarłem do Olsztyna, miasta
mojej służby wojskowej, w którym
nie było mnie trzydzieści lat; obszedłem
swoje kąty, wszystkie cztery i jeszcze
ten piąty, Stary Ratusz i Nowy, Dom
„Gazety Olsztyńskiej”, zamek,
obserwatorium i planetarium, stanąłem
pod Bramą Wysoką, wszedłem do katedry;
wszystko na swoim miejscu, ale nic tak,
jak było, wszystko takie samo, a jednak
nie takie samo, wszystko o trzydzieści lat
inne, tylko antykwariat przy Grunwaldzkiej
stał na straży tamtego czasu; gdzieś

w tym mieście wiersze i powieści pisał
Erwin Kruk; na postoju taksówek
zapytałem zajętego krzyżówką
kierowcę: do Orzysza lepiej przez
Mrągowo czy przez Szczytno, jedź pan
górami, usłyszałem, lepsza droga i bliżej.

Ruszyłem dalej, słoneczną
południową porą, minąłem z daleka
Barczewo, tutaj urodził się mój dobry
kolega Kazik Brakoniecki, poeta
z bożej łaski, minąłem Biskupiec,
gdzie dwu belek dosłużył się jeden
z moich wujków, z przydrożnej tablicy
żegnała mnie Warmia, witały Mazury;
w Bagienicy zatankowałem paliwo,
nie kończyło się jeszcze, ale na wszelki
wypadek zatankowałem; dojechałem
do Mrągowo, gdzie ćwierć wieku temu
na targowisku niewiele brakowało,
a kupiłbym rosyjski nóż sprężynowy,
na szczęście żona odpowiedziała mi
w porę, że ten nóż do niczego w życiu
raczej się nam nie przyda; minąłem
Mikołajki, w których przed laty
odsiedziałem swoje w porcie, z mostu
zobaczyłem wpływające do miasta
i wypływające żaglówki; do wizyty
w Giżycku namawiało mnie Giżycko
i twierdza Boyen na dodatek,
lecz nie zboczyłem z trasy, jechałem
przecież do Orzysza, rodzinnego miasta
Zbyszka Chojnowskiego, profesora,
poety, mojego serdecznego przyjaciela.

W Orzyszu czekali na mnie
przecież poeci: Krzysztof Kuczkowski,
Wojtek Kass i Wojtek Gawłowski;
niebawem jednak miało się okazać,

że Gawłowski spóźni się, przyjedzie
 późno w noc, wyjedzie za to wcześnie
 rano, pierwszym autobusem, przed nami
 wszystkimi; mając Michała Kajkę,
 arcypoetę, za patrona i powołując się
 na jego autorytet, rozstrzygnęliśmy
 kilka spraw poetyckich niecierpiących
 zwłoki, zjedliśmy kolację, trąciliśmy się
 kieliszkami, z Gawłowskim przeszliśmy
 na ty i rozeszliśmy się spać; nad ranem
 wyrwały mnie z ołowianego snu
 grzmoty i błyskawice, nad Śniardwami
 przechodziła burza, jeziorem targał
 szkwał, koniec słonecznej pogody,
 pomyślałem i na powrót zasnąłem;

kiedy się obudziłem, o burzy
 przypominał tylko wilgotny zapach traw,
 pól i lasów, bezchmurne niebo wiele
 obiecywało, więcej, niż się spodziewałem;
 jeszcze przed śniadaniem rozejrzałem się
 po okolicy, zobaczyłem kościół, zamiast
 do knajpy zaszedłem na cmentarz,
 na pocztę wysłałem życzenia imieninowe
 do matki; zaraz po śniadaniu trzeba było,
 patrząc jasno prosto w oczy, podać sobie
 ręce i ruszać dalej, dokąd oczy poniosą,
 każdy w swoją stronę, do własnej biedy.

Krzysztof wracał do Gdańska,
 więc do Olsztyna było nam po drodze;
 chciałem jechać górą, jak radził uczynny
 taksówkarz, ale wyjeżdżając z Orzysza,
 widać pomyliłem drogi, bo po kwadransie,
 zamiast w Mikołajkach, znaleźliśmy się
 w Piszcu, gdzie ćwierć wieku temu,
 wczesną jesienią, kupiłem sobie elegancki
 prochowiec, który służył mi potem długie,
 tłuste i chude lata; pomyliłem kierunki,
 ale przecież nie ma tego złego, co by

na dobre nie wyszło, starałem się uspokoić
Krzysztofa, chociaż Krzysztof wcale
się nie denerwował, pojedziemy dołem,
uspokajałem samego siebie i tak właśnie
pojechaliśmy, objeżdżając Śniardwy
od południa, w Rucianem zobaczyliśmy
zjazd do Prania, gdzie tam ktoś pasał
Zieloną Gęś i Osiołka Porfiriona.

Kręta droga wiodła nas przez
nieprzebyte bory, ale mimo że kręta,
zawiodła nas prosto do Szczytna,
gdzie stoi sobie pomnik Krzysztofa
Klenczona; nie mogliśmy się nagadać
z Krzysztofem, gadaliśmy o naszych
kolegach, poetach znanych i nieznanym,
i tych zapomnianych, którzy są niczym
ryby akwariowe, jak egzotyczne motyle,
podobni do rajskich ptaków;

jak najęci gadaliśmy,
jak chłopcy: o Jerzym Plutowiczu
z Białegostoku, o Mieczysławie
Warszawskim z Lasków Odrzańskich,
o Stachu Chyczyńskim z Kalwarii
Zebrzydowskiej, o Tomku Hrynaczu
ze Świdnicy Śląskiej i oczywiście
o Adamie Ochwanowskim ze Złotej
Pińczowskiej na Ponidziu; i chociaż
to nie Dzień Zaduszny wspomnieliśmy
naszych zmarłych mistrzów: Ryszarda
Kapuścińskiego i Kazimierza Hoffmana,
starych mistrzów, od których trzeba się
uczyć odpowiedzialności za słowo,
jakiego nie zmierzy się, ani nie zważy.

Mimochodem pożegnały nas
Mazury, powitała Warmia, droga
nadal kręciła się jak się kręciła, wiła się
jak się wiła, zostawiliśmy za sobą

tajemnicze Stare Kiejkuty, legendarny
Pasym kurczowo trzymający się jeziora
i sławetne Klewki, nie wiedzieć kiedy
dotarliśmy wreszcie do Olsztyna;

trzydzieści lat temu spędziłem
tu, jak się rzekło, trochę czasu, osiem
miesiący, od stycznia do sierpnia, tutaj
żyłem, tutaj oddychałem, tutaj kładłem się
spać i budziłem się, zaklinałem swój los
i przeklinałem; każdą ulicę tego miasta
przeszedłem wzdłuż i wszerz, z jednego
końca na drugi, poznałem to miasto
na wylot, ale teraz pogubiłem się
i zamiast na dworzec, skręciłem
na Kortowo, przypomniałem sobie
w porę, na szczęście przejazd przez
Zatorze i już staliśmy pod dworcem.

Krzysztof ruszył szukać
pociągu nad szaroniebieski Bałtyk,
a ja dalej przed siebie, najpierw jednak
poszedłem w miasto, w tej samej
co wczoraj kawiarni wypilem espresso,
na postoju taksówek zajętemu krzyżówką
kierowcy podziękowałem: miał pan rację,
do Orzysza lepiej górą, dołem dalej
i droga gorsza, pokiwał głową
ze zrozumieniem i spytał dokąd teraz,
a kiedy odpowiedziałem dokąd, rzucił
krótko: przez Ostródę i Iławę będzie
najprościej; oczywiście, wiedziałem
doskonale, że przez Ostródę i Iławę,
w końcu stamtąd wczoraj przyjechałem,
ale grzecznie podziękowałem za cenną
wskazówkę i ruszyłem zgodnie z planem,
zostawiając rozbawiony w najlepsze,
jak to w niedzielę, Olsztyn, pożegnałem
rozmodlony Gietrzwałd i szykujące się
do mistrzostw w siatkówce Stare Jabłonki;

korciło mnie, aby skrócić
na Olsztynek, a potem na Nowe Miasto
Lubawskie i Grudziądz, ale nie, nic z tych
rzeczy, minąłem Ostródę, pozwoliłem się
pożegnać Warmii, przejechałem spokojnie
przez ławę; nie spiesząc się wracałem tam,
skąd wyruszyłem, do drewnianej chałupy
nad jeziorem koło Koronowa, by zgodnie
z planem boskim i człowieczym koło
mogło się zatoczyć i zamknąć.

Janusz Drzewucki

Janusz Drzewucki (1958) – poeta, krytyk literacki, publicysta, wydawca, autor licznych i nagradzanych tomów poetyckich i szkiców krytycznoliterackich; debiutował tomem wierszy „Ulica Reformacka” (1988); ostatnio opublikował „Środek ciężkości. Szkice o współczesnej liryce polskiej” (2016) oraz książkę poetycką „Rzeki Portugalii” (2016), skąd pochodzi przytoczony wiersz. Kieruje działem poezji w miesięczniku „Twórczość”. Członek PEN Clubu, SPP.

OSTATNI MAZUR



Anna MATYSIAK

Rzeczy niestworzone O Erwinie Kruku

ANNA MATYSIAK

poetka, eseistka, wydawczyni, nauczycielka akademicka, fotografka; pochodzi z głębokich Mazur, mieszka w stołecznej Warszawie. Prowadzi zajęcia w filii PWST w Bytomiu, założyła wydawnictwo „CONVIVO”. Ostatnio opublikowała kolejny tom wierszy „Czułość liter” (Kraków: Miniatura, 2015).

W niewielkiej wsi na północy Mazur mała dziewczynka uczyła się mówić w dwóch językach – polskim i niemieckim. *Komm nach hause, Anchen*, wołała ją z okna prababcia, która nigdy nie opanowała mowy sąsiadów. Albowiem w czasach, gdy stali się sąsiadami, ona zbliżała się już do sześćdziesiątki, wychowała trzynaścioro dzieci, z czego troje straciła na wojnie, która właśnie się skończyła. MS Gustloff odpłynął bez niej, wszystkie inne statki też, zdecydowała się więc na powrót znad Zalewu Wiślanego, jak po śladach, do opuszczonej parę tygodni wcześniej wsi, gdzie zostało tylko kilkoro staruszków, niepotrafiących sobie wyobrazić, dlaczego żołnierze Armii Czerwonej mogliby chcieć ich skrzywdzić. Ich wyobraźnia okazała się jednak za mała.

We wsi zwanej wcześniej Dönhoffstadt, później Pałacowem, w końcu zaś Drogoszami, trzeba było znaleźć dom, zamieszkać w nim całą gromadą, dla bezpieczeństwa, potem zaś patrzyło się na wyjazdy krewnych i znajomych do Niemiec, aż zostało się samemu z różnych powodów, które później, po dwudziestu latach, dziewczynce Anchen wydawały się zbyt skomplikowane, żeby je łatwo zrozumieć. Niezależnie od wszystkiego jednak wiedziała, że świat nie jest prosty, a dość szybko również dotarło do niej,

że zdanie: *przed wojną tu byli Niemcy, a teraz jest Polska*, to bardzo duży skrót myślowy, i że z jakiegoś powodu ta zamiana światów nie dokonała się ostatecznie i do końca, skoro prababcia ciągle woła ją z okna po niemiecku, a tata, który świetnie mówi po polsku, bierze ją na kolana, podrzuca nimi i śpiewa:

*Hopsa, hopsa Reiter
wenn er fällt den schreit er
fällt er in die grüne Gras
macht er sich die Hose nas
felt er in den Sumpf
macht der Reiter plumpf!*¹

Potem nauczyła się trochę historii; niewiele, ale wystarczająco, by dowiedzieć się czegoś o tej dziwnej krainie, w której zdarzyło jej się urodzić. I dlatego jeszcze parę lat później, gdy już w liceum usłyszała o poecie Erwinie Kruku i w którymś z jego tekstów przeczytała, że jest ostatnim Mazurem, zawołała zdziwiona: *Jak to?*

*

To właśnie przecucie pewnej wspólnoty losów spowodowało, że zaczęłam czytać Erwina Kruka, najpierw poezję, a potem dopiero powieści. Poczucie mieszkania na dziwnej ziemi. Takie doświadczenie powoduje, że dzieciństwo, dorastanie i w ogóle „stawanie się” nie przebiega w sposób prosty, przewidziany w danym skrypcie, odpowiednim dla stabilnej sytuacji ontologicznej. Ziemia pod nogami się zmienia, porusza się niemal, trudno więc stawiać kroki, pierwsze, drugie i kolejne, iść do jasno oznaczonego celu. Kruk urodził się na dziwnej ziemi w fazie jej największego trzęsienia, w czasie II wojny światowej; kiedy zaczął świadomie patrzeć na rzeczywistość wokół, ona okazywała się płynna. I chodzi tu o każdy wymiar tej rzeczywistości.

*Rzeki straciły dawne nazwy –
przyzywają je nowymi.
Miasta straciły dawne nazwy –
zburzone odbudowano w innym imieniu.*

62

Tak pisze poeta w wierszu z tomu „Zapisy powrotu”. Rzeczy zmieniają swoje nazwy – dotyczy to rzeczywistych miejsc tak samo jak punktów na mapie. Nazwy na drogowkach – to sprawy szczególnie wymowne, bo przecież mają służyć orientacji. Ale i słowa w mowie przestają przylegać do rzeczy, skoro odchodzą ludzie, którzy nią mówili. Zginęli na wojnie, wyjechali jakiś czas potem, zastąpieni przybyszami z innych stron. Mniej ich i mniej, jednego dnia są, potem, nagle, już nie. Ja też o tym wiem – choć dwadzieścia parę lat później. Tata opowiada mi, jak to było i jak ciągle jeszcze bywa, jeszcze trzydzieści lat po wojnie, gdy autochtoni prze-

¹ „Hoppe, hoppe” – taki początek podają źródła internetowe. Ale może istniały oboczności regionalne, a jeśli nie, to na pewno rodzinne.

konywani są do wyjazdu, poddawani mniej lub bardziej dyskretnym naciskom. Zostają puste domy, dogasają paleniska, jak w powieści „Pusta noc”. Konieczne związki przynależności się rozsuwają, a co między nimi, w tych szczelinach?

*Ludzie stracili dawną ojczyznę –
w ziemię schodzą i zaprzeczenie.
Ojczyzna moja jest w stronie żadnej.*

Ten proces odsuwania się słów od rzeczy jest naoczny, odbywa się w przytomności jego uczestników, a bywa wieloetapowy. Miejsowości dostają czasem nazwy przejściowe, jakby oddając przez to samą istotę niestabilności, jakby same się wahały, czym mają się stać. Rozciągają się w przestrzenno-czasowy symbol. Dönhoffstadt, Pałacowo, Drogosze, wieś, w której się urodziłam i wychowałam – nie widziałam tych wszystkich momentów, tych przechyliń i przełamań, tych etapów – słyszałam o nich tylko i czytałam.

Poeta Erwin Kruk rozpiął na szczytach tych faz swoje stawanie się.

Kiedy to zrozumiałam, chciałam się dowiedzieć więcej o tym, jak to jest się stawać. Co się wtedy widzi, co się słyszy, czego wacha i czego dotyka. Jak to się wszystko dzieli, jakie najmniejsze cząstki można spróbować zauważyć i pojąć, i jak układa się z nich w człowieku na nowo niepowtarzalna całość, według jakiego wzorca. Szukałam tego.

Szukając, znalazłam najpierw Ernsta Wiecherta, a jego najbardziej znaną powieść „Dzieci Jerominów” na pewnym etapie życia czytałam co kilka miesięcy, robiąc na tyle długą przerwę między kolejnymi czytaniem, by dało się trochę „zapomnieć” szczegóły. Coś mnie, młodą dziewczynę, trzymało przy tej na pozór sentymentalnej, staroświeckiej książce. Przy tej wizji rzeczywistości pełnej, wizji życia spełnionego w „osobnym”, wyciętym ze świata miejscu o podwójnym statusie ontologicznym: z jednej strony to była wioska w lesie, w której zrealizowało się sacrum, na przekór jakby rozpadającej się rzeczywistości historycznej, politycznej i socjologicznej czasów, których dotyczą losy bohaterów, z drugiej strony – realne miejsce, pierwowzór powieściowego Sowirogu, rozpadło się w proch pod naporem owej rzeczywistości, oddając pole innym jakimś, nowym cywilizacjom, roślinnym, mikrobiologicznym może. Tym bardziej losy bohatera powieści, Jonsa Jeromina, wydawały mi się kracją przekorną, jakby „wystawioną”: wobec licznych nurtów w prozie XX-wiecznej, nurtów rejestrujących bardziej rozpadanie się niż stawanie, bycie w drodze raczej niż dojście dokąś, wydawały się w swoisty, paradoksalny sposób nowoczesne, a nawet, zaryzykowałabym, w pewnym aspekcie już postmodernistyczne, bo aż tak bardzo wyjątkowe i niemożliwe. To musi być rodzaj strategii, przekornego projektu, tak sądziłam, ułożyć w tych czasach opowieść inicjacyjną o inicjacji dokonanej. Spełnionej. Tym bardziej że jakby po nic. Wszak trzeciego tomu sagi nie będzie, to właśnie napisał Wiechert na koniec. Tom trzeci napisała wojna. *Czy myśli pani, że Wiechert świadomie to zrobił?* – zapytano mnie na radzie wydziału, gdy przedstawiałam rozdział

doktoratu na ten temat. Nie wiem. Nie wiem, ale podejrzewam, że to nie musi mieć znaczenia, projekty egzystencjalne nie zawsze bywają w pełni uświadamiane. Wiem za to, że moja strategia czytania taki właśnie projekt wpisała w odbiór książki. Co zresztą postanowiłam przełożyć na język naukowy.

I tak – później układały mi się wobec tej matrycy kształty bohaterów wszystkich powieści Erwina Kruka. Jako rodzaj kontrprojektu albo może dokładniej: jako ukazanie drogi do inicjacji niemożliwej do przeprowadzenia w świecie, który się właśnie rozpada i kształtuje na nowo. Tymczasem poznałam Freuda, Lacana, Junga. Aż po młodzieńczą fascynację Eliadem, który tak prosto to tłumaczył. Dzielił przestrzeń i czas na układ linii. Przykładał te linie do naszych głów, twierdząc, że to wszystko pasuje. Jasne, wiedziałam, że jesteśmy w środku systemu, widzimy i czujemy tylko to, co możemy, na co pozwala umysł. Kosmos i chaos (czyli w pewnym sensie świat i nieświat), centrum przestrzeni, granice poznawalnego i *terra ubi leones*. Horyzontalność i wertykalność. Czas z jego linearnością i cyklicznością. Sposób ujmowania świata charakterystyczny dla społeczności typu pierwotnego, zapisany na dnie naszej świadomości, jest repozytorium narzędzi tożsamościowych, a jednocześnie obszarem, wobec którego na pewnym etapie rozwoju społecznego i osobniczego staramy się określić. Wiechert ułożył w odniesieniu do niego swoją niespełnioną utopię – a Kruk? Czy możemy powiedzieć, że w świecie swojego bohatera zostawia ślady dystopii?

Nie nazwałam tego w ten sposób w żadnej z prac dotyczących Kruka, poświęconych jego twórczości ujętej osobno czy też w zestawieniu z innymi pisarzami². Rodziłam się, gdy Kruk wydawał swoje pierwsze książki, dorastałam, gdy pojawiały się kolejne. Twórczość Kruka była dla mnie otwarta, była drogą, która wciąż trwa, była procesem, który, zgodnie z moim nachyleniem antropologicznym, traktowałam jako projekt. Projekt – życie. Praca magisterska dotyczyła tylko poezji, jeszcze wtedy bliższej mi niż powieści, i szłam w niej jeszcze tropem najbardziej oczywistym: kolejne tomy analizowałam jako etapy rozpoznawania własnej tożsamości, poszukiwań – coraz trudniejszych – w pamięci oraz budowania mitu północy, mazurskiej krainy Nod, odzyskiwanej w miejsce tej rzeczywistości, na której rekonstrukcję pamięć już nie pozwalała. Poezja tej fazy, pisałam wtedy: *Ma moc wyłączenia poety z rzeczywistości, świeckiego czasu, przenosząc go ponad biegiem dni i lat. Najważniejszym jednak zadaniem, które spełnia, jest to, że nadaje sens i wartość, pozwala wierzyć w ciągłość i sensowność świata*³. Tak mi się wydawało.

64

Eliade jednak nie dawał mi spokoju, do spółki z Brunonem Latourem i jeszcze innymi badaczami. Rozpoznania dotyczące pracy pamięci i zabiegów mityzacyjnych nie traciły wprawdzie aktualności, ale czegoś mi brakowało, miałam wrażenie, że opisują tylko pewien wycinek, a raczej

2 Np.: *Od regionalizmu do uniwersalizmu. O poezji Erwina Kruka*, Warszawa: Semper, 1995; *Ciało w powieści inicjacyjnej*, „Borussia” 2001/2002, nr 26; *Schematy inicjacyjne w twórczości Ernsta Wiecherta, Johanna Bobrowskiego i Erwina Kruka*, rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem Andrzeja Lama, Uniwersytet Warszawski 2005 (kolejne rozdziały drukowane jako artykuły w piśmie „Borussia. Kultura. Historia. Literatura”); *Inicjacja w twórczości Erwina Kruka*, [w:] *Z dróg Erwina Kruka*, red. Z. Chojnowski, staraniem Polskiego Towarzystwa Czytelniczego, Olsztyn 2006; *Mythos und Gegenwart. Zur Mythisierung in Werken von Ernst Wiechert und Erwin Kruk*, [w:] *Ostpreussen – Westpreussen – Danzig. Eine Historische Literaturlandschaft*, red. J. Stüben, München: Oldenbourg Verlag, 2007.

3 *Od regionalizmu do uniwersalizmu...*, s. 61.

może warstwę świata Krukowej twórczości. Bardzo chciałam to podnieść, żeby zobaczyć, co jest pod spodem, czy wyłoni się pewien zarys, wzorzec, a może zrab mechanizmu wprawiającego to wszystko w ruch. Zobaczyć, jak to działa.

I dlatego podjęłam takie ryzyko, by przyłożyć do utworów Kruka schemat interpretacyjny pobrany częściowo od teoretyka religii Mircei Eliadego, częściowo zaś od antropologów badających społeczności plemienne. Chodziło o schemat postrzegania czasu i przestrzeni, to po pierwsze, a po drugie, o schemat kształtowania statusu ontologicznego w ramach społeczności, czyli inicjację. Przyjmowałam, za antropologami, że naszą psychiką stale rządzą te same tryby, o wiele tylko bardziej zamaskowane, zabudowane atrybutami nowoczesnego świata. Wyrysowałam plan działania, wyostrzyłam narzędzia i... dostałam to, co chciałam. Wszystkie utwory prozatorskie Erwina Kruka okazały się powieściami inicjacyjnymi. A może w sumie jedną długą opowieścią inicjacyjną o inicjacji, która nie może się dokonać. Nie może, bo nie ma już społeczności, która byłaby dla protagonisty – bo zakładałam, że za każdym razem jest to w pewnej mierze ten sam bohater, często przybierający cechy autobiograficzne – źródłem oparcia, wartości, wzorców postępowania oraz historii. Bohater zawsze jest sierotą, zawsze jest obcy wśród otaczających go ludzi. Nie ma społeczności, nie ma więc mistrzów inicjacyjnych – ludzi, którzy mogliby przekazać mu spójną wiedzę o świecie, o przodkach, język, system wartości. Coś złego dzieje się też z samą rzeczywistością, w której inicjacja powinna się była dokonać – ta rzeczywistość traci stabilność, rozmywają się granice, zanikają centra, pustoszeją domy. Opozycja między kosmosem i chaosem powinna porządkować przestrzeń, lecz ulega przesunięciu, proliferacji, do świata przenikają coraz masywniej cząstki nieświata i jak zmutowane makrofagi zjadają go. Czas również zaczyna zachowywać się niestabilnie, coś go wciąż zakłóca w obu jego przebiegach, linearnym i cyklicznym. W każdej powieści odnajdywałam znaki tych przestrzenno-czasowych niespójności, badałam zachowania bohatera, jego własne słowa i te pochodzące od narratora – wszystko, co pozwalało na wniosek, że jego istotną cechą jest brak. Mocno odczuwany i wciąż artykułowany brak przyjęcia konkretnego statusu ontologicznego, brak wejścia w dorosłość, w końcu metafizyczny, uogólniony brak po prostu. Najjaskrawiej może i dojmująco wyraża to już sam tytuł powieści „Łaknienie”, ta opowieść o ontologicznym głodzie. Proces dezintegracji

kulminuje w powieści „Łaknienie”, gdzie konstrukcja czasu oparta jest na zasadzie deficytu przeszłości, swoistego długu zaciągniętego w niej przez terażniejszość. Wszystko, co mogło, co powinno się było wydarzyć kiedyś w życiu bohatera, nie stało się nigdy i już stać się w zasadzie nie może, wielokrotnie formułowana jest opinia, że na coś jest za późno, coś zostało zmarnowane. Procesowi destrukcji ulega to wszystko, co kiedyś miało być przyszłością, a więc powinno być obietnicą, ale przy wejściu w terażniejszość zostaje „zassane” przez pustkę, próżnię z przeszłości⁴.

4 A. Matysiak, *W poszukiwaniu kosmosu. O problemie inicjacji w twórczości Erwina Kruka*, Borussia. Kultura. Historia. Literatura, 2003, nr 30.

Każdy z bohaterów Kruka, tak to widziałam, koncentruje się na tym, by zaspokoić ten głód, zapelnąć pustkę, a miało się to stać w ten sposób, że skoro inicjacja jest niezbędna, by wejść w dorosłość, to trzeba się o nią jakoś postarać. Poszukać odpowiedniego miejsca. Sprzyjających okoliczności. Znaków. To może być jasność. Światło. Ogień. Bohaterowie sami bywają „łatwopalni”, z tendencją do wzniecania pożarów. To centra, wzgórze, sny o wzgórzach. Wysookie drzewa, cmentarze. To wszystko są próby odczucia struktury świata takiego jak w społecznościach pierwotnych, postrzeganego jako sensowny, jako świat po prostu. Postaci z utworów Kruka stale też coś pcha w stronę przeżyć, które określiłam jako spontaniczne stany parainicjacyjne:

Nie osiagając one skuteczności rytuałów inicjacyjnych, moc ich działania zależy od tego, na ile okoliczności takich stanów wykazują analogię czy zbliżają się do struktury odpowiadającej utraconemu w dzieciństwie światu – Kosmosowi. W reakcjach na realia otaczającego świata, we wspomnieniach czy olśnieniach odzywa się echo archaicznych znaczeń, dają się wtedy słyszeć zepchnięte do podświadomości, stłumione struktury mitotwórcze, wyspecjalizowane w poszukiwaniu sensu. Ich działanie można objawowo zdiagnozować, używając metafory, jako poszukiwanie Kosmosu. Wychwycone i wyjęte z tła zostaje to, co łączy się ze sferą sacrum, ku niej kieruje, czy zwłaszcza posiada znamiona epifanii⁵.

Bohaterowie Kruka szukają „mistrzów inicjacyjnych”, tych jednak nie ma. Próbuje więc sami stać się dla siebie takimi mistrzami, sami próbują się stworzyć, stać się. Między innymi angażują się w bójki, które można interpretować jako próby inicjacyjne w schemacie bohaterskim, przeżywają sny i choroby mające znamiona faz charakterystycznych dla inicjacji typu szamańskiego.

Przyjmuję ten rozdział, niech pani nic nie zmienia – powiedział promotor po przeczytaniu mojej monokausalnej narracji. Sam pisarz odniósł się do mojego tekstu ze zrozumieniem, bo już się przecież dużo o sobie naczytał.

Myślę, że w moim poznanym dziwnością miejsca życia szukałam nadziei na to, że można wynaleźć „sposób”. W poczuciu obcości wśród rówieśników, w przemilczeniach dorosłych (nie mówiło się o dziadku z wermachtu, który po wojnie po prostu nie powrócił, a poszukiwania nic nie dały; po prostu go nie było, ale był – w jasnych włosach taty, w jego rysach, w milczeniu babci, w znikających zdjęciach i zapiskach i w moim głodzie, w braku jednej części historii, w niepokoju i w nadziei, w żalu, niechęci i w rozpoznaniu wreszcie, w odwadze, że mogę go szukać w sobie samej). W tym wszystkim szukałam ludzi o podobnym doświadczeniu źródłowym, podobnym, choć przecież innym. Był jeszcze Johannes Bobrowski, to on stał się trzecim ogniwem, które w końcu przyniosło mi, jak myślałam, a może nadal myślę, „sposób”, który okazał się mi najbliższy, najbardziej zrozumiały, choć i w tym wypadku przypisałam poecie i pisarzowi, autorowi niezwykłego „Młynu Lewina” pewną strategię poruszania się w rozbitym

.....
5 Tamże.

świecie: strategię dekonstruowania, podważania wszystkiego, co zaczyna się układać w obraz zbyt stabilny, jako jedyną możliwość zapobiegania przemocy – wojennej, społecznej, a także wobec siebie samego, wobec tej części w sobie samym, która ośmiela się nie pasować do narzuconego (a czasem bezpiecznego) schematu. Strategię otwartości i ryzyka⁶.

Po latach myślę, że wszyscy oni, Wiechert, Bobrowski i Kruk, mieli ze sobą więcej wspólnego, niż mnie się na początku wydawało, że w gruncie rzeczy wszystkie te strategie były strategiami otwarcia i podjęcia ryzyka. Wiechert – ryzyko podjęcia prostej drogi, przy jednoczesnym otwarciu na inność, przy niezmiernie gościnności, która, jak chyba wierzył pisarz, wynika z pierwotnej czystości serca. Bobrowski – odwaga stałego negocjowania i renegotjowania własnej tożsamości.

A Erwin Kruk – tak pisze w wierszu, który wydaje mi się bardzo istotny:

*Bezmiar cierpienia
Pozwala nam żyć.
Jest w tym ciekawość,
Do jakich klęsk
Zdolny jest człowiek
Do jakich zwycięstw
Prowadzi go próba wiary,
Kiedy zejdzie w mroki,
I ku jakim światom
Liche dni go poniosą,
I w jakim świetle
Obmyje siebie i dostrzeże
Przejrzystość rzeczy,
Która go z sobą zagarnia.
Cierpienie jest nadzieją
Na rzeczy niestworzone.*

Rzeczy niestworzone – ileż jest w tym treści i ile nadziei. To rzeczy, które są trudne do wyobrażenia, bajki, marzenia nierealne, fantazje. Ale to także rzeczy, których po prostu nikt jeszcze nie stworzył. A więc wszystko jeszcze przed nami. Przed każdym z nas.

67

Dziękuję, Kochany Panie Erwinie.

Anna Matysiak

.....
⁶ A. Matysiak, *Rola dekonstrukcji w twórczości Johanna Bobrowskiego*, Borussia. Kultura. Historia. Literatura, 2006, nr 39.

POEZJA



Kazimierz BRAKONIECKI

Kruk i kos. Pamięci poety Erwina Kruka

I

1.

W piątek 31 marca 2017 roku wczesnym popołudniem zmarł
w maltańskim hospicjum w Barczewie Erwin Kruk –
polski poeta mazurski
którego Karl Dedecius nie chciał tłumaczyć na niemiecki
ponieważ Mazur Kruk był Polakiem socjalistą chłopem
a wieś polska nie interesuje Niemców i w ogóle przegrane Prusy Wschodnie
peryferyjna prowincja nostalgii i mitotwórstwa kresowego
Sybir religijny i klimatyczny Mazurzy głosowali na Hitlera i nie ma
o czym mówić chociaż to ziemia Herdera Kanta Wiecherta Lenza Bobrowskiego

Poeta Krainy Nod odnalazł jednak swoją obczyzną-ojczyznę
utracił rodziców lecz ocalił pokrewne grudki słów fotografii grobów
które obrastały jego wierszami jak słoje w drzewie alfabetu
dzieciństwo w III Rzeszy w komunistycznej Polsce wzorowy uczeń
lider przemian socjalistycznych i chłopskiego awansu
ideowy członek PZPR melancholijny reprezentant proletariatu
po 1989 roku senator Solidarności ewangelik zwolennik Lecha Kaczyńskiego
w płaszczu Konrada coraz bardziej romantyczny i rozgoryczony Mazur

Zostało trochę świadków Karol Małek Gerard Skok Hieronim Skurpski
inaczej Herman Schmidt ze Skurpi i czy by wygrał Hitler czy Stalin
i tak każdy z nich po raz ostatni stałby się mazurskim Indianinem
tropiącym zarośnięte niepamięcią tropy milczącego plemienia
którego imię i zabobony stałyby się zniewagą albo turystyczną reklamą

Byli Mazurzy pruscy niemieccy polscy mazurscy zawsze w mniejszości
i historycznym odrętwieniu wiejski język ich wyróżniał i skazywał
ich wiara pieczołowicie skryta i wymieszana z porami roku
jak piasek z ich pól zawiewała na drewniane domy chmury pokory
aż upomniła się wielka historia i przerobiła zgięty lud na krzywy naród
który rozleciał się jak hitlerowskie posągi i komunistyczne rodowody
I nie ma Mazurów i nie ma dramatu po lasach dymią mogiłami narzędzia
pamięci
nie pierwsza to i nie ostatnia w Europie wymiana pogranicza na pustki
które zasiedla jednowymiarowa tożsamość i jędrne państwo

Johannes Bobrowski Sarmacją nazwał tę krainę Kruk Krainą Nod
dla mnie to Atlantyda Północy dla Miłosza część Europy Rodzinnej
nic w niej nie było wyjątkowego tu pastwiska Mazowska przechodziły
w tafle jezior na które swoje palce składał wszędobylski księżyc przemian
wieśniacy i leśnicy tu i tam mieli te same drewniane twarze i ręce
ci sami panowie feudalni zaganiali ich mitem i biczem do modlitw i pracy
jak potem do pegeerów przypędzonych tu po wojnie Kurpiów Łemków
Ukraińców

Pojedyncze umysły tworzą zastępcze mity zakorzenienia i iluminacji
które polityka zręcznie potem ludowi sprzedaje jako zwycięstwo nad chaosem
w błysku rozpaczy sieroty po imperium lub arkadii odtwarzają dzieciństwo
zanim śmierć wszystkiego co jest przestrzenią i kształtem widzialnego
zmieni na zawsze mapę ich mózgu i mapę ich pognębioj ojcowizny

2.

Poeta zmarł w dawnym szpitalu teraz hospicjum w Barczewie na Warmii
dominującym znad wzgórza miejskiego nad kościołami i więzieniem
w którym siedział gauleiter Prus Koch oraz Michnik i Frasyński
w miasteczku w którym urodził się muzyk Nowowiejski tłumacz Lipscher
i ja sam w kamienicy na pięterku wąskiej ulicy Mickiewicza
Luterański Mazur zmarły w katolickiej Warmii słabnący kruk jak piskłę
w gnieździe uczące się lotu samotnie ponad krajobrazem pól i lasów

Warmia to całkowicie inna mitologia bardziej polska i biskupia
ziemia Kromera Kopernika Hozjusza Krasickiego taki jęzor wysunięty
z pyska nadbałtyckiej wiedzy którą spalono po raz ostatni w Reszlu

Czarny Kruk chciał być białym krukiem pruskim na Mazurach
osiwiał i białym lotem oblatywał stronicę kancjonałów i kronik
gardził powojennymi Borussami z rodziców mieszanych i kolonistów
choć sam mieszaniec z Mazowsza tylko dwa może wieki temu
Tylko on miał prawo nosić pióropusz na kruczych włosach Prusów
a innym – co tak samo uzurpowali sobie prawo do metafizyki miejsca
naśladowali szczekliwych Jadźwingów pogubionych Warmów
wzywali Perkuna i obejmowali buki i dęby w ekologicznym szale –
dziwił się wychodząc z domu aby zobaczyć co robi bez niego miasto

Pamiętam jego inteligentne oczy zgryźliwy humor przyjmowanie hołdów
jako coś naturalnego jak roślinne były jego pożegnalne wiersze
w których zbierał eschatologiczne słowa jakby obchodził
gospodarstwo po zakończeniu żniw i ziarna było dosyć a jednak puste
bo nic nie wróci bogactwa lat których tak naprawdę nigdy nie było
poza udręczonym wspomnieniem i potrzebą wrośnięcia w to co ulotne
co przesypuje się jak w klepsydrze żeby stać się w ciszy cmentarną ziemią

II

1.

Ceniłem Kruka ale mało lubiłem bo nie dawał się lubić
w poezji chował umarłych i umarłe z nimi przestrzenie i głosy
co też robiłem wychodząc z innej ekstazy świata i świadomości
co i tak nas zbliżyło bo wiersze rodzą się i giną z bólu i straty
a nie z pochwały nikczemnego i tak zakopaliśmy go w ziemi
poezji z dala od wsi rodzinnej ale w tym samym północnym oddechu
w pobliżu morza jezior i lasów należących do płytkiego tu kosmosu
a nie do plemion religii czy ideologii bo i kosmos jest tchnieniem
poprzez ły mokradła i piaski w których gubisz słowo i światło
i stajesz się przezroczysty jak wszystkie inne porzucone języki narzędzia
i przechodzi po tobie niezauważonym tabor wschodów i zachodów słońca

2.

Całym jego światem za oknem kuchni były drobne mirabelki
nieśmiało rosnące na osiedlowym krzewie
zdarzało się że wychodził i stawał pod drzewkiem
liczył mirabelki na gałęziach na spotniałej ziemi
przyciskał lekko i odchodził zaraz do bloku
trochę żałował trochę się cieszył trochę patrzył
wracał do kuchni stawał w zamkniętym oknie
jedną mirabelkę skradzioną obracał w palcach jak
brakujące w wierszu z nieznaney mowy słowo

Od dzieciństwa wiedział że to co przeżywa i widzi
w tym samym czasie i przestrzeni choć nie tutaj i teraz
dzieje się prawdziwiej i że nie chodzi o żadne życie
po śmierci że śmierci nigdzie tam nie ma
że to jest współobecność ludzi czasów przestrzeni
choć już nie ma bliskich przestrzeni ludzi czasów
bo łaknieniem jest tak naprawdę gorzka nicłość
którą się odmienia przez widzialne przypadki serca

Kiedys na początku zmiany ustroju na demokratyczny
mieliśmy wspólny wieczór autorski w starej bibliotece
i więcej nas łączyło niż dzieliło on ostatni poeta Mazur
ja pierwszy poeta Atlantydy Północy a razem poeci zakłęci
Teraz wiersze swoje czyta chmurom jałowcom i krewnym
sam może jest chmurą jałowcem i pokrewnym życia
na które spogląda czystym po deszczu nieskończoności okiem

III

1.

O świcie przed pogrzebem pobiegłem na działkę pod lasem
żeby wkopać jeszcze czarną jeżynę w plecy ziemi
kiedy znad sosen i brzóz okrzykami zagrzechotały żurawie
przecież szła wiosna niechętnie ale jednak tu i ówdzie
wyleciały jak spitfire'y od zachodu z zaskoczonego lasu
trzy żurawie mocarne strzały rozpogodzonej chwili
nisko nade mną i na wschód z okrzykiem pogańskim pofrunęły
i kruk zaraz odezwał się zza drzew i krąg nade mną zatoczył

uderzając dźwiękiem w odurzoną ziemię i na wschód też odleciał
gdzie Barczewo stoi i hospicjum na wzgórzu czasu w którym poeta umarł
śpiewak z krainy Nod i Mazur co o Edenie marzył pruskiej Odysei
Kruk Ulisses co nigdy nie opuścił swojej przyziemnej ziemi
gdzie i ja się urodziłem żuraw światologiczny pod nieboskłonem Północy

2.

Jeżeli chcesz wyhodować żywy wiersz
musisz go pogrzebać w pamięci wyobraźni ojczyźnie
wraz z pierwszym twoim umarłym i zamilkłym
i czekać aż w jego czarnej koronie którą oświetli świat
zagnieżdży się słowo którego będziesz oczami i sumieniem

Widok z wiersza okno ciała a za nim
przestrzenie powstający świat umysłu
który błądzi po światach dzieciństwa nie znajdując
źródeł światła które na brzegach snów czernieje
Zacznij od liczenia drzew na linii widnokregu
liter na stronicach widnoksięgu stojących krzywo
w nieobjętej ziemi czasów które są korą kosmosu

Puste krzesło z prostego drewna mazurskiego wiersza
na którym siadywał spracowany wieczorem Michał Kajka
puste krzesło mazurskiego wiersza stojące w pokoju
naprzeciw księżycy obrotnego jak głowa siwego chłopca
Dwa krzesła Kajki i Kruka ustawione w muzealnym milczeniu
kto to krzesło poezji opuścił kto na nim strudzony usiądzie
puste krzesło bez oparcia żaden tron czy kazalnica
czy wrośnie w próchno cienkiej ziemi zapuści korzenie nadziei
czy je ktoś przewróci i zarośnie go trawa nieobecności
takie krzesło wiersza nieswoje czujne i zazdrosne
krzesło poety patrzącego na niebo dziecko i mowę

3.

Gromadka pastorów w czerni zbór sępów luterańskich
grzebie w ziemi olsztyńskiej barda prusko-mazurskiego Kruka
szczególnie jeden najmłodszy popisuje się elokwencją
jakby stał w barokowej ambonie naprzeciw lodu wiary
traktat teologiczny wydłubuje z milczącej rany Umarłego
i pokazuje nam jak chustę Weroniki której nie odgadł

Dół rozwany pod zielonym namiotem mokry i bezsłowny
czeka i siwa Świetłana o kulach czeka opuszczona Muza
słowa terkoczą i opadają w deszczu kiedy ze szczytu lipy
głos się roznosi perlisty i sylwetka kosa się pojawia
ciemny ptak zaczyna śpiewać tak jasno jakby nalewał do mogiły wodę życia
nikt już nie słucha czarnowłosego pastora pienia
lecz zaśpiewów kruka który jest teraz kosem i staje się wielką literą
wiecznej pieśni której skrzydła w mżawce tęczą się mienią

Ptaszący Kruk w trumnie zatrzaśnięty nad otchłanią
i siedzący na gałęzi lipy alfabetem radosnego śpiewu
przejrzyście klarowny w tych nutach niebiańskiego losu
z gardziółka wydobywa wielkie litery które czarują

Dusza z ciała wyleciała i na miłej lipce zaśpiewała!

Kazimierz Brakoniecki

KULTURA NA WARMII I MAZURACH



Marek BARAŃSKI

Owoc granatu po raz pierwszy Subiektywna kronika kulturalna lat 2014-2017

MAREK BARAŃSKI

zasłużony olsztyński dziennikarz, publicysta, poeta, członek SPP, autor kilku książek poetyckich.

2014. Od „Papuszy” do „Cichej nocy”

W Wigilię 2014 roku zmarł w Warszawie Krzysztof Krauze, reżyser filmowy. Jego matka Krystyna Karkowska w latach 1961-1965, za dyrekcji Aleksandra Sewruka, była aktorką Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Na Warmii i Mazurach, w Orniecie i w Nadleśnictwie Wichrowo niedaleko Dobrego Miasta nakręcono część zdjęć do filmu „Papusza”, który to film reżyser zrealizował wspólnie z urodzoną w Olsztynie żoną, Joanną Kos-Krauze. Premiera „Papuszy” odbyła się w kinie Helios w Olsztynie 12 listopada 2013 roku.

Poznałem Krzysztofa Krauzego na V Forum Kultury Regionu Warmii i Mazur, które zorganizowano w Olsztynie 5 września 2012 roku pod hasłem „Jakiej kultury potrzebują Polacy”. Przed rozpoczęciem kongresu spytałem reżysera, jak rozumie hasło „forum”. Odpowiedział mi, że z trzech wartości rewolucji francuskiej: wolność, równość i braterstwo, najważniejsza dla niego jest wolność. *Zawsze są jakieś ograniczenia, ale najważniejsza jest wolność – powtórzył. – Niech pan to podkreśli.*

Swoje wystąpienie na Forum Krauze zaczął od tego, że związany jest z Olsztynem, bo tu pracowała jego matka i tu nauczył się pływać. Ale powiedział też wtedy, że Olsztyn jest jednym z ostatnich miejsc w Polsce, gdzie nie utworzono Regionalnego Funduszu Filmowego. Przypominał, że akurat realizuje w Ornecie film o romskiej poetce Papuszy, zresztą z udziałem olsztyńskich Romów, i nie dostał od miasta na realizację tego filmu ani złotówki, choć to oczywista reklama Ornety. *Zdumiewa mnie – mówił wtedy z pasją – że tak trudno dociera do władzy, iż kultura się opłaca, że jest promocją, która przekłada się na obroty hoteli i restauracji. Jak wyglądałby Kraków bez kultury? – pytał.*

Reżyser upomniał się też o ogólnopolską inicjatywę Obywateli Kultury. Podał przykład Bydgoszczy, gdzie wszystkie pieniądze na kulturę rozdzielają przedstawiciele organizacji społecznych, a nie urzędnicy.

Można powiedzieć, że apel Krzysztofa Krauzego został wysłuchany. 1 stycznia 2017 roku w Olsztynie utworzono Warmińsko-Mazurski Fundusz Filmowy. Jego szefem został Bogumił Osiński. Z WMFF dofinansowano produkcję debiutu fabularnego Piotra Domalewskiego „Cicha noc”, w całości zrealizowanego na Warmii, między innymi w Pęglitach i Sząbruku. Film otrzymał najważniejszą nagrodę na 42. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni w 2017 roku – Złote Lwy, oraz pięć nagród pozaregulaminowych.

2015. (Nie)widzialne granice

15 stycznia w Pałacu Młodzieży w Olsztynie otwarto wystawę „Z archiwum Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Fotograficznego”. Kuratorami wystawy byli olsztyński fotografik Mieczysław Wieliczko i jego żona Ewa, która prowadzi zajęcia w Pracowni Fotografii Pałacu. WMTF, w którym, jak wspomina Mieczysław Wieliczko, nabierała „fotograficznej oglądy” większość olsztyńskich mistrzów obiektywu, powstał na początku lat 60. Rozkwitł w latach 70. i na początku 80.

Na wystawie zobaczyliśmy wczesne prace takich autorów jak zmarły we Francji Mariusz Hermanowicz czy współzałożyciele WMTF, pracujący w Bielsku-Białej Andrzej Baturo, ale też profesor UWM Janusz Połom, również jak Mariusz Hermanowicz, absolwent łódzkiej filmówki. Przypomniano zdjęcia fotoreporterów olsztyńskiej prasy, takich jak Kazimierz Dąbrowski i Ryszard Jaromiński (ostatni prezes WMTF), a także takich autorów jak między innymi Jerzy Olak czy Ewa Kusiorska, Stanisław Szczygłowski, Krzysztof Janicki, Jerzy Waluga, Zofia i Andrzej Barankiewiczowie i oczywiście Mieczysław Wieliczko.

* * *

Od 18 do 25 lipca w Teatrze Węgałty prowadzonym przez Mute i Waclawa Sobaszków odbywał się pod hasłem „(Nie)widzialne granice” festiwal Wioska Teatralna 2015. Uwagę skupiono na imigrantach.

Podczas publicznej dysputy młodzianka Czechenka opowiadała o przeżyciach swojej rodziny w Polsce. Osiedli w biednej dzielnicy Warszawy. Zaczęło się od tego, że dzieci polskich sąsiadów wybiły im szyby w oknach. Nie zważając na to, jej matka zaprosiła sąsiadów do domu. Mimo protestów rodziny. Sąsiedzi przyszli, zjedli, porozmawiali, zobaczyli po raz pierwszy w życiu owoc granatu i dowiedzieli się, gdzie leży Czeczenia. Po jakimś czasie zaczęli mówić im dzień dobry. Stali się miłsi. *Mama sprawiła, że nie baliśmy się wchodzić na nasze podwórko* – powiedziała Czechenka i dostała najwięcej oklasków.

Prowadzący dysputę Edwin Bendyk z tygodnika „Polityka” przypomniał, że sto lat temu paszporty były czymś wyjątkowym w Europie, a mieszkańcy naszego kontynentu masowo emigrowali do Ameryki. Ellis Island w Nowym Jorku od 1892 roku do 1954 roku przyjęła 12 mln Europejczyków. Był taki dzień w 1911 roku, gdy na wyspę przybyło ich 14 tysięcy.

* * *

15 lipca na scenie Amfiteatru im. Czesława Niemena spotkały się Marta Andrzejczyk, Ania Broda, Ewa Cichocka, Wanda Laddy, Basia Raduszkiewicz i Krystyna Świątecka. Bogactwo głosów, talentów, charakterów. Towarzyszył im zespół pod kierownictwem Piotra Banaszka. Na widowni bliscy i znajomi wykonawców, wśród nich Janusz Laddy, charyzmatyczny nauczyciel muzycznej młodzieży w dawnym Wojewódzkim Domu Kultury. Jest takie powiedzenie: Nie od razu Kraków zbudowano. Musiało minąć pokolenie, byśmy mogli uczestniczyć w takim wydarzeniu jak tego wieczoru.

* * *

11 lipca Reszel obchodził trzydziestolecie galerii na zamku. Całymi latami rezydował tam Franciszek Starowieyski, będąc atrakcją miasta. Mam w uszach jego głos, gdy mówi z tym swoim twardym „er”: *forma, forma!* Na wystawie „Historia współczesności” można było zobaczyć gigantyczne płótna Starowieyskiego zajmujące trzy ściany, ale także obrazy między innymi Jerzego Dudy-Gracza, Teresy Pągowskiej, Natalii LL czy innych artystów, choćby dzieło pod tytułem „Rybak” autorstwa rzadko pokazywanego Henryka Mączkowskiego, rodowitego olsztynianina.

* * *

26 lipca Maja Komorowska dała w Praniu mistrzowską lekcję interpretacji wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Czytała „Śmierć Andersena” z powtarzającym się wersem: *Melancho-lijna poro, oczu oczarowanie*. Konstanty Ildefons Gałczyński cytuje tu „Jesień” Aleksandra Puszkina, w jednym miejscu po rosyjsku. Dla zrozumienia i efektu najlepiej słuchać Gałczyńskiego w Praniu. Weźmy choćby takie zdanie z cytowanego wiersza: *Bo Euterpe, muza, to nie mechaniczny zajac, to dąb, co rośnie wolno*. Chmurzyło się, zbierało się na deszcz, ale Maja Komorowska uśmiechnęła się i wyjrzało słońce.

2016. Wieści z frontu, skrzypce i tramwaje

28 stycznia w galerii sztuki BWA w Olsztynie odbył się wernisaż wystawy multimedialnej Janusza Połoma „Pejzaż w zagrożeniu”. Autor tłumaczył, że jego wystawa to epitafium dla odchodzącego krajobrazu towarzyszącego artyście od dzieciństwa. Janusz Połom, profesor UWM i artysta fotografik, nie może pogodzić się z faktem dewastacji Jeziora Wulpińskiego, jednego z najpiękniejszych jezior w okolicach Olsztyna.

3 lutego w Olsztynie zmarł Bohdan Głuszczak, twórca największych sukcesów Pantomimy Głuchych. Artysta z powołaniem pedagoga, uwielbiany przez studentów profesor od teatru. Z charakterystyczną brodą i charakterystycznym głosem. Sceptyczny mędrzec. Amatorski teatr wznosił na wyżyny.

12 maja w Oddziale Zbiorów Specjalnych Biblioteki Uniwersyteckiej UWM w Olsztynie otwarto wystawę „Śladami Borowskiego”. Pokazano rękopis juveniliów Tadeusza Borowskiego, jego debiut okupacyjny „Gdziekolwiek ziemia...” z odręczną dedykacją bratu Juliuszowi, maszynę do pisania, portret fotograficzny подарowany matce, Teofili Borowskiej, przez pisarzy niemieckich, a także fotokopie listów z Pawiaka i Auschwitz oraz fotografie matki, między innymi autorstwa olsztyńskiego fotografa Waława Kapusty. W czerwcu 2015 roku minęło 70 lat, odkąd pisarz po obozowej tułaczce połączył się ze swoją rodziną mieszkającą przy ulicy 22 Stycznia, wcześniej Pocztowej w Olsztynie, o czym zaświadcza fotografia z 1946 roku.

18 maja w Starym Ratuszu Erwin Kruk otrzymał Wawrzyn – Literacką Nagrodę Warmii i Mazur za zbiór wierszy „Nieobecność” opublikowany przez oddział olsztyński Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przy współudziale finansowym samorządu Olsztyna. Czytelnicy swoją nagrodę przyznali Joannie Żamejć za „Nawrócenie wiedźmy. Magiczno-historyczną powieść z czasów pruskich”, opublikowaną przez Pracownię Wydawniczą „ElSet”.

25 maja w hotelu Sheraton w Sopocie odbyła się gala finałowa XVI Festiwalu „Dwa Teatry – Sopot 2016”, na której słuchowisko „Epitafium” Włodzimierza Kowalewskiego, zgłoszone przez Polskie Radio Olsztyn, otrzymało Nagrodę im. Ireny i Tadeusza Byrskich za spektakl wykorzystujący potencjał miejscowego środowiska artystycznego. Nagrodę w wysokości 20 000 zł podzielili między siebie: autor Włodzimierz Kowalewski, reżyser Marek Markiewicz i realizator akustyczny Jaromir Wroniszewski. O nagrody główne walczyło 12 spektakli Teatru Telewizji oraz 20 słuchowisk Teatru Polskiego Radia.

* * *

16 czerwca w galerii Amfilada MOK odbył się wernisaż wystawy „Spiskowa teoria genów”. W wyniku „spisku” genów powstał klan artystek: Joanna Milewicz, Maria Milewicz-Brauer, Janina Brauer i Anna Eymont. Olsztynianki z urodzenia żyją i tworzą w trzech krajach. Joanna Milewicz jest malarką popularną w Olsztynie, jej mieszkająca w Niemczech siostra Maria Milewicz-Brauer tworzy unikatowe kompozycje między innymi z przedmiotów znalezionych na plażach w różnych częściach świata. Na wystawie eksponowała czerwoną suknię utkaną z figurek żołnierzyków, niczym „szatę Dejaniry”, którą znamy z mitów greckich. Córka Marii Milewicz-Brauer, Janina, też mieszka w Niemczech. Uprawia malarstwo i ilustrację książkową. Interesuje się sztuką niemiecką z lat 20. XX wieku. Można odnaleźć w jej obrazach nawiązania do takich mistrzów tamtej epoki jak George Grosz. Anna Eymont, która osiedliła się w Australii, zajmuje się grafiką użytkową. Prace czterech artystek korespondują ze sobą. Wpływy się przenikają.

* * *

19 czerwca Nagrodę Miast Partnerskich Torunia i Getyngi im. Samuela Bogumiła Lindego odebrał w Getyndze olsztyński poeta, eseista, tłumacz Kazimierz Brakoniecki; ze strony niemieckiej uhonorowano niemieckiego poetę i tłumacza Jana Wagnera. Nagroda literacka im. Lindego przyznawana jest od 1996 roku dwóm autorom: z Polski i Niemiec. Spośród poprzednich laureatów wymienię tylko związanych z naszym regionem germanistę Huberta Orłowskiego oraz prozaika Włodzimierza Kowalewskiego.

* * *

2 lipca odszedł Tadeusz Szyłłejko, krytyk muzyczny i teatralny, erudyta, który urodził się w Wilnie 2 kwietnia 1945 roku. Na świecką uroczystość na cmentarzu przy ulicy Poprzecznej stawili się najbliżsi i przyjaciele. W imieniu Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej, dla której przygotowywał programy, Tadeusza Szyłłejkę pożegnał Janusz Ciepłiński. Szyłłejko studiował fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Tłumaczył, że to tylko pozorna rozbieżność: bez znajomości fizyki i matematyki nie można zrozumieć wielu idei muzyki współczesnej. Jako student był jednym z założycieli Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Muzycznej, będącego afiliowaną przy UNESCO sekcją światowej organizacji Jeunesses Musicales. Po studiach pisał do warszawskiego tygodnika „Literatura”, ale też od 1971 roku był sekretarzem Jerzego Andrzejewskiego. Opowiadał po śmierci pisarza (Andrzejewski zmarł 19 kwietnia 1983 roku), że prowadził mu korespondencję, a listy przychodziły z całego świata. Tłumaczył też rozmowy z gośćmi zagranicznymi. Jego głos znali słuchacze radia, jego artykuły ukazywały się w pismach i dziennikach wychodzących w Olsztynie. Miłośnicy regionu znają serię przewodników po Warmii i Mazurach autorstwa Wojciecha Kujawskiego, ilustrowaną przedwojennymi pocztówkami. Szyłłejko zredagował jedenaście tomów tego wydawnictwa.

Pamiętam Tadeusza, gdy szedł ze skrzypcami aleją Wojska Polskiego. To było dawno temu, w sercu Zatorza, gdzie mieszkał, naprzeciwko samochodówki. W owym czasie aleją, przy której szumiały rozłożyste drzewa, jeździł tramwaj. Gdy rok przed jego odejściem spotkaliśmy się w centrum miasta, rozmawialiśmy o tramwajach.

* * *

23 lipca w Teatrze Węgajty zakończył się czternasty z kolei festiwal „Wioska Teatralna”. Przebiegał pod hasłem „Zwrotnik Warmia”. Rewelacją festiwalu był „Ubu król, czyli Polacy” Alfreda Jarry’ego w reżyserii Wacława Sobaszka, szefa Teatru Węgajty i gospodarza festiwalu. W przedstawieniu wystąpili mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej w Jonkowie. Do Węgajt przyjechały grupy teatralne z Niemiec, Polski i Czech oraz wpływowi artyści, jak pisarz Jurij Andruchowycz z Ukrainy oraz performer i pisarz Artur Klinau z Białorusi.

Andruchowycz opowiadał o reakcji artystów ukraińskich na wojnę z Rosją. Ci, co nie są żołnierzami, tak jak on, jeżdżą w tereny przyfrontowe ze spotkaniami. Bywa, że publiczność pyta: *A gdzie byliście wcześniej?* Andruchowycz czytał w węgajckiej stodole opowiadanie „Albert” o fałszywym zakonniku spalonym we Lwowie na stosie. Wzmiankę o swoim bohaterze znalazł w książce „Szemrany świątek starego Lwowa”, której autorami są dwaj historycy ukraińscy Andrij Kozyckij i Stepan Bilostockyj.

Artur Klinau, białoruski artysta konceptualny, jest z wykształcenia architektem, wydawcą magazynu pARTisan. Napisał książkę „Mińsk. Przewodnik po Mieście Słońca”. Przedstawił w niej stolicę Białorusi jako radziecką próbę ziszczenia idei Miasta Słońca Tommasa Campanellego. Spotkanie z Klinauem w węgajckiej stodole nosiło tytuł „Na Wschodzie bez zmian?”. W ten sposób artysta nawiązał do antywojennej powieści Ericha Marii Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”, którą w 1933 roku w Berlinie hitlerowcy publicznie spalili na stosie. W jego relacji Białoruś to kraj przyfrontowy, żyjący w cieniu wojny rosyjsko-ukraińskiej.

Grupa teatralna z Pragi „Ted, nádech a leť ” (Teraz, wdech i leć) przedstawiła plon wyprawy na Ukrainę. Zebrali relacje od uchodźców ze strefy wojennej, a także od przedstawicieli mniejszości etnicznych i religijnych w Besarabii. Materiał wzbogacili o reportaże dziennikarzy ukraińskich i polskich. Podczas spektaklu „Kura nie jest ptakiem, Ukraina nie jest zagranicą” aktorzy na elektrycznej maszynie gotowali barszcz. Scena była jednocześnie kuchnią, ziemianką i knajpą, w której gromadzą się uchodźcy wojenni. Młodzi aktorzy ogłuszyli widzów wizją wojny.

Edwin Bendyk podsumowując Wioskę 2016, powiedział, że korzystając z tego, iż w naszym rejonie Kopernik, a potem Kant ogłosili swoje rewolucje kulturowe, można założyć, że na Warmii właśnie zaczęła się trzecia rewolucja.

* * *

14 października na WAMA Film Festiwal odbył się pokaz dwunastu krótkich filmów najmłodszych reżyserów. Polska, o czym z lekcji geografii wie każdy uczeń, ma szesnaście województw. Ale już od dawna istnieje, nawet umacnia się nieformalne województwo siedemnaste na obczyźnie. Przedstawiono więc relację z siedemnastego województwa.

Monika Majorek, studentka Warszawskiej Szkoły Filmowej, swoją etiudę „Pierwsze” poświęciła wizycie jedenastolatka u dziadka, mieszkającego na zachodniej Ukrainie w rejonie, gdzie toczy się wojna. Piotr Więckowski w filmie „Dopado” zrealizowanym za własne pieniądze przedstawił problemy małżeńskie polsko-francuskiej rodziny. Reżyser wyjechał do Normandii jako jedenastolatek i wiele lat pracował we Francji. Reżyser kolejnego krótkiego filmu Adam Hartwiński razem

z rodzicami i siostrą wyemigrował jako dziecko do Szwecji; pokazał zmaganie się polskich emigrantów z tamtejszą rzeczywistością.

* * *

10 listopada 2016 r. zmarł w Olsztynie artysta rzeźbiarz Jan Wiesław Kaczmarek. Urodził się w 1937 roku w wielkopolskiej wsi Łuczywno koło Konina. W latach 1954-1959 uczył się pod kierunkiem prof. Antoniego Kenara w Państwowym Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem. W latach 1959-1965 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku na Wydziale Rzeźby. Jako student znalazł się w zespole realizującym pod kierownictwem profesora Franciszka Duszeńki pomnik Ofiar Obozu Zagłady w Treblince. Pracował też przy następnym projekcie profesora – pomniku Bohaterów Westerplatte. Zakończył studia z wynikiem bardzo dobrym. Otrzymał dyplom z rzeźby i projektowania architektoniczno-rzeźbiarskiego. Już jako absolwent PWSSP w Gdańsku w 1965 roku związał się z Olsztynem. Był autorem wielu olsztyńskich tablic i płaskorzeźb, w tym poświęconej Feliksowi Nowowiejskiemu na domu przy ulicy Pieniężnego i z okazji 650-lecia miasta na murze Wysokiej Bramy. Jego autorstwa jest rzeźba gimnastyczki przed stadionem Stomilu (1978). Zaprojektował i zrealizował między innymi pomniki: w Nidzicy – żołnierzy polskich poległych w 1939 roku (1968), w Ostródzie – Gustawa Gizewiusza (1976), w Mrągowie – Jana Pawła II (1999), w Brąszewie – Marii Zientary-Malewskiej (1997) i księdza Walentego Barczewskiego (2002). Do najważniejszych dokonań artysty należy kompozycja rzeźbiarska na polach Grunwaldu (1983). Z 265 ciosów granitowych pochodzących ze zniszczonego przez Niemców w 1939 roku krakowskiego pomnika Grunwaldzkiego Kaczmarek ułożył kompozycję, dodając jeden blok granitu i litery z brązu. Blok, jak i cała kompozycja, stoi do tej pory, ale niestety rozkradziono litery, zastąpiono je czarną tablicą. W 1984 roku artysta wygrał konkurs na zagospodarowanie tras dojazdowych do Pól Grunwaldzkich. Przygotował też tablice nagrobne na mogiły swoich rodziców oraz ojca Zbigniewa Herberta, a także kolegi z liceum w Zakopanem. Wykuł w granicie figurę Chrystusa na swój nagrobek na cmentarzu parafialnym w Brąszewie, gdzie spoczął 12 listopada. Przygotowywał ją przez cztery lata. Jest coś symbolicznego w tym, że przyszło mu na nowo składać zniszczony pomnik Grunwaldzki, a także naprawiać, kilkakrotnie dewastowaną przez wandalów w parku nad Łyną, „Żabę” autorstwa Ryszarda Wachowskiego.

Jan Wiesław Kaczmarek należał do założycieli zrzeszającej artystów olsztyńskiej spółdzielni „Plastyka” i przez dziewięć lat przewodniczył jej Radzie Nadzorczej, a przez pół 2002 roku przewodził okręgowi olsztyńskiemu Związku Polskich Artystów Plastyków. Za jego prezesury związek, jako drugi po warszawskim, uzyskał osobowość prawną.

Smutną pointę do powyższego zdania dopisało życie: w październiku 2017 roku olsztyński okręg ZPAP, podobnie jak okręg ZPAP w Tarnowie, znajduje się w likwidacji. Wiadomość tę można przeczytać na stronie internetowej Związku Polskich Artystów Plastyków opatrzoną hasłem: „Stowarzyszenie ze stuletnią tradycją”.

* * *

18 listopada w Centrum Ekspozycyjnym Stara Kotłownia UWM ogłoszono, że najlepszym absolwentem Instytutu Sztuk Pięknych UWM w roku akademickim 2015/2016 została Katarzyna Schulz, autorka filmu animowanego, laureatka nagrody dziekana Wydziału Sztuki prof. Benedykta Błońskiego za „Wybitne artystyczne dzieło dyplomowe”. Tym dziełem jest jej ponad-ośmiominutowa animacja „I nagle coś się zepsuło”. Natomiast dyplomowy film animowany Rokszany Nikicionek pod tytułem „Window” dziekana prof. Błoński uhonorował wyróżnieniem. Opiekunem artystycznym obu realizacji był dr hab. Antoni Grzybek.

Pod kierunkiem dr. Grzybka w Instytucie Sztuk Pięknych powstało przez ostatnie siedem lat co najmniej dwadzieścia filmów animowanych. „I nagle coś się zepsuło” Katarzyny Schulz to przypowieść zrealizowana w konwencji filmu lalkowego, której bohaterem jest samotny mężczyzna mający za jedyne towarzystwo kota. Mężczyzna spoglądając w głąb kubka z jakimś napojem, zastęga, pogrąża się w sobie i odbywa podróż w... swoich w myślach.

Wydział Sztuki UWM istnieje siedem lat. Przez ten czas tytuł licencjata uzyskało 351 osób, a tytuł magistra sztuki 270. W roku akademickim 2015/2016 tytuł licencjata otrzymało trzydzieści osiem osób, a piętnaście tytuł magistra sztuki. Spośród absolwentów Instytutu Muzyki najwyższą ocenę uzyskała Magdalena Kowalewska, natomiast nagrodę za „Wybitne artystyczne dzieło dyplomowe” odebrał Mateusz Sławiński.

Walentemu Kurżewowi wręczono Złoty Laur Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, a Odznaka Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego przypadła Pałacowi Młodzieży w Olsztynie.

2017. Sztetl-Welt i Złoty Gołąb

8 marca w Olsztynie zmarła Jolanta Juran, wieloletnia felietonistka „Gazety Olsztyńskiej”, niezrównana researcherka, korektorka wydawnictw książkowych i ich redaktorka. Współpracowała z „Borussią”.

Przyszła na świat 24 sierpnia 1941 roku w Braclawiu, który stare słowniki opisują jako twierdzą kresową. Była absolwentką filologii polskiej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie obroniła pracę magisterską o Tadeuszu Peiperze. Po studiach uczyła w liceum w Puszczykowie koło Poznania. W 1966 roku związała się na stałe z Olsztynem. Jej specjalizacją stała się informacja, najpierw przez szesnaście lat w Wojewódzkim Domu Kultury, a od grudnia 1982 do sierpnia 2001 roku w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej.

* * *

31 marca o godz.14 w szpitalu w Barczewie zmarł w wieku 75 lat Erwin Kruk, poeta, prozaik, eseista, tłumacz, dziennikarz, honorowy obywatel Olsztyna. Erwin Kruk był doktorem *honoris causa* Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, który to tytuł otrzymał za mazurski wkład do skarbcza literatury polskiej i za *tworzenie prawdziwego, sumiennego i wielowymiarowego obrazu ziemi warmińsko-mazurskiej*. Prezydent Olsztyna uhonorował poetę w 2004 roku za wybitne zasługi dla miasta w dziedzinie kultury statuetką św. Jakuba.

Odejście znakomitego poety i wspaniałego człowieka to wielka strata dla całej społeczności mazurskiej. Wielki smutek i żal. Bardzo współczujemy z rodziną. Erwin Kruk mówił o sobie, że jest ostatnim Mazurem. Trudno określić tak naprawdę, jaką stratę ponieśliśmy, ale ta pustka dopiero da znać o sobie – mówił po śmierci poety ksiądz Rudolf Bażanowski, biskup diecezji mazurskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego.

* * *

26 maja w Galerii Sztuki w BWA otwarto wystawę rzeźby Magdaleny Abakanowicz, jednej z najbardziej znanych na świecie polskich artystek, zmarłej 20 kwietnia w Warszawie. Abakany, bo tak od nazwiska rzeźbiarki nazywa się jej prace, to jakby plastyczny odpowiednik Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego.

* * *

1 lipca statuetki Orfeusza powędrowały do poetek. Nagrodę imienia Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego Orfeusz za najlepszą książkę poetycką 2016 roku otrzymała Małgorzata Lebda z Krakowa za tom wierszy „Matecznik”, a Orfeusza Mazurskiego – Alicja Bykowska-Salczyńska z Olsztyna za tom „Cno”, wcześniej uhonorowany Wawrzynem – Nagrodą Literacką Warmii i Mazur.

* * *

22 lipca w Domu Strażaka w Jonkowie zainaugurowano Wioskę Teatralną 2017 i jednocześnie trzydziesty piąty rok działalności Teatru Wiejskiego „Węgajty”.

W tym roku festiwal odbywał się pod hasłem „Sztuka współistnienia, zaczątki”. Jedną z najciekawszych prezentacji festiwalowych był spektakl Teatru 3.5. z ponadpięciotysięcznego Dzierżonia niedaleko Sztumu. Na drodze do wsi Godki aktorki Teatru 3.5. prezentowały przedstawienie „Sztetl-Welt”, czyli „Miasteczko-Świat”. Spektakl bez słów, który wyreżyserował Marek Kurkiewicz, jest symboliczną opowieścią o świecie wojny i ucieczce z niego. Ponieważ spektakl odbywał się w przestrzeni publicznej, towarzyszyła mu obecność policji.

Wśród gości Wioski Teatralnej był Peter Zwart, pedagog z Holandii, który przypomniał, jak 30 lat temu by dostać się do Węgajt, musiał dwie godziny czekać na polskiej granicy. Jego wspominek słuchali młodzi z pokolenia Harry’ego Pottera.

Wacław Sobaszek na zakończenie festiwalu odebrał w imieniu Stowarzyszenia Węgajty statuetkę Złotego Gołębia. W ten sposób doceniono 35-letnią działalność Teatru Węgajty. W roku 2008, w 60. rocznicę podpisania Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela Organizacji Narodów Zjednoczonych, niemiecki artysta Richard Hillinger wyrzeźbił statuetkę gołębia naturalnej wielkości. Odtąd 30 pozłacanych statuetek, symbolizujących 30 praw z deklaracji ONZ, wędruje po świecie, trafiając do osób, grup i organizacji zwracających swoją działalnością publiczną uwagę na podstawowe prawa człowieka.

* * *

11 sierpnia zaprezentowano dokonania artystów Scholi Węgajty realizowane w cyklu „Tradycja bizantyjska”. Schola Węgajty, która istnieje równolegle z Teatrem Węgajty, gromadzi muzyków praktykujących śpiew gregoriański oraz skupia plastyków w Warmińskiej Pracowni Ikony. Pod drewnianym stropem Teatru Węgajty można było posłuchać ormiańskiego śpiewu liturgicznego. Wydarzeniem był koncert „Godzina wschodu słońca” z udziałem uczestników warsztatów pod kierunkiem Andrija Szkriabiuka, kantora katedry ormiańskiej we Lwowie. Koncert został poprzedzony wykładem Andrija Szkriabiuka o liturgicznej muzyce Armenii oraz wystawą Warmińskiej Pracowni Ikony i Grupy Agathos i innych artystów.

* * *

7 października Szkoła Podstawowa w Elgnówku, w której w latach 1948-1955 uczył się Erwin Kruk, otrzymała imię poety.

Marek Barański

Skrajna konkretność kultury w Olecku

EWA KOZŁOWSKA

romanistka, tłumaczka, publicystka, artystka fotografik, autorka licznych wystaw fotograficznych w kraju i za granicą, regionalistka; mieszka w Olecku i Paryżu; ostatnio opublikowała „Krótkie historie” (2017).

Kultura na Mazurach, a w szczególności w Olecku, to temat, do którego podchodzę z lekkim dystansem. Warmia i Mazury były już obiektem wielu analiz i raportów (Kultura pod pochmurnym niebem, Ponowa) dotyczących kultury (żywej kultury), a więc wydaje się, iż wszystko już powiedziano, wizjonersko przyszłość została ogarnięta (istnieją już także raporty raportów, odnoszące się do ich sensu, skuteczności i odbioru), a więc, być może wszystko, co napiszę, będzie już po prostu wtórne, także w kontekście małego, bliskiego mi miasta, w którym się urodziłam. Podejmuję jednak próbę refleksji, jakkolwiek nie chcąc ograniczać się w tych rozważaniach do małej przestrzeni i utwierdzać tym samym moje miasto w jego odosobnieniu, a autorów licznych raportów w ich racjach. W tle dla rozważań o kulturze w Olecku oprócz przeprowadzonych diagnoz pozostawiam analizy niedopowiedziane, między innymi Narodowy Program Foresight Polska, strategię rozwoju dla Warmii i Mazur czy nawet poglądowy cud, czyli zrównoważony rozwój społeczny w Brazylii, a do zapoznania się z nimi odsyłam zainteresowanych do źródeł.

Kiedy piszę ten tekst, to w głowie mam historię mego miasta sprzed 1945 roku, tę po 1945 roku i hasło „Mazury w obronie kultury” widniejące na transparentach

podczas niedawnych protestów przeciwko uchodźcom, fakt, że aktualnie przez kraj przetaczają się protesty w obronie kultury niepodległej i że mówi się też o obywatelu w kulturze (bo obywatel tworzy sztukę postaw obywatelskich) oraz że we Francji trwają debaty dotyczące nowej polityki kulturalnej. To wszystko powoduje, że zdają sobie sprawę, że może warto przyjrzeć się kulturze w Olecku po prostu przez pryzmat tych wszystkich zaszębiających się wydarzeń, także bliskiego mi świata – Francji. Dobrym wzorem-przewodnikiem po zaszębiających się wydarzeniach wydaje się Walter Benjamin. W „Pasażach”, przechadzając się po Paryżu, spróbował uchwycić skrajną konkretność swojej epoki (*la concrétude extrême*), jej sytuację życiową. Myślę więc, że warto symbolicznie przespacerować się po połączonych pasażach różnorodnie postrzeganej kultury, umieszczonych w rozmaitych warstwach czasowych oraz przestrzennych i przyjrzeć się w ten sposób skrajnej konkretności kultury w Olecku, a poprzez Olecko spojrzeć na resztę świata.

* * *

Pisząc o kulturze w Olecku, trudno jest nie odnieść się do niemieckiej przeszłości, nawet jeśli jest to, według licznych obserwatorów, regionalną obsesją. W pamięci mam fotografię przedstawiającą jednego z członków wpływowego rodu pruskiego na schodach przed rodową posiadłością. Towarzyszy mu grupa przyjaciół. Posiadłość ma charakter barokowy. Wszyscy na tej fotografii wyglądają raczej na Amerykanów, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności z paryskich klubów na Saint-Germain trafili w to surowe miejsce na krańcu świata. Surowe, chociaż styl barokowy posiadłości opleciony jest pięknym cieniem jeszcze piękniejszych kwiatów, a portretowani ludzie opierają się niedbale o wyniosłe kolumny jońskie (w tle aparat zarejestrował stół przykryty obrusem oraz porcelanową zastawę i wygodne fotele wiklinowe). Według opisu pod fotografią właśnie zakończył się turniej tenisowy, jest wiosna 1930 roku. Wszystkie sportretowane osoby wskazują, pomimo rodzącego się narodowego socjalizmu i nowych postaci uprzywilejowanych, na ład i porządek świata wyraźnie ustalone, i kulturę dostępną dla uprzywilejowanych. W 1945 roku świat ten uległ załamaniu, a zbudowane poczucie wspólnoty kulturowej pozostało niespełnione i długo szukano siebie w nowych przestrzeniach. Być może krócej trwało przywrócenie utraconego porządku.

Po 1945 roku rozpoczęła się nowa kultura w moim mieście, które z Treuburga (wcześniej Margrabowa) przemianowało się na Olecko. Znamienny jest fakt, że w epoce powojennej w Olecku jeden z pierwszych burmistrzów – Feliks Jordan-Lubierzyński, zastanawiał się na tym, gdzie tkwi piękno życia. Pytanie pozostało w tamtych czasach bez odpowiedzi, chociaż wszyscy mieszkańcy prawdopodobnie podświadomie czuli, na czym owo piękno w ich mniemaniu polegało i wojenne traumy oraz obawy o najbliższą przyszłość rozpraszano w natłoku kulturalnych wydarzeń, zabaw i zaangażowania. W Olecku powstały teatry amatorskie i liczne koła zainteresowań prowadzone przez lokalnych pasjonatów. Mieszkańcy czerpali wiele przyjemności z tych wydarzeń, zawiązywały się trwałe więzi, pomimo że jeszcze długo miasto reprezentowało sobą ruinę. Jak wiadomo, jednocześnie w całej Polsce kultura była postrzegana zadaniowo i propagandowo, a także jako zagrożenie ze strony wolnomyślicieli, bo wszyscy mieli



Fot. Janusz Pilecki

88 podążać w tym samym kierunku. Pomimo zaangażowania nowych mieszkańców Olecka przestrzeń ta borykała się z nowym etosem Ziemi Odzyskanych, resentymentami oraz z procesami integracyjnymi ludności pochodzącej z różnych zakątków świata, dla takiej mieszanki emocji kultura idąca w kierunku wspólnych zabaw była propagandowo poprawna. Ówczesna animacja kultury, na miarę epoki, jednak ta idea, która w Europie swoje źródło miała w końcówce hipisowskich i zbuntowanych lat 60., rozkwit zaś w latach 70., w Polsce była już zmudnym elementem pracy u podstaw do kształtowania jedynie słusznej wizji społeczeństwa. Zapewne więc mniej poprawnie brzmiało wówczas pytanie zadawane przez Feliksa Jordana-Lubierzyńskiego o sens życia, który w swym działaniu burmistrza i myśleniu zastanawiał się nad potrzebą zrozumienia życia, nad ludźmi i nad ich wzajemnymi relacjami, nad prawem przyczyn i skutków, że piękno wokół tworzy się ze splotu rozmaitych wydarzeń i wyborów. Próby świadomego tworzenia tego, co wokół, rozbiły się jednak w latach 50. o już politycznie zaplanowaną rzeczywistość.

* * *

We Francji w 1959 roku André Malraux objął właśnie utworzony urząd ministra kultury i rozpoczęł politykę demokratyzacji kultury, chociaż nigdy jego działania nie zostały tak, w ten konkretny sposób, przez niego ujęte. Malraux prowadził konsekwentnie politykę kulturalną opartą na wolnym i równym dostępie do kultury dla wszystkich, w opozycji do czasów, kiedy była ona zarezerwowana dla arystokratycznej koncepcji dóbr kultury i dla wybranych elit. Objęcie

przez niego posady ministra szło w parze z przemianami zachodzącymi we Francji, ze społecznymi oczekiwaniami, z rozwojem sztuki. Malraux doczekał się następców, a kultura we Francji kolejnego programu, i tak w latach 80. kolejnego zauważalnego ministra kultury – Jacquesa Langa – i jemu Francja zawdzięcza kolejną fazę prowadzonej polityki ściśle powiązanej z ideą animacji kultury. Obecnie coraz silniejsze są we Francji protesty przeciwko zredukowaniu kultury do definicji antropologicznej. Protesty dotyczą kondycji artysty i jego roli uproszczonej do funkcji pracownika socjalnego oraz wypalenia się idei animacji kulturalnej (bez negocjowania ważności i kontynuacji idei demokratyzacji kultury). Coraz głośniej mówi się o potrzebie nowego podejścia do polityki kulturalnej. Nad zmianą pracują już specjalnie powołane komitety (m.in.: Comité d'histoire du ministère de la Culture sur les politiques), a nowe teorie (Gilles Lipovetsky i Jean Serroy, „La Culture–monde. Réponse à une société désorientée”) utwierdzają społeczeństwo w słuszności jego zdezorientowania, które, według tych teorii, jest wynikiem wejścia w trzecią epokę kultury, kultury typu: *culture-monde*, poddanej technokapitalizmowi, przemysłowi kulturalnemu, konsumeryzmowi, mediom i sieciom internetowym. Jest to kultura w epoce globalizacji, z tego i z hipernowoczesności wynikającymi konsekwencjami, ale i atrybutami: poddana logice rynkowej, nieograniczająca się w swojej roli do zmiany świata, ale mająca przede wszystkim za zadanie jego ucywilizowanie.

* * *

Feliks Jordan-Lubierzyński widział potencjał w Olecku w możliwościach ludzkich i w refleksjach. Była to jego polityka kulturalna, nie tylko na miarę tamtych czasów. Obecnie na Warmii i Mazurach analizy wykazały, iż najcenniejszym zasobem regionu dla rozwijania kapitału kulturowego i społecznego w społecznościach lokalnych są drzemiące potencjały tychże społeczności. Wydaje się, że te analizy są lekko spóźnione do refleksji Feliksa Jordana-Lubierzyńskiego, wciąż jednak potencjał ludzki w wielu miejscach nie jest wykorzystany, chociaż przez wiele lat samo Olecko mogło poszczycić się licznymi sukcesami, jeśli chodzi o politykę kulturalną, a także bogatym programem artystycznym, co mocno wyróżniało to miasto na tle innych w regionie (np.: Przystanek Olecko, Sztama), czyniąc je unikatową przestrzenią. Po 1989 roku oraz po wejściu Polski do Unii Europejskiej idea demokratyzacji kultury rozpropagowała się i w naszym kraju, według modelu francuskiego, ze zdwojoną siłą i wielkim zapotrzebowaniem. Teraz wzmocniona przez napływ dotacji unijnych, jak i narodowe postrzeganie świata, tworzy mieszankę ciężkostrawną. Póki jednak funkcjonuje taki obraz kultury dominującej, nazywanej egocentryczną, zapatrzoną w siebie (pomimo że jest już kulturą wyczerpaną), wydaje się, że demokratyzacja kultury jest w znacznym stopniu kontynuacją dawnej, dobrze poznanej, pracy u podstaw.

Jeśli więc refleksja o kulturze w Olecku nie jest pogładową refleksją o eventach, frekwencji i statystyce GUS, o kulturze postrzeganej jedynie jako inwestycje w infrastrukturę, o scenariuszach prognozowanego rozwoju oraz o centrach i jeśli nie jest także refleksją o kulturze służącej do petryfikacji zastanych systemów władzy ani refleksją na temat biernych i spacyfikowanych instytucji kultury, to jest być może skrajną refleksją o czasach chaosu (kiedykolwiek by one nie były), utraconym (ale niezaprzepaszczonym) kapitale i kontynuacją myśli Feliksa Jordana-Lu-

bierzyńskiego oraz wprowadzeniem do niej refleksji francuskiej dotyczącej stanu demokratyzacji kultury, idei jej animacji i kondycji artysty, w kontekście polityki kulturalnej małego miasta, ale i nie tylko. Póki co demokratyzacja kultury, animacja kultury i kondycja artysty są tematami upraszczanymi i traktowanymi okazjonalnie, także w tej chwili w Olecku.

Statuty instytucji kultury czy raporty komisji do spraw kultury zamykające się najchętniej w temacie sportu i rekreacji (Olecko nazwało się Stolicą Sportu) oraz dziedzictwa narodowego wykazują, że brakuje szerszego oglądu sytuacji oraz stosownej uwagi dla polityki kulturalnej. Ten brak szerszego oglądu objawia kwestie, którym już na przykład w latach 60. przyglądała się Hannah Arendt. Jej ówczesna analiza poświęcona kryzysowi kultury w Europie (i USA) jasno określała *barbarzyńskich filistrów* podstawowym problemem doskwierającym kulturze. Co ciekawe, za *barbarzyńskich filistrów* Arendt uważała zarówno odbiorców kultury, jak i jej twórców, i artystów. Przyglądając się dzisiejszej kulturze w Olecku, wszystkim procesom i praktykom, działaniom określanym mianem działań kulturalnych, można uznać, że analiza Arendt pozostaje wciąż aktualna. Czy jednak rozwiązaniem na taki stan rzeczy i na lepszą politykę kulturalną będzie poprawa jakości odbiorców i twórców, refleksja na temat roli i jakości pracy artysty?

Jeśli jakość odbiorców kultury jest oczywista i łatwa do zdiagnozowania, tak refleksje (Arendt, jak i te związane z aktualnie prowadzoną polityką we Francji) dotyczące roli i jakości pracy artysty niekoniecznie znajdują odbicie w Olecku. Trudno bowiem rozważać ewentualny barbarzyński (lub nie) wpływ artysty na kulturę (czy udział w demokratyzacji) z prostego powodu. W małym mieście bowiem każdy przeżywa i jednocześnie tworzy jego kulturę, ponosząc odpowiedzialność za swoje czyny i to, co z nich tworzy się wokół. Poza wszystkimi (egalitarnie) mieszkańcami nie istnieje nikt bardziej od innych odpowiedzialny i uprawomocniony (na przykład artysta, urzędnik, menedżer, polityk) za stan kultury czy też jej animację. Mieszkańcy to wszystkie grupy społeczne, łącznie z władzami i biznesmenami. Na wszystkich więc spoczywa równo odpowiedzialność za prowadzoną politykę kulturalną oraz za podkreślaną w raportach i diagnozach dalekowzroczność. Wiedział już o tym Feliks Jordan-Lubierzyński, mówiąc na swój sposób o pięknie życia.

Jeśli więc ta współodpowiedzialność jest elementem refleksji o kulturze w Olecku, to powinna ona być świadomą polityką kulturalną polegającą na współistnieniu. Wydaje mi się, iż paradoksalnie w tę refleksję doskonale wkomponowuje się Édouard Glissant, francuski filozof, który w swojej książce „Introduction à une poétique du divers” poświęca się rozważaniom o roli poety i porusza temat wielojęzyczności (*multilinguisme*), postrzeganej dosłownie i nie, uznając ją za istotny element pracy poety. Próbuje odpowiedzieć na pytanie, czy istnieje jakiś uniwersalny klucz do tworzenia lokalnej kultury, gdy wszyscy mówimy różnymi językami (dosłownie i nie), bez rezygnacji z któregoś z nich, i kiedy każdy z nich ma swoje równe miejsce. Według Glissanta to w wielojęzyczności objawia się rola poety, który będąc w centrum, powinien rozmyślać i proponować, odnosząc się do wszelkich dostępnych danych i źródeł dostępnych relacji i połączeń oraz splotów, w tym także języków świata, nie zapominając o swoim, pamiętając

w swojej pracy o tym, że jego rolą jest nie tyle wyśnienie świata, ale wejście do niego. Nawet jeśli z punktu widzenia poety można dyskutować o tak przypisanej mu roli, to jednak współodpowiedzialność mieszkańców Olecka (odbiorców i twórców kultury) zawiera się w niej jak najbardziej. Wydaje się to być najlepszą polityką kulturalną dla miasta. Polityką, która bierze pod uwagę demokratyzację kultury, a także potrafi patrzeć w przyszłość, bez nurtujących sumienie i logikę haseł: „Mazury w obronie kultury”, budując świadomość opartą na wszelkich dostępnych źródłach i danych, wszelkich słyszalnych w mieście językach. Warto bowiem w rozważaniach o kulturze szukać możliwości powrotu do tych chwil, kiedy Olecko miało poczucie spełnienia w lepszym świecie, co owocowało także zadowoleniem jego mieszkańców.

* * *

Hannah Arendt spotkała Waltera Benjamina w Paryżu, obydwoje znaleźli się tam, gdyż uciekali od nazizmu, o czym warto pamiętać. Benjamin wciąż tworzył wówczas „Pasaże”, które przedstawiał jako *le théâtre de tous mes combats et des tout(es) mes idées* (teatr wszystkich moich potyczek i wszystkich moich wyobrażeń). Przyglądając się więc kulturze w Olecku, nie da się uniknąć także tej skrajnej konkretności, ponieważ kultura w Olecku wydaje się takim teatrem, którego celem jest porozumienie i zrozumienie świata, jest w centrum wszelkich przemian, poddana analizom i oczekiwaniom, wymieszaniu i dekonstrukcji, politycznym wizjom, czasem spóźniona względem przemian światowych, a czasem nie, zapatrzona (lub nie) w przeszłość. Przede wszystkim zależna od współodpowiedzialnych odbiorców, będących jej twórcami jednocześnie.

Ewa Kozłowska

Jerzy LENGAUER

Lokalna kultura w Kętrzynie

JERZY LENGAUER

(1970) – absolwent Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie oraz podyplomowego studium „Wiedza o kulturze” w IBL PAN w Warszawie. Mieszka w Kętrzynie. Krytyk literacki i teatralny, felietonista, eseista. Autor dwóch książek, w tym ostatnio „Ścieżek myśli” (2016).

Gdzieś między wrześniem 1985 a marcem 1989 roku w Liceum Ogólnokształcącym im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Kętrzynie klasa o profilu humanistycznym miała zastępstwo na lekcjach języka polskiego. Nieobecność pani Czesławy Dąbrowskiej spowodowała, że raz czy kilka razy klasę wzięła pod swoją opiekę pani Stanisława Łozińska, zwana przez młodzież Laurą. Miało to swoje ogromne konsekwencje. Zamiast uczenia się na pamięć akapitów z „Nad Niemnem”, „Lalki”, „Granic”, „Przedwiośnia” czy „Chłopów”, tudzież dziesiątków wersów z „Pana Tadeusza” i „Dziadów”, klasie zaproponowano wyjazd do olsztyńskiego teatru. Odwoływanie się do pamięci maturzystów rocznika '89 o tytuł sztuki jest bezcelowe. Podobnie jak pytać teraz o to, czy wyjazd odbył się w dzień nauki, czy w weekend. Nie w tym rzecz. Bo okazało się, że Laura jednym wyjazdem do miasta wojewódzkiego rozwinęła w młodych humanistach to, co programowa polonistka z uporem, ciężką pracą, odwołując się do próśb i gróźb, wtłaczała im do głów. Ot, już nie dzieci, a jeszcze nie dorośli, odkrywający sami Dostojewskiego, Iwaszkiewicza, Gałczyńskiego i Wysokiego, mogli przechadzać się po foyer, które, dałbym głowę!, było wówczas wyłożone czerwienią i oświetlone zdecydowanie oszczędniej niż trzydzieści lat później pod dyrekcją Kijowskiego. Dlaczego właśnie

po wytężeniu pamięci wyłania się z niej foyer, a nie gasnące światła i zanikające rozmowy na widowni albo nawet chociażby cienie aktorów? Tajemnica małomiasteczkowego życia nastolatków zapewne... Foyer tak różne przecież od wszystkiego, co dotąd widział licealista z Kętrzyna czy dojeżdżający tutaj z Korsz, Reszła, okolicznych, głównie pegeerowskich, wsi. Poczynając od samej obco brzmiącej nazwy, przez wyciszone kroki na miękkiej wykładzinie, kończąc na tajemniczym, przyciemnionym wejściu do sali teatralnej – świątyni kultury. Olimpu inności? Odmienne zachowanie, różnice w ubiorze mijanych osób, w sposobie rozmowy, chodzenia, stania przy ścianie...

Czy jadąc z licealistami pociągiem do olsztyńskiego teatru, Laura wiedziała, że w ten sposób przywiozła do Kętrzyna dość jeszcze niewyraźny, niejasny, bardziej wyobrazony i chyba trochę wzbudzający bojaźń obraz Melpomeny? Całkiem prawdopodobne, ponieważ jeszcze przed ostatnią maturą PRL-u pojawiły się w mieście, głównie w ogólniaku, małe plakaty informujące o Kętrzyńskich Spotkaniach Teatralnych. Aby w tej chwili przenieść się w przeszłość, Internet nie pomoże. Być może trzeba byłoby wertować roczniki „Gazety Olsztyńskiej” lub „Dziennika Pojezierza”. Płonne wydają się nadzieje, że jakiegokolwiek informacje mogą być zawarte w archiwach miejscowego domu kultury, biblioteki, muzeum czy liceum, które w tej chwili jest częścią zespołu szkół... Wszakże... Spotkania Teatralne, o ile dojrzałego bardzo już byłego licealistę pamięć nie myli, odbywały się podług linii zachód–wschód, poczynając od przepięknej auli liceum, przez budynek przedwojennej łoży masonskiej, kończąc na jednej z sal zamkowych, pozostającej najprawdopodobniej, tak jak i teraz, w gestii Muzeum im. Wojciecha Kętrzyńskiego. Spotkania trwały kilka dni. Odbywały się również głęboko w nocy. Jak nigdy dotąd (nie, bądźmy obiektywni, kilka razy na przestrzeni lat stało się podobnie) budynki zostały wykorzystane w sposób niezwykle intrygujący, tworząc specyficzną atmosferę sztuki, bohemy, przyciągając młodzież. Być może pamiętają te wydarzenia lepiej Anna Matysiak (obecnie właścicielka wydawnictwa poetyckiego), poeta Cezary Żechowski, warszawski scenograf i kostiumograf Jan Kozikowski, malarka Ewa Pohlke, germanistka Anna Gajdis. Wówczas młodzi ludzie. Jestem pewien, że działo się to w sali muzeum. Jak i podczas innych przedstawień teatralnych publiczność siedziała na parapetach, ławkach, stołach, poduszkach pod sceną. Podobny nastrój stara się wprowadzić obecna dyrektor muzeum (niekętrzynianka) pani Daria Zecer. Ale o tym później. Podczas owej sztuki jedna z aktorek zeszła ze sceny, a znalazłszy się pośród publiczności, próbowała zaprosić do grania kogoś z najbliższych siedzących. Jeden z moich licealnych kolegów dał ponieść się fantazji, uczestnicząc w krótkiej scenie. Pamiętam, że do matury jego polonistka całkiem poważnie wróżyła mu karierę aktorską, obserwując jego kulturalne inklinacje i naturalne zdolności. Niestety, rzeczywistość okazała się całkiem inna.

Spotkań z Melpomeną było więcej? To pytanie, skierowane do czytelników, nie jest retoryczne. Autor pamięta tylko jeden rok. Potem było jak zwykle. Koncerty organowe w Świętej Lipce, zwiedzanie aż do znudzenia Wilczego Szańca, kino „Gwiazda” (któremu warto poświęcić osobny tekst, bo w tamtych czasach wyprawa do kina zaczynała się od stania w kolejce w długim, wąskim i wysokim tunelu między kamienicami, gdzie teraz sprzedawane są lody i gofry),

zamkowa biblioteka i muzeum (jedynie tam, dzięki filcowym kapciom naciąganim na obuwie, stąpało się bezgłośnie i mówiło szeptem jak w teatrze). Ach, właśnie z wydarzeń kulturalnych przełomu lat 70. i 80. zapadł mi w pamięć nieustający konkurs czytelniczy w bibliotece publicznej. Wybierano czytelników miesiąca, tygodnia... Czyż nie jest to godne podkreślenia w dzisiejszych czasach, gdy media ciągle donoszą o upadku czytelnictwa wśród Polaków?

Zmiana ustrojowa nie przyniosła od razu zmian w lokalnej kulturze. Muzeum nadal szczyliło się wystawą o Kętrzyńskim i pamiątkami pruskimi. Wyremontowano kino, gdzie zabrakło pomysłu na stałą, coroczny na przykład przegląd filmów, rozmowy, gości... Oczywiście pojawiają się, czasami nawet bezpłatne, cykle filmu niemieckiego, rosyjskiego, francuskiego i odpryski ze Sputnika nad Polską i Nowych Horyzontów, ale bez specjalnego medialnego omówienia, zachęcenia, otwarcia, ukazania wagi sztuki filmowej i kultury kinowej. Jakby od niechcenia. Repertuar zwykle już doskonale znany z Internetu, podany przez bezpłatne portale filmowe. Podobnie rzecz się dzieje z czwartkowym Kinem Konesera, abstrahując od tego, że wybrany dzień jest absolutnie niefortunny. Splendor zachowany jest dla czegoś całkiem innego. Lokalna kultura ma zamykać się w kręgu władztwa samorządowego. Oczywiście trudno ganić i beżmyślnie przekreślać wartości imprez takich, jak coroczne „Kaziuki-Wilniuki”, „Z malowanej skrzyni” czy „Koncerty Szewczenkowskie”, które mają swoją zaletę i swoisty kętrzyński historyczny nominal ze względu na zamieszkałych w mieście i powiecie przybyłych z Buga repatriantów, tudzież przesiedleńców akcji „Wisła” i ich potomków uczących się języka ukraińskiego. Jednakże zawsze mam nieodparte wrażenie, że te (i nie tylko) wydarzenia kulturalne służą wysokim przedstawicielom samorządu miejskiego, gminnego i powiatowego do uzyskania poparcia wyborczego, jakiejś natrętnej kampanii, przypodobania się. Być może wynika to z faktu, że na spotkaniach *stricte* związanych ze sztuką wysoką obecność burmistrza, wójta, starosty jest raczej wirtualna i wynika z odczytanej przez jakiegoś dyrektora, zastępcy, naczelnika wydziału kartki z podziękowaniami... Wydawało się, że powieje wiatr odnowy, gdy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zainicjował akcję „Narodowe czytanie”. W przepięknie wyremontowanej sali Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kętrzynie, która może służyć także skromnym przedstawieniom teatralnym (Dlaczego do tej pory żaden nie pojawił się tam teatr? Nie odbył się żaden monolog? Nie zawiązał Teatr przy Stoliku? Czyżby nie mogło dojść do współpracy pomiędzy MBP a Olsztynem, Węgajtami, Sejnami, najbliższymi ośrodkami kulturalnymi warty mi nawiązania stałych kontaktów, które mogą przerodzić się w cykliczne wydarzenia o marce ogólnokrajowej?) odbyło się czytanie „Lalki” Bolesława Prusa. Fragmenty prezentują znane postaci Kościoła i jednostek samorządowych. Burmistrz siedzi w pierwszym rzędzie. Publiczność nie jest zbyt liczna. O „Lalce” i jej autorze opowiada doktorantka z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Burmistrz w tym czasie zachowuje się jak gimnazjalista i pisze esemesy. Owa scenka wyjaśnia, rzekłbym, lekceważenie, jeśli nie pogardę, dla uczestnictwa w spotkaniach, które nie mogą przynieść zysku publicznego, wyborczego, medialnego, poniekąd i towarzyskiego. Jakby się spełniło proroctwo wypowiedziane przez burmistrza w drugiej kadencji samorządu: Kętrzyn będzie stolicą disco polo! W pewien metaforyczny sposób tak się stało, niestety. Wybudowany w centrum miasta amfiteatr, niewątpliwie uprzykrzający życie

mieszkańcom pobliskich starych i nowych kamienic weekendowymi koncertami muzyki popularnej i występami kabaretów (w okresie jesienno-zimowo-wczesnowiosennym w hali MOSiR), zamienia się zimą w lodowisko z głośną muzyką dobraną wedle gustów opiekujących się lodowiskiem, a odstręczającą tych, którzy uczestniczą w spotkaniach autorskich, wernisazach malarskich i fotograficznych. Galeria Kętrzyńskiego Centrum Kultury znajduje się na duszonym poddaszu. Tamże czasami grywa Teatr przy Stoliku. W oranżerii loży masońskiej odbywają się spotkania z fotografami, malarzami i innymi przedstawicielami wolnych zawodów związanych ze sztuką. Nie można nie przyznać ambicji i wyczucia dyrektorowi Miejskiej Biblioteki Publicznej Witoldowi Gagackiemu, który potrafił znaleźć i zaprosić artystów związanych z Kętrzynem i okolicami. W oranżerii wystawiali Ryszard Przespolewski, Konrad Żukowski, Teresa Augustyniak, Izabela Małagowska-Kurus, Mariusz Hartel, „Foto MX” i wielu innych, wśród których, co z wielkim żalem konstatuję, brak Ewy Pohlke, obecnie mieszkającej w Kownie. Z kolei w sali MBP Witold Gagacki gościł poetów i pisarzy również związanych z miastem, tudzież szerzej, Warmią i Mazurami (Anna Osowska, Andrzej Liczmonik, Mieczysław Ostrowski, Zenon Złakowski), choć nie tylko, bo obok Tomasza Jastruna pojawili się w kętrzyńskim zamku (trochę psując aurę literatury wnoszonej przez Zbigniewa Chojnowskiego, Kazimierza Brakonieckiego, Krzysztofa Dariusza Szatraskiego, jakby do pisarstwa wtargnęło disco polo ze swoim hałasem i nieznośną powtarzalnością) Dariusz Dziekanowski, Katarzyna Bonda... Takie wydarzenia nie sprowadzały nikogo z lokalnego samorządowego Olimpu. Ich domeną stał się Orszak Trzech Króli, defilada militarna, Kaperalia miejscowego klubu żeglarskiego.

Mniej lub bardziej udanych przedsięwzięć podejmowało się i nadal podejmuje Kętrzyńskie Centrum Kultury, wykorzystując salę kinową wyremontowanego kina „Gwiazda”. Są one jednak jednorazowe i nie przynoszą zysku w postaci cykliczności, która wpisałaby miasto na mapę kulturalną kraju. Warto wszakże odnotować występ Zespołu Tańca Żydowskiego „Klezmer” z Cieszyna prowadzonego przez Dorotę Herok czy jazzowo-folkowy projekt Macieja Fortuny. Inne koncerty nie są warte wspomnienia. Chociażby dlatego, że publiczność wychodząca z jednego z recitali (były to „Piosenki neapolitańskie” bądź „Camerata Vladislavia”) komentowała czas spędzony w kinie jako stracony, a wręcz głośno mówiono, iż zaproszeni wykonawcy potraktowali kętrzyńian z lekceważeniem, jak niewyrobionych muzycznie drobnomieszczan. Cóż, wpisuje się to w pewien schemat, w którym rzeczywiście małomiasteczkowość, drobnomieszczaństwo ma niezbyt pochlebne znaczenie. Kętrzyn jest przystankiem dla objazdowych muzycznych wykonawców, przedstawień teatralnych aktorów znanych z polskich telenoweli, dorabiających wizytami poza ośrodkami wojewódzkimi czy znanymi z wydarzeń kulturalnych o nieco wyższych standardach i autoramencie.

Zdawało się, że istnieje dość duża szansa zorganizowania corocznego festiwalu, jakichś „Dni...”, gdy Centrum Kultury i kętrzyńskie muzeum zdecydowały się na pokazanie kultury żydowskiej. Oprócz wspomnianej Doroty Herok na dziedzińcu zamku można było kilka lat temu posłuchać hagady. To mniej więcej wtedy wmurowano tablicę w mur okalający komunalny cmentarz, inną w chodnik na skrzyżowaniu ulic Powstańców Warszawy i Ignacego Daszyń-

skiego. Pierwsza upamiętnia ofiary Nocy Kryształowej i Holocaustu oraz kirkut, który znajdował się w pobliżu. Druga wskazuje miejsce największej synagogi w ówczesnym Rastenburgu – tzw. Nowej Synagogi. Ostatnia znajduje się przy Starej Synagodze i została ufundowana przez dawnych mieszkańców Kętrzyna w ramach projektu zainicjowanego przez Powiatowy Dom Kultury, o czym w dalszej części tekstu. Dlaczego szansa? Ponieważ w tamtych latach w Olsztynie odbywały się Dni Kultury Żydowskiej organizowane przez Fundację „Borussia” i Stowarzyszenie na rzecz Kultury Żydowskiej B'JACHAD. Tym bardziej szkoda, że w obu przedsięwzięciach (fundacja i stowarzyszenie) swój udział miała i ma kętrzyńska urodzona Ewa Pohlke. Czasami wydaje się, że Kętrzyn jest niezdolny do nawiązywania stałych kontaktów, nie ma ochoty na poważną i długoterminową współpracę, nie chce korzystać z doświadczeń miast wyrobionych kulturalnie, ludzi odnoszących sukcesy w Polsce i Europie. Że zadowala się ową objazdowością, jarmarcznością podobną do angielskich festiwali znakomicie ukazanych w serii powieści (i filmów) o wspólnym tytule „Morderstwa w Midsomer” lub w kryminałach M. C. Beaton. Przydałoby się miastu spojrzenie w lustro, odrobina zjadliwości i ironii z zewnątrz. Tym bardziej że na Wyspach Brytyjskich zaangażowani są w taką jarmarczność wszyscy mieszkańcy, począwszy od władz lokalnych, po pastorów, proboszczów i nauczycieli. Poza drobnymi wyjątkami (nazwisk nie potrzeba wymieniać) tutejsi oficjele zadowolają się rolą autorytarną, zaczynając ją od podpisywania zaproszeń, a kończąc na przemówieniach i przyjmowaniu oklasków.

Powoli zmieniają się czasy. Gmina miejska i powiat remontują i budują nowe budynki i obiekty. Niestety, w żadnym z nich nie ma miejsca na choćby drobne wspomnienie o przedwojennych Żydach. Dwie tablice, w tym jedna zdająca się tylko elementem kostki brukowej, chyba nie wystarczają w mieście, w którym znajduje się sporo XIX-wiecznych i z początku następnego stulecia kamienic z kuczkami (sukkami). Podobnie rzecz się ma z budynkiem łoży masońskiej „Pod Trzema Bramami Świątyni”, oddanym do użytku 24 września 1864 roku. Teraz brak choćby najdrobniejszej informacji o dawnej roli budynku, jego budowniczych i fundatorach, postawionego według wzoru Świątyni Salomona, opisanej w Starym Testamencie w Trzeciej Księdze Królewskiej 6,1, Drugiej Księdze Kronik 6,1 i Proroctwie Ezechiela 6. A przecież w centrum miasta znajduje się architektoniczny rarytas. Najbliższe podobne łoże znajdują się w Białymstoku, Warszawie i Baczkach-Dworku.

Nie sposób nie poświęcić akapitu dyrektor muzeum Darii Zecer, co już wcześniej anonsowałem. Jej starania, poświęcenie i zaangażowanie to ciągłe próby wciągania mieszkańców we wspólne letnie czy zimowe wydarzenia w salach zamkowych, na zamkowym dziedzińcu, nawet ulicach miasta. Widać, że eksperymentuje, sprawdza możliwości i chęci lokalnej społeczności. Poniekąd testuje zapotrzebowanie, w jakimś sensie godzi wysoką kulturę z zabawą i komercją. Cudem wynosi coraz dalej od muzeum coroczny jarmark św. Jakuba. Któregoś lata zaczął się korowodem ulicami miasta. W tym roku zajął parking przed zamkiem. Czy zadowala wszystkich? Czy przyciąga turystów? Owszem. Aczkolwiek nadal wpisuje się w dość raczej plebejski rytuał. Brakuje odrobiny, choćby jednego dnia, jednego wieczoru wpisanego w jarmark, a konkurującego czy współpracującego właśnie z Węgajtami, Sejnamy, olsztyńską filharmonią,

„Jaraczem”, może kinem „Awangarda”? Mogło to być goszczące przecież w Muzeum Laboratorium Pieśni Hagada. Oczywiście odwiedza Kętrzyn (również koncertując w zamku) Pro Musica Antiqua. Jednak nie skutkuje to specyficznym, oryginalnym wydarzeniem. Stało się już pewną tradycją Warmii i Mazur. Sympatyczną, ważną i dającą wytchnienie, lecz gubiącą się w rozrywkowym hałasie amfiteatru, wojskowych defilad ulicami miasta czy historycznych inscenizacji, które – jak łatwo sobie wyobrazić przy obecnym umiłowaniu narodowego militarystyki – mogą uraczyć nas wizją rastenburskiej Nocy Kryształowej czy też spaleni na stosie w warmińskim Reszlu Barbary Sdunk, ostatniej europejskiej „czarownicy”.

Kętrzyńskie kino należało po remoncie do jednych z najlepiej wyposażonych audiowizualnie w okolicy. Na seanse przyjeżdżano z Giżycka, Węgorzewa i Mrągowa. Fakt ten próbowano, co chyba zbyt szybko zarzucono, wykorzystać w celu transmisji spektakli operowych z Metropolitan Opera w Nowym Jorku *via* Filharmonia Warmińsko-Mazurska. Być może specjalnie nie zastanowiono się nad repertuarem i zbyt poważne przedstawienia nie przyciągnęły publiczności? Wydaje się, że opera buffa, semiseria, śpiewograj, wodewil czy zarzuela przyjęte zostałyby entuzjastycznie w sobotni wieczór. Nie można odżegnywać się też od powodów ekonomicznych. Bilety nie były tanie. Lecz czyż samorząd miejski nie mógł dofinansować takich seansów, zamiast organizowania bezpłatnych dla publiczności prostackich koncertów w niedalekim od kina amfiteatrze?

W mieście jest sporo restauracji, piwiarni, pubów, pizzerii, klubów. Dwa z takich lokali wygospodarowały sobie sceny, gdzie czasami odbywają się koncerty wykonawców znanych z komercyjnych stacji radiowych, czasami striptiz. Jedna z nowo otwartych restauracji postawiła sobie nieco wyższe cele. Goszczono tam w jednym, bodajże pierwszym, sezonie Annę Marię Jopek, Kubę Badacha, Gienka Loskę, Janusza Yaninę Iwańskiego... Jakby przyczynek do stałego miejsca z muzyką skierowaną w stronę gości sączących dziwne alkohole, nieco trawstując Gałczyńskiego. Ale i tu zabrakło wytrwałości, może współfinansowania, zadowolając się peryferyjnością kulturalną Bartoszyca, Korsza, Barcian, Srokowa, Reszla.

Świątecznym w tunelu – to za dużo powiedziane w stosunku do działań Miejskiej Biblioteki Publicznej, a przede wszystkim Muzeum – może się okazać Powiatowy Dom Kultury „Czerwony Tulipan” z siedzibą w wyremontowanej części przedwojennego zaplecza szpitala dla umysłowo chorych. Działania dyrektor Marleny Szypulskiej przypominają trochę doświadczenia Darii Zecer z Muzeum. Najpierw trochę nieśmiałości, pewne standardowe zachowania charakterystyczne dla wszystkich okolicznych domów i centrum kultury, następnie starania w wyjściu poza prowincjonalność, w końcu jakby duma, że dom kultury jest reprezentantem miasta powiatowego. W tej sytuacji wybaczyć należy raczej niepasujący do miejsca pomysł okresowego „szafingu”, warto zaś śledzić z uwagą wystawy Radka Małeckiego i Sławomira Łuczyńskiego, Międzynarodowy Plener Malarski „Dziedzictwo Kulturowe Powiatu Kętrzyńskiego” – który w pewnym stopniu można uznać za przejęcie porzuconego przez Nadleśnictwo Srokowo podobnego projektu – a przede wszystkim przedsięwzięcie „Polin, czyli jaki był kętrzyński Żyd”;

z tym ostatnim, rozplanowanym na kilka miesięcy, wiąże największe nadzieje i życzę, żeby jednostka podległa staroście ów żydowski rastenburski program rozwijała i uaktualniała co roku, co nie udało się organizacjom kulturalnym podległym burmistrzowi.

„Czerwony Tulipan” był miejscem także jednego z najlepszych w ostatnich latach spotkań z prozaikiem, poetą, tłumaczem, działaczem kultury i akademikiem. Gościem któregoś zimowego bodajże wieczoru był kętrzyńszczyński, profesor Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, Krzysztof Dariusz Szatravski, występujący jako tłumacz wierszy Maksymiliana Wołoszyna. Wspominam to wydarzenie, ponieważ odrobinę skojarzyło mi się z moim osobistym marzeniem, żeby Kętrzyn posiadał wśród swoich ulic kawiarenkę literacką, jakieś literacko-muzyczne miejsce spotkań, oczywiście pod egidą samorządu. Nadzieje takie wiązałem najpierw z kawiarenką w łożu masońskiej, a po jej upadku z restauracją „Kardamon”, gdzie odbyła się seria koncertów. Być może Powiatowy Dom Kultury rozwinie działalność i w tym kierunku, tworząc coś w rodzaju legendarnego warszawskiego „Czułego Barbarzyńcy” czy „Tarabuka”, gdzie można byłoby zaopatrzyć się w czasopisma literackie i kulturalne, których nie sposób dostać w kętrzyńskich księgarniach, powoli zmienianych w sklepy papiernicze, ani punktach sprzedaży prasy. Miejska Biblioteka Publiczna narzeka na brak funduszy, ostatni (i jedyny jak dotychczas w demokratycznym już Kętrzynie) antykwariat z miejscami do siedzenia zbankrutował na początku 2017 roku. Nadzieja zatem tylko w utrzymywaniu takiego miejsca przez władze samorządowe. Z uwagą obserwowałem kolejne przebudowy i remonty miejskich obiektów historycznych, właśnie wierząc, że znajdzie się w którymś z nich takie kulturalne sanktuarium. Gmina Miejska postawiła jednak na amfiteatr i obiekty sportowe (zbudowano dwie ogromne hale, otwarty kompleks basenów i kortów, w przygotowaniu jest budowa trzeciego podobnego obiektu). Bunkier znajdujący się na placu Piłsudskiego został zasypany po rozebraniu wzniesionego nad nim pomnika poświęconego radzieckim „wyzwolicielem” miasta. Dwa inne bunkry przeciwlotnicze można oglądać tylko z zewnątrz na skwerze pomiędzy ulicami Mazowiecką i Bałtycką przy rondzie Solidarności. Jedyna zachowana baszta w XIV-wiecznym murze obronnym miasta chyli się ku upadkowi, jak i sam mur. Wiele lat temu odbywały się tam spotkania klubu seniora, potem została oddana ZHP. Piękna kamienica nad rzeką Guber, po drugiej stronie torów kolejowych patrząc od strony zamku, została rozebrana po pożarze. Podobnie stało się, choć powodem nie było spalenie, z zabytkami architektury przemysłowej – browarem i cukrownią. Szanse na kętrzyńskie „Czułego Barbarzyńcę” wydają się znikome. Tym bardziej że i łoża masońska, i zamek jakoś nie mogą w oczach rady miejskiej i burmistrza zyskać na znaczeniu i jednorodności. W pierwszym z budynków znajduje się biblioteka, kawiarnia i Stowarzyszenie im. Arno Holza, w zamku zaś biblioteka, muzeum i Stowarzyszenie Kulturalne „Konik Mazurski”.

Odnotowałem powyżej dwa kętrzyńskie stowarzyszenia kulturalne. Najbardziej widoczny w mieście jest „Konik Mazurski”, na pewno z racji rodzaju prowadzonej działalności. Pozostałe to Towarzystwo Miłośników Kętrzyna, Bractwo Rycerskie Strażnicy „Rast” przy Zamku Kętrzyn i Towarzystwo Miłośników Ziemi Kętrzyńskiej im. Zofii Licharewej, pojawiające się incydentalnie i w zasadzie niemające wpływu na podnoszenie wartości miejskiego życia kulturalnego,

podobnie jak Dyskusyjny Klub Książki i znajdujący się pod opieką biblioteki miejskiej Dyskusyjny Klub Książki i Filmu.

Tekst chciałbym zamknąć pewną klamrą odnoszącą się do pierwszych dwóch akapitów. Mianowicie, gdzieś w początkach działalności samorządu burmistrz ogłosił wszem wobec, że był w Zakopanem na przedstawieniu w Teatrze Witkacego i zaprosił aktorów do Kętrzyna ze spektaklem „Faust”. Wydarzenie było tak znakomicie zrobione, sztuka tak fascynująco odegrana, że pozostała w mojej pamięci, wywołując przejmującą tęsknotę. Nie widziałem przez lata tak interesującej nocnej scenografii na dziedzińcu zamkowym i tak dużego zainteresowania ze strony mieszkańców. Wydaje się, że wszelkie wydarzenia kulturalne – co poniekąd jest domeną całej demokratycznej Polski, a nie tylko miast powiatowych – nie zyskują szczególnego poparcia finansowego ani wsparcia organizacyjnego ze strony władz. „Narodowe czytanie”, „Noc Muzeów” czy „Europejskie Dni Dziedzictwa” wypada zrobić, ponieważ odbywają się w całym kraju. Kwestią pozostaje pomoc ze strony samorządu dla dyrektorów i pracowników odpowiedzialnych kulturalnych placówek...

Jerzy Lengauer

Pomocą w pisaniu tekstu były książki: „Kętrzyn: Dzieje miasta”, red. Stanisław Achremczyk, Kętrzyn: Miejska Biblioteka im. Wojciecha Kętrzyńskiego; Olsztyn: Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego, 2016; Jerzy Lengauer, „Ścieżki myśli”, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 2016.

WOLNA TRYBUNA



Hop! Hop! Hop! Traktat o samotności Dialog położniczy

TAMARA BOŁDAK-JANOWSKA

uprawia prozę, poezję, tłumaczenia z języka białoruskiego i rosyjskiego, eseistykę, publicystykę, sporadycznie krytykę literacką, rysunek satyryczny (kilkadziesiąt wystaw w Polsce, Niemczech, Francji). Mieszka w Olsztynie. Współpracuje z „Borusią”. Reżyseruje coroczne widowisko pisarsko-teatralne „Zajazd do Naraju” (pokrewne spektaklom Piny Bausch). Otrzymała dwie nagrody za całokształt twórczości – w 2007 roku Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego, a w 2012 Prezydenta Olsztyna. W roku 2010 nominowana do Literackiej Nagrody „Nike” za „Rzeczy uprzyjemniające. Utopię”. Autorka 19 książek. Niebawem ukaże się jej rozprawa filozoficzna „Nielegalna zajęczyca mężczy Heideggera i innych filozofów” (zadedykowana Peterowi Sloterdijkowi) oraz nowy tom poetycki „Bycie i lu!”.

ANTONI JANOWSKI

opublikował pięć tomików poetyckich, w tym trzy wspólnie z żoną Tamarą Bóldak-Janowską (pseudonim: Tamara BeJot) i dwa jako książki odrębne, „Powrót z nocy” (2001, Borussia) i „Pocałunek oka” (2017, miniatura, Kraków).

Wraz z Tamarą BeJot prowadzą dialogi filozoficzne „rozmowy położnicze”, regularnie publikowane w warszawskim piśmie „Podgląd” oraz na portalu filozoficznym „Sofijon”.

Tolo Szaleńczyk: Żeby rozmowa mogła okazać się konieczna, zgadzasz się na pewne warunki?

Tamara BeJot: Jeśli rozmowa nie będzie mętna ani zwiędła... Jeśli wydobędzie „Traktat o samotności” z samotności chociaż na chwilę... Będzie to dialog położniczy? To mój grecki warunek.

Tolo Szaleńczyk: Jak najbardziej – jak mawiał twój rodzic, warszawiak. To tak dla czytelnika, żeby mu było przyjemnie. Nie będzie wytrychów słownych, typu „w sumie”, „tak naprawdę”, i „tak, tak?” na końcu każdego zdania, a zarazem nie będziemy tej rozmowy szlifować. Coś dodasz?

Tamara BeJot: Niech to będzie rozmowa tragiczna i położnicza, dobrze?

Tolo Szaleńczyk: Tragiczna? Jesteśmy tragiczni?

Tamara BeJot: Tak. I dobrze o tym wiesz. Zobaczysz, jak w rozmowie wybuchnie tragiczność naszego położenia, a i poezji. Co do wytrychów. To nie wytrychy, ale chwasty, i to w telewizyjnych rozmowach o wydarzeniach w kulturze! I jeszcze to „eee” przed każdym słowem. Nawet w domu tak się nie mówi.

Bliscy uciekliby! Mów jak do bliskich, kiedy mówisz o ważnym dziele z dziedziny kultury, bo odbiorca to ktoś bliski. Na Facebooku przyczepiłam się do pani Justyny Sobolewskiej, że przyprawia język tymi chwastami, a na to odzywa się Piotr Siemion ślicznym mięchem: *spierdalaj*. Masz poziom! „Dialog” zachowałam.

Tolo Szaleńczyk: Bo ty ludzi uciskasz.

Tamara BeJot: Uciskam. Domagam się *języka osobowo uformowanego ludzi wykształconych*, jak to ujął Max Scheler. I nie chodzi o nudę polonistycznej poprawności. Róbcie słowotwórcze byki, wymyślajcie neologizmy. Niech język będzie barwny, ale bez chwastów. I to: biorę udział w dyskusji i nagle od pisarza pada *spierdalaj!!!*

Tolo Szaleńczyk: Uciskasz i pałają potem, jak się wyraziłaś. *Człowiek pałający*, tak to ujęłaś. Sam uważam, że „tak? tak?” na końcu każdego zdania jest żenujące! Dopowiadają sobie to, żeby się wpisać w myślenie innych, takie samo. To rodzaj zaklęcia, w znaczeniu: tworzymy wspólną przestrzeń, i choćby to były głębokie wody „omawianego” dzieła, to razem my nie utoniemy. Ten „taktakujący” boi się samodzielnej myśli, i „taktakuje” po to, żeby wszyscy przy stole dyskusyjnym mogli to potwierdzić, czyli odwołuje się do potocznej wiedzy rozmówców. Wypowiedzi są konstruowane z truizmów. I można gładko ślizgać się po powierzchni. Jeśli w tym „Tygodniku Kulturalnym” każdy tak „taktakuje”, to jest mi obojętne, co kto mówi. Mówią to samo tak samo. Ponadto umysł zamiast tradycyjnego „kurwa, kurwa” podaje chwasty, typu „w sumie”, „tak naprawdę”, bo myśl nie może się dokończyć. Wyśmiejesz, to otrzymasz człeka pałającego z chamskim „spierdalaj”. A jeśli pani Justyna znajdzie się w jury w jakiejś nagrodzie, to cię zwyczajnie odwali.

Tamara BeJot: Odwaliła „Traktat”. Nie przystoi ludziom kultury mściwość za byle co, a za rację to za nic na świecie. A może jest osobą uczciwą i sumienną, tylko nie lubi trudnej poezji i wybiera tak zwaną lepszą grafomanję. Zakładam, że jest uczciwa. A z tym „spierdalaj”... Człowiek piszący pała do mnie nienawiścią z powodu mojej dawnej krytycznej recenzji jego książki? Pomyśl, człowieku! Napisałeś pornograficzną książkę, a jeszcze na kobietę posadziłeś psa i to miało mi się podobać? Pisałam krytycznie, bo to była obleśna pornografia, z tępymi dialogami. Pisałam uczciwie we własnym imieniu, a skoro miało to być arcydzieło, to by je obroniono, nie zważając na mnie, i to ja byłabym śmieszna. Widzę, słyszę jednak, że pani Justyna pozbyła się części chwastów. O, jak dobrze. Jedna osoba z grona dyskutantów o kulturze, najpierw gniewając się na mnie, mimo wszystko zaczęła mówić przytomniej. A tę szyderczą recenzję napisałam przed laty, kiedy jeszcze pismo „Portret” było niezależne, myślące. Nie ma go już. Nie kontynuowało myślącej niezależności, która była bezcenną zaletą. To było dawno, kiedy pismo redagował Mariusz Sieniewicz. Mówię to wszystko, żeby czuć się przyjemniej. Obleśna pornografia z kobietą przedmiotem – to nie jest przyjemne. I chwasty też przyjemne nie są. Ten mój czysty egoizm uważam za dobro w kulturze. Wypowiadam egoistyczne słowa, bez względu na to, jak zostaną odebrane. Znowu oskarżą kobietę o „wybujale ego”? Sama „eee-

czałam” kiedyś w radiu. Kiedy posłuchałam siebie, usłyszałam owieczkę. Pozbyłam się chwastów, a mój chwast to był nieniosący żadnego znaczenia zwrot „po prostu”, i tego „eee” pozbyłam się, i nareszcie zaczęłam mówić z namysłem. Namysł przed wypowiedzią na żywo – błagam! Zresztą pewien mężczyzna nakrzyczał na mnie za to „eeee”.

Tolo Szaleńczyk: Wysłuchujesz uwag mężczyzn?

Tamara BeJot: Rozwijających uwag oczywiście wysłuchuję. Powiedział: *Nie słucham, co mówisz, bo eekasz. Mów z namysłem, to ci przejdzie.* Udające namysł „eee”, brr! Jeszcze ten mężczyzna, dziennikarz, władający cudną polszczyzną, nakrzyczał na mnie, abym nie mówiła „posuń się”, tylko „przesuń się”, bo „posuń się” to to samo, co brzydki wyraz na pe. Wytworzył we mnie alergię na „posuń się”. I istotnych uwag kobiet wysłuchuję. Na przykład Ewa Świąc miała świętą rację, kiedy uznała, że tomik „Rośliny”, włożony na koniec książki z wywiadami „Co dobrego było w peerelu”, zginął w niej, bo książka zyskała czytelnika wywiadów, a nie poezji.

Tolo Szaleńczyk: No to witaj w wolnej przestrzeni. Język niezachwaszczony wymienionymi przerywnikami staje się językiem nagim, a więc niesie znaczenie, poprzedzone namysłem. Sam nigdy tak się nie zachwaszczałem, a ty ganiłaś mnie, że mówię za wolno, z przerwami na namysł. Myśl szybciej – wołałaś.

Tamara BeJot: Już tak nie wołam, bo doceniam namysł i pauzę. Rozmawiamy o poezji, a nie o polityce, i nie politycznie, bo nie tymi słowami, które pędzą bez namysłu. *Nie mów tak szybko, bo to dowodzi braku rozumu* – wołał przed wiekami Bias z Prieny. I jego słowa dotarły do mnie, i zawstydziły w XXI wieku, to znaczy już w XX wieku. A Max Scheler mówi jeszcze o języku, że prócz *osobowego języka ludzi wykształconych* mamy język *naturalny*, takie hau, miau, och, ach, ojej, ćwir. Jęki dźwięki. Prośby, pretensje i polecenia. I te machinalne jęknienia, typu „w sumie”, „tak naprawdę”.

Tolo Szaleńczyk: Jasne. Nie będziemy rozmawiać o polityce z pędzącymi na oślep słowami. W polityce nie ma wolności, bo nie ma wstydu. Jest walka bez wstydu i dogodne kompromisy bez wstydu, no i to ustawianie się, bokiem, na ukos – bez wstydu. Bokserzy. Sama powiedziałaś, że politycy są gorsi od zwykłych ludzi.

Tamara BeJot: Widzę takich bokserów także w kulturze. W pędzie do doczesnej sławy wolno wszystko, bez wstydu – tak to ustawione. A istotna rozmowa, dialog położniczy, znika. Na podstawie trzech filmów coś ci powiem. Od ciebie nauczyłam się radykalizmu w odbiorze filmu.

Tolo Szaleńczyk: Mów. Wiem. Rozwinąłem cię. Miło mi.

Tamara BeJot: Otóż wybitny Herzog wyjechał do Ameryki i tam zszedł na psy, stworzył słuszny produkcyjniak „Operacja Świt”, gdzie „głupie żółtki” to dzikusy, skaczą, rechoczą, strzelają,

maczetami obcinają głowy dobrym słusznym demokratyzującym Amerykanom. Drugie zejście na psy to film „Infiltracja” Scorsese, taka typowa męska napierdalanka z tonami keczupu. I ten dodatek: nijakie babiątka snują się pomiędzy trupami w keczupie, wtrącone, „aby były” i bez charakteru. Już nie mogą oglądać tego, co mężczyzna na siłę opowiada o męskim świecie – to się zużyło! Keczup, jaja, kutas. Kutas, jaja, keczup. Nie mogą znieść filmu, w którym nie ma istotnej obecności kobiety. Trzeci film to „Zło” Hafströma. Fenomenalny! Oglądałeś wszystkie, teraz ty opowiedz, czy oceniam je z namysłem i umysłem.

Tolo Szaleńczyk: Zgoda z wyjątkiem. W „Infiltracji” DiCaprio dał aktorski popis i to jest ten wyjątek. To on jest fenomenalny, a nie Nicholson. Krytycy mówią, że to parodia, ironia, ale keczup zalewa wszystko i już w połowie film męczy. Dialogi sztuczne i wcale nie śmieszne, a męczące. Film „Zło” Hafströma jest wybitny, ponieważ jest w nim pełen człowieczeństwa bohater, który dojrzewa, rozwija się i nie ustępuje złu, słabnąc i wstając. To budujące. Element budujący tworzy wielkość każdego dzieła. Nie znoszę twego określenia „typowa męska napierdalanka”. Z ust kobiety...

Tamara BeJot: Co „z ust kobiety”? Dosadne? A jakie mają być, kiedy dzieło samo o nie krzyczy, bo powstało dla hordy? Horda lubi się bić i tonać w keczupie, a potem to obejrzeć, nabrać pewności, że się było cool. Twórca, z którego potem horda czerpie zło, to na przykład Nietzsche i Wagner. Od innego profesora usłyszałam: *obaj to grafomani w swojej dziedzinie*. Śmiać mi się chce, bo od dawna tak sądziłam. Coś mnie od nich odrzucało, a to „coś”, to obecność nazi-stowskiej hordy, podtrzymującej ich przy życiu, i mizoginia. Dzieło, które staje się utrzymaniem takiej hordy, nie podnieca mnie, choćby je potem, jak już horda padnie, śpiewał Kaufmann... Izraelczycy do dziś nawet słyszeć nie chcą o Wagnerze. Utwór utrzymanek oprychów, nadludzi, mizoginów? Dla mnie ważne jest to, co autor wyprojektował na przyszłość i dla kogo, i ile to warte. Jednak dziś to melomani utrzymują przy życiu Wagnera, ale Nietzschego jednak mizogini. Ot, tak. Słowo żyje inaczej w swej przyszłości niż muzyka czy plastyka, bo stare zło, zawarte w słowach, znajduje słowa kontynuacji, a z obrazu czy muzyki znika opatrunek złego słowa danego czasu.

Tolo Szaleńczyk: A teraz do rzeczy. Wyjaśnisz tytuł swego poematu? „Hop! Hop! Hop!” to zabawa dziewczynek, taniec czy zające na łące? Piłka po schodach? Giętycy panowie z animowanego filmu Chometa?

104

Tamara BeJot: Z Chometa ta giętkość. O, nie. Nie taka łatwość. Nie skakanie. Pędzi czas, pędzi człowiek, pędzi los. Nawet rzecz pędzi i rozsypuje się. To banał, ale tragiczny. Bezpośrednio odwołuję się do filmu Chometa w pierwszej części książki. Zarazem niechcący zaznaczam, że tej książki nie da się przehopać, zerknąć tu, zerknąć tam i już mieć pojęcie, o czym to. Tak się tej książki nie czyta. To stop, stop, ma rządzić lekturą. HOP! i STOP! Liczę na najlepszego czytelnika, niekartkującego. Mało takich nas świecie, ale to nie jest nieszczęście. To wielkie szczęście, że tacy wciąż są. To osoby czytające filozofów, wielkich poetów, a więc biorące udział

w procesie myślenia. Przecież poezja to myślicielstwo najwyższego stopnia, które znalazło formę, a formę znalazło po to, aby odbiorca mógł czuć ją tak, jak była czuta: wszystkimi zmysłami. Nie ma wszystkich zmysłów, nie ma poezji. Setny raz powiem: poezja idzie przed filozofią, a to z powodu pracy wszystkich zmysłów, żeby potem filozofowie cytowali ją i na cytatach budowali systemy, oparte już na pracy rozumu. Jeśli tak nie jest, to filozofia zwiędnie, a poezję zastąpią wierszyki, może zgrabne, ale puste. Żadnego cytatu z nich się nie wyciągnie.

Tolo Szaleńczyk: Jak długo pisze się taki tomik, ponad setkę wierszy? Pytam o to, bo nie tak dawno temu olsztyński poeta, a poetów mamy wielu, przedstawił urobek jednej nocy, i był bardzo zadowolony. Jak długo pracuje się nad tym, żeby przekroczyć tę pustą zgrabność?

Tamara BeJot: Nocami to ja śpię, aby móc pisać rano, będąc w najtrzeźwiejszym stanie, kiedy myśl jest najświeższa, pracowita. Tomik powstawał miesiącami, zajął mi dwa lata. Poezja to przecież proces dochodzenia do najdoskonalszej formy. To zmaganie się z uczuciami, z myślami o świecie. A nie tak, że coś tam sobie zapisujemy nocą, od razu zadowoleni. Tekst musi się odleżeć, aby pozbył się pustej zgrabności – takie frazy wyrzucam bez bólu. Utwór pisze się tak długo, jak sam chce. To żywe zjawisko. Więcej, to osoba. Osoba utworu. Oczywiście są martwe książki. Jestem w stanie to wyczuć. Widzę w nich to, co ja skreślałam w swojej książce – ciągi banalnych mądrostek. W pełni egoistycznie oświadczam, że ta moja umiejętność jest dobrem w kulturze. Nie znoszę niedojrzałej twórczości. Reaguję na nią alergicznie. To jeszcze nie osoba. Poza tym uprawianie poezji, proces osiągnięcia formy, to dzienna systematyczna praca.

Tolo Szaleńczyk: To teraz, żeby tobie było przyjemnie, cytuję z ciebie, ale nie z „Hop”, ale z twojej nowej, dopiero powstającej książki: *72 łyżki. 65 łyżeczek. 82 noże. Ułożone w równym szeregu na stole. Statystyczne życie człowieka. Jak mało.* Genialne, a straszne. O tym jest twoja nowa książka? O zmaganiu się z tym całym zawrotem głowy, jakim jest życie, kończące się upadkiem: jak dobrze pójdzie, człowiek osuwa się w starość, a potem już byle podmuch?

Tamara BeJot: Ten tekst już inaczej brzmi, bo podąża ku swojej formie. Jeszcze podchodzę w nim do naszego pianina, liczę klawisze. 52 białe. 36 czarnych. Razem 88. Znowu przede mną leży życiorys. Już tęsknię do tej liczby: 88. Już pragnę jej dożyć. Już kończę ten tekst słowami: licząc klawisze, tworzę symfonię życiorysu. Jeszcze dodam dwa słowa: Jak cicho. To nie będzie książka o przemijaniu, tylko o byciu. I słowo „Bycie” znajdzie się w tytule. Tekst z cyframi wyśnił mi się nad ranem. Nie śmiem zostawić go w nocnym stanie surowym. To jeszcze nie poezja. To surrealizm w stanie czystym, wprost z wyrazistego snu. Trzeba go dorzeźbić na jawie. Dać temu stworzeniu duszę. Nasze ludzkie czyste śnione sur zawsze jest genialne, ale wymaga obróbki. Genialności snów zazwyczaj nie doceniamy. Często dzienny umysł nie nadąża za genialnością snu. Mój też.

Tolo Szaleńczyk: *Osamotniony na szczytach serca* – pisał Rilke. Teraz, jeśli pozwolisz, dajmy tu inny cytat z Rilkego, bo podejmujesz pieśń, którą on zawiesił.

Tamara BeJot: Dobrze, czytaj.

Tolo Szaleńczyk:

*Któż
więc śmie?
– Ja!
Co za ja?
Ja matka, ja śmiem. Ja byłam, zanim był
świat.*

Masz odwagę zmierzyć się z Rilke?

Tamara BeJot: Nikt inny tego nie robi w polskiej poezji, ponieważ przekład Adama Pomorskiego, a cytujemy jego przekład (z tomu „Osamotniony na wysokościach serca”), nie zdobył u poetek i poetów przewagi nad dawnym przekładem Jastruna, w którym to przekładzie giną z kretesem prekursorskie feministyczne frazy z Rilkego. Te frazy krzyczą: kontynuuj mnie! Przekład Adama Pomorskiego jest kongenialny, bo nie gubi surowego myślicielstwa Rilkego, a przede wszystkim tych feministycznych prekursorskich fraz. Jastrun przeinaczył Rilkego w piękno sentymentalne, w piękne ciepłko, w romantycznie męskie. To, co tradycyjnie męskie, wydobył na wierzch. Zrobił to zniewalająco pięknie, ale ze szkodą dla feministycznego prekursorstwa Rilkego. Surowy myślicielski feministyczny Rilke Pomorskiego, ani trochę nie romantyczny, z całą mocą rzucił się ku mnie z innym pięknem: wołaniem o mowę kobiety. To wołanie wybiegło w przyszłość, dotarło do naszych czasów, a z tak ogromną siłą, tak wyraziście, tak współlistnieniowo, że nie mogłam odmówić udziału poprzez kontynuację. Poczułam się wezwana przez męskie usta do mówienia ustami człowieka płci żeńskiej. Poraziła mnie aktualność feministycznych fraz. Toż to osoba frazy! Osoba! Kobieta! Woła! Mierzę się z Rilke o tyle, o ile jest znany w tłumaczeniu Adama Pomorskiego: „Osamotniony na szczytach serca”, i w oryginale. Oj, jakże mało!

Tolo Szaleńczyk: To mamy pytanie, a zarazem odpowiedź o aktualność Rilkego. Mężczyzna, synonim autorytetu w każdej dziedzinie, to nie jest mężczyzna Rilkego ani twój.

Tamara BeJot: Nie jest, ale przede wszystkim ten popkulturowy, ten piszący, no i domowy damski bokser, sadysta, pan i władca.

Tolo Szaleńczyk: Teraz ja cytuję Rilkego. Ja, mężczyzna, odkrywam gorzki sąd o mężczyźnie z ust mężczyzny:

*Mężczyzna wszakże
niech milczy wstrząśnięty. On, który
bezdroża nocy zbłąkany wśród gór
swych uczuć zbiegał:
niech milczy.*

Mówiłaś, że prekursorska fraza nie może wisieć w powietrzu, nie może się urwać. Musi mieć dalszy ciąg w innych ustach, wezwanych przez nią.

Tamara BeJot: Mogę się tu zaśmiać, masz moje cha, cha, i zacytować moje sur z mego snu. Sen, czyli mój śpiący, a będący w ruchu mózg, stworzył kontynuacyjną mowę kobiety po Rilke Pomorskiego: Idź, mężczyzno, ramię w ramię z moją wściekłością. Naucz się chodzić!

Tolo Szaleńczyk: Jeśli powiem „kapelusze z głów”, zostanę feministką?

Tamara BeJot: Kapelusze z głów przed Adamem Pomorskim za prawdziwego Rilkego. Ty już jesteś feministką. Bierzesz udział w moim umyśle, choćby poprzez tę rozmowę. Dostrzegasz cytaty, które wskazują jako wciąż nośne. „Feminizm” to najdroższe dla mnie słowo i najdroższa tkanka wierszy Rilkego. Jeszcze cytat z niego:

*A wieść, że jest ktoś patrzący,
poruszała te mnie,
te wątpliwiej dostrzegalne,
poruszała kobiety.*

Albo taki fragment: *w ciepłym wierszu, w zaciszu im się wszystkim mieszka*. Moje wiersze to nie tradycyjne „zacisze”, to nie „ciepłe wiersze”. I nie lubię takich, a więc takich nie tworzę. U Rilkego jest jeszcze jedna poruszająca mnie do bólu fraza o kobiecie: *to nigdy jeszcze niekochane stworzenie*. My, kobiety, jeszcze/wciąż nie jesteśmy kochane. Przecież wciąż jestem ta wątpliwiej dostrzegalna! Dlatego stworzyłam „Traktat o samotności”. Sam się stworzył, wymuszając na mnie słowa i obrazy. *Nie zapomnij obrazu* – wołał Rilke. To wezwanie też jest bardzo ważne. Bez obrazu poezji nie ma.

Tolo Szaleńczyk: Biorę udział nawet w twoich lekturach. Tyle mi naopowiadałaś, o czym pisze Betty Friedan, że w zasadzie czytać już nie muszę. Tygodniami wkładałaś mi do uszu jej zdanie, że jeśli ktoś zaczyna myśleć, to znaczy brać udział w procesie myślenia, porzuca czytanie literatury popularnej, że nawet kury domowe porzucają. A ja nigdy nie zachwycałem się literaturą popularną, i pamiętam twoje oburzenie, kiedy powiedziałem, że pisarzy wybitnych na całym świecie jest zaledwie kilku.

Tamara BeJot: Bo wtedy byłam jeszcze głupia i połykałam książki lekkie, nieistotne dla rozwoju. Nie brałam wtedy udziału w procesie myślenia. Wydałaś mi się dziwnym radykałem. Dopiero kiedy zaczęłam studiować filozofię, ale nie jej historię, tylko systemy filozoficzne, od wewnątrz, te z cytatami wielkich poetów, zrozumiałam, jak bardzo tandetna literatura kurczy nam umysł. Myślenia nauczyli mnie myślący mężczyźni, wymagając ode mnie partnerstwa w tej dziedzinie – mego samodzielnego umysłu.

Tolo Szaleńczyk: Zapamiętałem streszczoną przez ciebie uwagę Betty Friedan o kobiecie: kobieta nie rozwija umysłu, bo jej wyobraźnia o tym, co będzie, nie przekracza dwudziestego roku życia,

i zupełnie nie widzi się po czterdziestce, a szczególnie na starość. Dalej jest samo przerażenie: ojej, będę stara, już jestem stara. I ojej, ojej. I koniec. Jest żeński śmieć, a nie czło-wiek. Chcesz to pokonać poprzez „Traktat”?

Tamara BeJot: Chcę. Sama kobieta robi się pod mizoginów seksistów: na starość jestem śmieciem. Opieram się, jak mogę: mówię. Starość mnie nie przeraża, bo uparcie mówię, co myślę o świecie. Na starość można tworzyć rzeczy piękne i ważne. Cały wiersz poświęciłam naszemu aktorowi Stefanowi Burczykowi, który powiedział to samo. Rozmawiałam z nim chwilę, pamiętasz, to było wtedy, kiedy młody fotograf Tomasz Grabowski wystawiał fotografie naszych twarzy, starych, młodych. I z tej rozmowy w kularach po wernisażu powstała część „Traktatu”. Nie mogłam nie zanotować tak ważnej rozmowy z mężczyzną, który mówi, że podniecają go kobiece zmarszczki, że zmarszczki to los, że młoda twarz zbyt często jest zbyt pusta, głupawa. Jeśli tę pustą twarz przeniesie poza czterdziestkę, sześćdziesiątkę, to mamy śmieciową kobietę. Wymęczona, niedospana, zwiotczała, poszarzała, byle jak ubrana, z wynaturzoną figurą, milcząca albo narzekająca na los, bo była wrzucona w ciasną przestrzeń domowego męczeństwa, a potem zwyzywana od moherów. Kobieto, dbaj o siebie starą, myśl, mów. Nie tetryczaj! To moje wezwanie. Wołam o pełną kobiecą tożsamość.

Tolo Szaleńczyk: Mówiłaś, że klimakterium to mizoginiczny wymysł i że Betty Friedan też tak mówi, no a to uderzenie gorąca?

Tamara BeJot: Jakie uderzenie gorąca? Klimakterium jest mizoginicznym wymysłem, bo trzeba kobietę wdusić w nieatrakcyjność, w starą babę, niewartą spojrzenia, a tym bardziej wysłuchania, w całkowitą zbędność. Nie miałam klimakterium, bo dużo śpię i jestem egoistyczna. Nie lubię się męczyć. Egoistyczne kobiety mają okres do sześćdziesiątki. W tym egoizmie nie chodzi o to, żeby stawać się gderliwą jędzą nie do wytrzymania, tylko o unikanie domowego męczeństwa i dobijanie się o obecność społeczną, kulturową, o rozwój intelektualny, o tożsamość ludzką, o robienie czegoś istotnego. A patrzę, że jest tak: on jak pączek, a ona jak purchawa, bo on śpi, aż się wyśpi, a ona musi się w tym czasie męczyć z jakąś domową robotą, którą mogli zrobić razem, bo oboje pracują poza domem. Ale nie. On się rozwalił wygodnie, a ona hoduje sobie wory pod oczami, szarość cery i otępienie. Potem on pogardliwie zwyzywa ją od starych bab po klimakterium. Powstał cały mizoginiczny przemysł wmawiania kobietom klimakterium, podczas gdy jest to tylko nagły wybuch zmęczenia, tego krańcowego wymęczenia organizmu podwójną pracą. Nie było żeńskiej radości życia. Stłumiono ją.

Tolo Szaleńczyk: Polskie feministki, z wyjątkiem nielicznych, jak Brach-Czaina, jak zwykle nic z twoich wierszy nie rozumieją. Nie trawicie się nawzajem?

Tamara BeJot: Moich wierszy ani nie rozumieją, ani nie docenią? Nie wiem. Jest pomiędzy nami jakaś szczególna niechęć? Nie z mojej strony. A może do mnie jest z ich strony? Nie wiem. Ale czy to feministki olewają mnie? Feministki nie produkują komercyjnego bełkotu. Porzucają

go na wieki wieków. To nie feministka olewa mnie, tylko baba durna. Baba durna nie zdobędzie tożsamości ludzkiej, a taką tożsamość rozbudza feminizm. Za co miałyby mnie nie lubić feministki? Cenię feminizm jako najnowocześniejszą śmiałą filozofię. Wydobyć kobietę z cienia, ukazać jej egzystencję, jej umysł. Robić to dla obu płci. U nas poezję zastąpiły tandetne wierszyki. Może powodem niechęci do mnie i to obu płci jest to, że pogardzam popkulturowymi wierszykami obu płci, a jeszcze się z tą pogardą obnoszę. Ujmijmy to tak: stare konie piszą żenujące wierszyki, a jak im coś krytycznego powiesz, to się przewrócą, tacy wrażliwi, tacy delikatni, a będą cię nienawidzić z zemstą w tle. I młode konie robią to samo. No i to – trwam przy poezji, która pragnie iść przed filozofią. I mamy *hacacę*: „Ona się wywyższa”. „Ona wie lepiej”. „Ona ma wybujałe ego”. Od czasu do czasu nagle wyblśnie mi z Internetu czyjś znakomity wiersz, Marzanny Kielar albo Krystyny Miłobędzkiej. Wyblńska, bo szukam, przedzierając się przez stadiony tandety. Gorsze jest to, że jeśli ktoś omówi „Traktat”, to umkną mu moje środki wyrazu. Przeleci.

Tolo Szaleńczyk: U Kielar to metafora siedzi na metaforze! Chce się jeszcze raz czytać. Miłobędzkiej nie znam. Wyblśnie, to mi przeczytasz. „Hacaca” to twoje ulubione słowo z Wielkiego Księstwa. Moje zresztą też. Powiedziałaś: umkną mu środki wyrazu. Oj. Umkną? Może jednak nie? Może jednak przyłożą cię do Rilkego i nie przeleca. Chodzi nam wyłącznie o Rilkego w tłumaczeniu Pomorskiego i o oryginał oczywiście.

Tamara BeJot: Oj, chyba przeleca. Umkną moje środki wyrazu, a do Rilkego w wykonaniu Pomorskiego nie przyłożą, żeby ukazały się dwie drogi ust, feministycznych i feministycznych. Miąsz. Omówcie mój miąsz! Nie posmakują. Zresztą tego Rilkego też nie smakują. Przeleca! Boję się. A słowa z Księstwa, które mam w książce, będą powodem odtrącenia, bo jak to. Obce!

Tolo Szaleńczyk: Twarda baba jesteś. Przeżyjesz. Może jednak słowa z Księstwa ktoś uzna za skarb? Skoro dla mnie są miłe? W moich stronach nikt nic nie wie o Księstwie. Ty mi ciągle o nim mówisz. Zapamiętałem z „Traktatu”, że w języku Księstwa Zielone Świątki to Siomucha z akcentem na końcu. A feminizm nie zużył się? Pytam, jakbym nie widział i nie wiedział. Rilke Pomorskiego mnie prowadzi.

Tamara BeJot: Pro forma pytasz, to pro forma odpowiem: ani trochę nie zużył się. Kobietę wydobywam spoza prawa i historii nie po to, aby się dostosowała do systemu, który ją nieustannie wyrzuca poza prawo i historię – tak rozumiem feminizm. I tu mamy *hacacę*: dostosowane kobiety zniechęcają mnie. Poezja jest zawsze na jutro. Na jutro! W tym siła Rilkego. A te tandetne wierszyki to apogeum nieporozumienia. One nas zalewają, trują. Pisane ubogim językiem, bez metafor. Zubożyć mowę o środki poetyckiego wyrazu! Jakaż łatwizna. Toż to kalectwo! No tak, ale żeby każdy poetą był, potrzeba tej łatwizny, tego kalectwa tekstu. A jeszcze pełno w tych wierszykach wyświechtanych idiomów. To jak? Z jednej strony pełno wyświechtanych idiomów, a przecież idiomy to dawne metafory, zużyte w sferze tak zwanego pospolitego mniemania, a z drugiej strony pogarda dla metafor? Przecież metafora to nowe

oczy. Przecież metafora zmienia się. W prawdziwej poezji nie powtarzamy w kółko tych samych metafor. Tworzymy nowe, to jest one nam się same tworzą, adekwatnie do nowych czasów, do nowych realiów, i naszego talentu. W wierszu nie możemy używać wyświechtanych zwrotów, typu „wiatr w oczy” czy „poszedłem po linii najmniejszego oporu”. Już nie porównujemy chmur do białych owieczek, bo to nas ośmieszy.

Tolo Szaleńczyk: Lubiłaś w szkole matematykę?

Tamara BeJot: Lubiłam, ale od pewnego momentu jechałam na dwójkach. Nauczyciele byli nieprzyjemni i nieprzyjaźni. W pewnym momencie przestałam się uczyć matematyki w związku z tą nieprzyjemną i nieprzyjazną atmosferą ze strony nauczycieli. No i ogólna aura była taka nieprzyjemna, naciskająca na to, że dziewczynki, dziewczyny są głupie i nie nadają się na matematyczki. Matematykę widziałam od strony barw i kształtów, i poprzez intuicję. Znałam rozwiązanie, nie znając, nie chcąc wzorów. Kto by ścierpiął wtedy taką dziewczynską ignorancję. Po latach odkryłam, że matematycy uwielbiają poezję, tę prawdziwą, gdzie obraz ściśle przylega do myśli, że nie mogą oderwać się na przykład od Białoszewskiego, bo znajdują u niego właśnie to inne oblicze matematyki, od strony barw, kształtów, ruchu, styku metafor z problemem. Widziałam, jaką rozkosz dawało matematykom czytanie takiej poezji. Odkryłam, że matematyczki są na świecie, że z rozkoszą czytają prawdziwą poezję. Przecież wiersz stanowi rozwiązanie zadania przy pomocy środków z jej dziedziny. Szkoda, że byłam matematyczną dwójarą. Wiele przegapiłam, mając ścisły umysł.

Tolo Szaleńczyk: Czy wiesz, że starożytni hinduscy matematycy nazywali liczby ujemne długiem? Na przykład od 3 odjąć 4. Nie masz wrażenia, że we współczesnej literaturze mamy właśnie taką sytuację: stan powiększającego się długu? Przy tylu piszących brak talentu, osobowości?

Tamara BeJot: Nie wiedziałam. Ty to mówisz, a więc wiem i podoba mi się takie rozumienie długu. Dzisiaj system tłamsi talenty i osobowości, przecież wiesz. Być posłusznym średniakiem, nie wychylać się, zadowolić się mniemaniem pospolitym i modnymi frazesami – to ma wystarczyć. Max Scheler w książce „Istota i formy sympatii” mówi o nieprzemijalności hordy. Horda w klasie, horda w polityce, horda w kulturze, czyli w mainstreamie. Nie przylegasz do systemowej hordy, nie ma cię. Wynocha! Jestem wstrząśnięta konotacją Schelera, jej aktualnością. Cywilizowana horda. Upiorność. Upiorna żywotność hordy. Ta horda ma dług do spłacenia. Zaraz do tego dojdziemy, dobrze? W „Traktacie” mowa o długu.

Tolo Szaleńczyk: Dojdziemy. Już mi dałaś tyle cytatów z Schelera, że nie muszę go czytać. Tymczasem wracam do tej tytułowej samotności. Samotność latarnika, który śle sygnały, wierząc, że jest potrzebny temu jednemu procentowi?

Tamara BeJot: Jeden procent zainteresowanych, oczekujących światła, bo się o ciemność rozbijają? Może być. Ich życie jest bezcenne dla latarnika i bezcenny jest dla nich latarnik. Zależą

od siebie w antyrynkowy sposób. Nie wszystko, nie każdy ma „swoją cenę”. Rzeczy bezcenne pozostają poza systemami hordy, przechodząc za sprawą nielicznych bezcennych z epoki do epoki. A teraz sobie zażartuję, że latarnik może się naćpać, ululać, nabełkotać sobie a muzom, i stanie się nowoczesny i rynkowy, ale komu on będzie potrzebny? Jakiemu odbiorcy? Chyba odbiorcy marychy czy mocniejszego bucha jako towarzysza wymęczonych wizji w głębinach wymęczonych barłogów.

Tolo Szaleńczyk: W jednym z wierszy mówisz: *Wypatrz. Oddaj piękno. Oddaj!*

Tamara BeJot: I oto doszliśmy do długu, o którym mówię w książce, a który wiąże się z rozumieniem matematyki przez starożytnych Hindusów. Zaraz potem mówię: *Piękno jest długiem. Zwracaj. Dziś już zwróć!* Rośnie niezwracany dług. Przecież to piękno ciąży, piękno macierzyństwa, piękno ojcostwa tworzy człowieka. Przecież to piękno poezji Rilkego tworzy człowieka. Przecież to piękno muzyki Beethovena tworzy człowieka. Co tworzy człowieka, brzydota? Ja mówię – nie! Drę się: nie! Jak ja jestem zmęczona hordą, która tworzy brzydki film, brzydki wiersz, brzydką prozę, brzydką muzykę, brzydki język i zachwala to zewsząd z łomotem. Słowo „brzydkie” to zresztą za mało, aby nim określić stopień degradacji kultury – chodzi o mainstream. Ona stała się odrażająca, wulgarna, obleśna, totalnie pusta. Jak dobrze, że młody człowiek z mego ostatniego wydawnictwa, Grzegorz Czeakański, wpadł na pomysł nagradzania Dynią autora najgorszej poetyckiej książki roku, ale nominowanej do ważnych nagród literackich, nawet nagradzanej ważną nagrodą. Trochę śmiać mi się chce. Widziałam nadętych nominowanych i nagrodzonych. Nie będzie już tak łatwo nabrzydzić, nabełkotać i udawać, że się poetą jest? Oby. Ten młody człowiek powiedział: *w Polsce z poezją jest prawdziwa tragedia, całkowita porażka, i w niej samej, i w dystrybucji! Dlatego my ją wydajemy.*

Tolo Szaleńczyk: Słuch poetycki, u ciebie chyba absolutny, to co: gen, hormon czy kaprys zmysłów i umysłu, żeby nie było „nudno”?

Tamara BeJot: Nie. To zadanie: ja muszę to powiedzieć tak. Narzucam sobie reżim dochodzenia treści do swojej formy. Świat rzeczy, przyroda, to wszystko domaga się ust, uczucia, i nienawiści do nienawiści, i miłości do miłości. Ja się w „Traktacie” spieram z fałszem w poezji, jeśli chodzi o temat miłości. Przez wieki mówiono o Amores, czyli o flirtach, romansach, a nie o miłości. To się przejadło, przynajmniej kobiecie. W tych tradycyjnych amoreskach nie ma kobiety jako podmiotu. Nie jest wybierana pojedyncza. Jest zbiorowa: mijana, używana, porzucana. Jak nie ta, to inna, bo co za różnica. Kobieta pozostaje niesłuchana i nieomawiana, z jej indywidualnymi cechami charakteru, umysłu, wadami, zaletami. A rok 2014 powitał mnie zmasowaną nienawiścią do kobiet. Nawet nie muszę tu o tym szczegółowiej mówić, bo sam widzisz. Już: widzisz. Politycy, biskupi, polityczki wrzeszczą przeciw kobiecie, winnej „ideologii gender” i niemal wszelkiemu złu na całym globie. Moja książka o żeńskiej samotności będzie przemilczana, bo napisała ją *to nigdy jeszcze niekochane stworzenie*. Za mego życia długu mi nie oddadzą. A po śmierci? Oby nie tak: umierasz, ośmielając wrogów i wrogów twoich przyjaciół. To od-

wieczny mechanizm. Można zmodyfikować tak: piszesz tak, że ośmielasz wrogów i wrogów twoich przyjaciół.

Tolo Szaleńczyk: Twój „Traktat o samotności” jest jak narkotyk – uzależnia. Któraś już osoba z rządu powiedziała: *Przeczytałem i właśnie zaczynam drugi (trzeci) raz*. Ja sam po przeczytaniu od razu zacząłem czytać od początku. Taka kopalnia. Poprzednio zdarzyło mi się to z Rilkiem właśnie, tym tłumaczonym przez Pomorskiego. Jako Rilke w spódnicy mówisz rzeczy nowe i w oszalałymi sposob dla tych, którzy czują poezją to kadzidło, i to świąteczne kadzidło.

Tamara BeJot: Czują czym? Poezją? Ale się wyraziłeś. Nie jestem Rilkiem w spódnicy. Nie mówię Rilkiem, ale sobą i w miejscach, w których on kobietę zaczął. Jeśli poezja jest „za trudna”, to czytamy ją wiele razy, aż zadanie rozwiąże się, ukazując pokłady znaczeń. Jeśli nie rozwiązuje się podczas ponownej lektury, nie ukazuje pokładów znaczeń, to jest to pusty bełkot, pozorujący głębię. Bardzo dużo mamy takiego pustego bełkotu, pozorowanego na głębię. To takie zamierzone tumanienie czytelnika, który nie czuje poezji i nie potrzebuje jej, ale można go omamić pozorowanym skomplikowaniem. *Nie rozumiem, a to znaczy, że to prawdziwa poezja*. Ależ nie. Liczę na matematyczki i matematyków. Oni mnie rozumieją naprawdę. Sama matematyka to poezja. Dziękuję, matematyko, że nie porzuciłeś lektury, że mi zaufałeś.

Tolo Szaleńczyk: Liczysz na tylko takiego czytelnika, na matematyka? Matematyczkę? Nie na masowego czytelnika?

Tamara BeJot: Tak, na matematycznego. Chciałabym jego rozkoszy. Z zadaniem matematycznym chodzi się dniami i nawet nocami, identycznie jak z zadaniem metafory. I to, i to rozwiązuje się z rozkoszą. I chodzi się z rozkosznym zamyśleniem się nad tą oto rzeczą. Rezultat nie może być mętny. Poezja nie ma masowego czytelnika i nie będzie go miała, tak jak filozofia. Mamy do czynienia z pomyłką u podstaw! Potoczne myślenie wydawców i autorów zakłada, że ktoś będzie czytał codziennie poezję i non stop, niemal przez dobę. Poezję czyta się rzadko. Taka jej stała cecha, że ona ściąga nas ku sobie rzadko. Chodź do mnie, woła, kiedy nam się kumulują uczucia. Czytanie poezji to intymna czynność i na nic ustawianie jej w charakterze brzęczenia przy uchu, pokazywanie w autobusie czy na ulicy. Wciskanie jej na każdym kroku na nic się nie zda. Nie wolno nikogo zmuszać do poezji, tak jak nie wolno zmuszać do religii. Skutek jest odwrotny – ucieczka. Można tak to ująć: chcemy poezji, kiedy mamy nastrój. To rzadki rodzaj nastroju: potrzeba krzyku, przyjaźni, intelektualnej bliskości z autorem, nieznanym osobicie, a jednak intymnie bliskim. Udział w poezji nie jest mechaniczny. Nie wywoła go naciskanie na udział. Recenzje tomików poetyckich stały się puste, bo to takie gotowce, jak gotowce katechezy. Powodują ucieczkę, bo czytelnik widzi, że to bełkot i przypuszcza, że bełkot zachwala bełkot. Czytelnik poezji to ktoś wielki.

Tolo Szaleńczyk: Pamiętasz, co mówił na wykładzie profesor Wolczok? Mamy świadomość masową i elitarną, a tego zwichnąć się nie da. Świadomość pojedyncza, elitarna, od wieków

ma zadanie: podnieść świadomość masową choćby o jeden stopień, choćby garstkę odcucić masowego bezguścia. Wskazywał na masowe bezguście w nowej architekturze, typu „zbuduj sobie taki dom, jaki zbudowało stu sąsiadów, bo tak trzeba, bo dziś się tak buduje”. Gotyckie budowle wznoszono przez sto pięćdziesiąt lat, a dziś musi być ciągle „coś nowego”, a to „coś nowego” to zwykła sztampa bez polotu. Wspomniał, że kultura źle znosi mechanizm obcięta. W komunie została obcięta i miała być proletariacka, a po upadku komuny znowu została obcięta, ograniczona do kultury masowej, do masowego bezguścia. Zdechł styl, czyli elitarność. Zduszono świadomość elitarną, która zawsze występuje przeciw świadomości masowej. Co o tym myślisz?

Tamara BeJot: Zgadzam się z tym. Mechanizm „kontra”, „wbrew”, osobność, styl. To należy do jednostek. Próba zwichnięcia jest zabójcza dla kultury. I nie uda się. To czas stracony dla kultury, stylu. Nie zamierzam poezjować manierą, stworzoną przez sto tysięcy poetów. Ufam młodemu, samotnym jak ja, samotnym „wbrew”, samotnym „kontra”. Są tacy i jest ich coraz więcej. Profesor Wołczok ponadto twierdzi, że humanista musi oceniać technikę, i ma rację. To odwieczny mechanizm, taka kontrola. Bez tego rośnie niegodziwość. Uprawianie poezji jest tą kontrolą, nieustającą. Żenują mnie narzekania naszych amatorskich krytyków, że poezja nie dała się, że nie stała się w całości komercyjna. A przecież ona z zasady opiera się komercji. Ona staje się pod prąd.

Tolo Szaleńczyk: O wolności już mówiliśmy. Jak się osiąga taką suwerenność słowa?

Tamara BeJot: Poprzez topornie prosty mechanizm rzemiosła: systematyczne autokrytyczne skreślanie własnego bełkotu. Najbardziej jednak przez nieobecność tej oto osoby płci żeńskiej, która chce pozbyć się namordnika. On jest. Przez namordnik trzeba mówić głośnie, wyraźniej, z sensem. Wydawca napisał w zajawce, że moja książka jest *witalna, postulatyczna i bezczelna*. Bardzo mi się podoba dostrzeżenie mojej bezczelności. Chyba najwyższy stopień intelektualnego napięcia zawsze jest taki, bezczelny, a w poezji szczególnie. Niemile mnie uderzyło to, co powiedział pewien dziennikarz: jesteś agresywna w tej książce. O, matko! To myślenie jest już agresywnością? Poszukuje tradycyjnego ciepła w poezji? To już aż na takie psy zesłaliśmy, żeby w matematyce poezji dopatrywać się agresywności? I masz – mam namordnik. O, tak mnie powitano w Olsztynie. Jedno niesprawiedliwe słowo ma mnie załatwić? Nie nadają się na niańkę tradycyjnego ciepła w poezji. Nie jestem niańką czegokolwiek i kogokolwiek. Inaczej. Jestem niańką matematycznej precyzji tekstu i głośniejszego mówienia, bo przez namordnik. Jestem wrogiem mętności. Jeśli mówimy mętnie, to nasz namordnik jest na swoim miejscu, o! Nie ten namordnik boli. Boli niesprawiedliwy.

Tolo Szaleńczyk: Podobno ostatnio widziałeś anioła, malutkiego jak zapalka. Należy do twojej poetyckiej gwardii przybocznej?

Tamara BeJot: Każdy może zobaczyć takiego anioła, jeśli nauczy się widzieć przez oczy Jakuba Böhmeo. Wyciszasz się, zamykasz oczy i w pewnym momencie widzisz oczy tego Jakuba, takie wewnętrzne, a przez nie tak zwany świat duchowy. Nieprzydatne przy tworzeniu poezji. Może ważne dla puszczających szeptuch. W poezji potrzeba włączenia zupełnie innego wzroku, odróżniającego w tym rzeczywistym świecie *pulchrum* od *admirandum*, ale nawet nie to. To twardy udział w rzeczywistości, a nie w wizjach. Udział w eksplozji przedmiotu, nawet łyżki czy dmuchawca. To coś podobnego do wzroku grzybiarza. Nagle wspaniały grzyb sam woła: tu jestem! W ten grzybiarski sposób dostrzegłam w „Traktacie”, że dmuchawiec to zerkająca piana. Poetyckie grzyby zbiera się nie przy pomocy drugiej pary oczu Jakuba Böhmeo, ale czwartej pary własnych. Poezję czyta się z rzeczywistości, która z nagłą otwiera się i słychać wołanie z przepaści: bierz mnie, wyciągnij, to ja!

Tolo Szaleńczyk: Mówisz nieustannie, że nie znosisz oryginalności, nawet samego słowa „oryginalne” w odniesieniu do poezji. Dlaczego?

Tamara BeJot: Bo poezja to nie oryginalność, lecz twój stan wewnętrzny w najwyższym napięciu, a wiersz to koncentrat tego stanu. To także twój codzienny stan wewnętrzny. Pokazujesz, jaki jesteś, ile widzisz i jaki z ciebie człowiek. Szczerze to robisz, bez pozerstwa. Inny znajomy dziennikarz mówi: *W „Hop” dałaś taki koncentrat, tak to zagęściłaś, że czytam, czytam i na razie nic ci nie mogę powiedzieć, jeszcze nie przebrnęłam.* A przecież nie zagęściłam bardziej tekstu, niż zagęścił obraz i przeżycia jednego człowieka Skolimowski w filmie „Essential Killing” – niezręcznie stylistycznie to mówię, wiem.

Tolo Szaleńczyk: Może jednak przebrnie i pokocha. Mówisz, że te wiersze trzeba pokochać.

Tamara BeJot: Tak mówię, bo tego pragnę. Kilka osób pokochało. Sami mężczyźni. Sami grzybiarze. Latarnik. I pani Iwona Smolka z radiowej Dwójki. Opatrzyła moje wiersze tak świetnymi recenzjami mini, że przez chwilę było mi lekko jak anielicy. A więc nie jest tak źle.

Tolo Szaleńczyk: Mówisz, że jeśli prozaik nie rozumie, nie czuje i nie czyta wielkiej poezji, to nie jest pisarzem.

Tamara BeJot: Tak mówię, bo tak to widzę. Prozaik Izaak Babel wielkim poetą był i jest. Dobrze o tym wiesz. Poezja to pierwotny stan. Idę, widzę, dziwię się, nazywam, dzielę się odkryciami. Nie ma żadnej nowej poezji, tak jak nie ma nowych uczuć. Poezja jest albo prawdziwa, albo pozerska. Uczucia albo są, albo ich nie ma. I to nie jest tak, że ach, och, cały jestem w wierszu, ach, och, jaki ze mnie poeta, ach, och, jaki jestem wrażliwy, zaraz stracę przytomność, ach, och, jaki jestem natchniony, ach, och, a ty jesteś bałwan, a ja jestem wieszcz. Poezja to bardzo trzeźwa rzecz i trzeźwa ocena świata. I nie powstaje błyskawicznie. Powstaje wraz z procesem naszego rozwoju. Prozaik uczy się od wielkich poetów bycia nieodpychającym.

Prozaicy tworzą obecnie samych odpychających bohaterów, sypiąc im pod nogi wszelakie róże akcji, że się tak grafomańsko wyrażę.

Tolo Szaleńczyk: Mówisz, że jesteś wykluczana ze względu na wiek.

Tamara BeJot: Tak mówię i tak jest. Nawet starzec Goethe, piszący arcydzieła poetyckie, nie miałyby dziś szans. Zerwano nam ciągłość kulturową i zapchano przestrzeń medialną „obietującymi młodymi”, bo ładnie wyglądają. Jutro ich zastąpią nowymi, ładnie wyglądającymi. Jest nowe: TVP Kultura pokazuje starych i udziela im głosu. Anna Polony mówi ostrzej niż ja. Nazywa bełkotem teksty wystawiane dziś w teatrach i szydzi z reżyserów, że na to lecą, że sami coś klecą, aby było nowoczesnie, że aż. Odmawia udziału w tym bełkocie, w tej pseudonowoczesności. Dobrze, tylko umieszczono ją w telewizyjnym kącie dla starych. Słowem – dano starcze okno. Jej słowa znalazły się w otocze starości, gdy tymczasem są to słowa ludzkie, nośne, dobre, odpowiednie do stanu degradacji w kulturze. To nie jest tak, że babcia coś plecie i jest dziwadłem. Powinno być inaczej: starzy i młodzi występują razem, dyskutują i wzajemnie się od siebie czegoś ważnego uczą. Tymczasem jest tak, że tu występują ładnie wyglądający, a tam, w swoim oknie ci, co wyglądają gorzej, bo się zestarzeli. Goethe, starcze, wróć i huknij!

Tolo Szaleńczyk: Mówisz, że tomiki poetyckie powinny być bardzo drogie, bo to ręczna robota, bo to jak garnitury szyte ręcznie i na miarę. W wielu europejskich krajach nie zanikło ręczne szycie bardzo drogich garniturów czy damskich kreacji, wręcz rozkwita ten zawód, są całe ulice krawców i krawcowych, odwrotnie niż u nas, maszynowym kraju. Już, natychmiast zdać się na maszynę, bo to nowoczesność.

Tamara BeJot: Tak mówię i tego pragnę. Tomiki z prawdziwą poezją powinny być bardzo drogie, wręcz astronomicznie, tylko że wtedy należałoby zacząć mówić o poezji poważnie, odróżniając tandetę od skarbu. Nosić na rękach talenty, zdolne do rozwoju, czy to stare, czy młode. Nie psuć młodych obiecujących nadmiernym aplauzem, żeby nie wstrzymać ich w rozwoju. Nie ma nic gorszego niż młodzi poeci wstrzymani w rozwoju, bo media już ich wykreowały. Starych też to dotyczy, bo też często zastygają w pozie „już sławnego”. No więc wybitny tomik rozwijającego się autora powinien stać się skarbem, jego cena powinna nieustannie rosnąć, jak to się dzieje z obrazami mistrzów.

Tolo Szaleńczyk: Może masz rację, ale kto to zrealizuje? No i jestem przerażony twoim pragnieniem astronomiczności ceny!

Tamara BeJot: Ja też jestem przerażona własnym pragnieniem. Realizować je mogą odbiorcy i wydawcy poezji: matematyczki i matematycy. Już. Natychmiast. Marszandzi od poezji do boju! Przy czym łatwo już w księgarni sprawdzić jakość wierszy. Wystarczy przeczytać trzy pierwsze strony albo jeden wers.

Tolo Szaleńczyk: Ba!

Tamara BeJot: Właśnie. Ba! Nawet za kilka tysięcy złotych nikomu nie sprzedam „Osamotnionego na szczytach serca” Rilkego w tłumaczeniu Adama Pomorskiego. To rzadki skarb.

Tolo Szaleńczyk: Kiedyś „mówiono” Wyspiańskim, na przykład jego gorzką frazą o chmie i złotym rogu, teraz obojętnie czy też machinalnie mówią Masłowską. Ja przeczytałem tylko kilkanaście stron „Wojny” i zbrzydziłem się, choć jej „kurwy morskie” zapamiętałem. Chciałabyś, żeby „mówiono” Tamarą BeJot? W twojej utopii „Rzeczy uprzyjemniające” są setki neologizmów i wspaniałe w nich poczucie humoru. Polacy nie odbierają poczucia humoru? Jest to dla nich nieczytelne? Czy to wina nieobecności w naszej kulturze szkoły surrealizmu?

Tamara BeJot: Nie! Nie chcę, aby mówiono mną. Ja nie mówię ani Rilke, ani Goethem, bo nie o to chodzi. Chodzi o pogłębione spojrzenie na wszystko, co mnie otacza, o większą pełnię życia, a pełnia życia to także udział w arcydziele, a w arcydziele musi być treściom. Poczekam, aż Masłowska przestanie wyśmiewać ludzi, bo wyśmiewa i to ciosami poniżej pasa, bo na przykład biedni albo starzy. Samo wyśmiewanie to jeszcze nie treściom. Poczucie humoru? Moje pochodzi z WKL, krainy już mitycznej. Nie mam z kim śmiać się treściomem z WKL. Rechotać nie chcę. Moje zabawne neologizmy z utopii pożyją jeszcze długo w naszym corocznym Zajeździe do Naraju. Bardzo dobra forma istnienia książki po książce. Lepszej nie mam. Masłowska jednak na swoim blogu pisała całkiem do rzeczy o teatrze, ale tak ironicznie, że żaden z opisywanych spektakli nie wzbudził mego zainteresowania. Oberwało się nawet Jelinek za to, że nie pisze „jak po Noblu”, tylko obniża loty. Te teksty bardzo mi się podobają, bo są suwerenne. Ona nie pełza przed nikim. A te recenzje w jej wykonaniu to właściwie małe indywidualne formy literackie, językowo metaforycznie rozbuchane, niemal rozwydrzone. Jest tu obecne myślenie, bo teksty są o coś istotnego oparte – o temat teatru. Tekst zawsze musi być oparty, ale musi mieć też formę. Tekst pusty jest nieoparty ani o temat, ani o samo życie. Sama forma nic nie znaczy, jeśli się o coś ważnego nie oprze. A więc: treściom.

Tolo Szaleńczyk: Pytałem o surrealizm.

Tamara BeJot: To się tak określa: Polska odtrąciła rozmach wyobraźni. Małe próby przyswojenia surrealizmu odbywały się przed wojną. Jeśli mówię w „Traktacie” o tym, że słyszę „errr” w „ach” wrony, to uzna się za głupstwo. Słyszę, widzę i zapisuję odległe metafory, jak obrazy ze snu, i tę drugą rzeczywistość, jak to „errr” w tym „ach”. Bez odrobionej lekcji surrealizmu tego się nie pojmie, nie zobaczy, nie usłyszy i skwituje się, że to nic, głupstwo, albo uzna się za niezrozumiałe, i po co to. W końcu książki wołam o formę. O formę! Końcowa część „Traktatu” to rozprawa o formie. Polska literatura nie może wygrzebać się z groteski. Groteska, groteska! Za dużo tego wygłupu, ale bez formy. Już o tym pisałam. Nie powtarzajmy się.

Tolo Szaleńczyk: Panuje przekonanie, że o poezji mówić nie można, że sam wiersz świadczy o sobie, i co tu jeszcze dodawać. Tymczasem pojawiają się przecież recenzje tomików poetycznych. No tak, ale ty ciągle się nimi denerwujesz i mówisz, że to bełkot na bełkocie.

Tamara BeJot: Tak mówię i tak jest, i sam to wiesz, i sam się śmiejesz z tych recenzyjek, i denerwujesz się z powodu ich kretyńskości. Już mówiłam: to gotowce jak gotowce katechezy albo gotowe wzory kwestionariuszy. Skąd oni to biorą? Z Internetu? Swego czasu Giedroyc wyszydził te polskie recenzyjki. Niemal w każdej masz coś takiego: *W tej poezji nie ma ozdobników*. O, matko! Albo jeszcze czegoś „nie ma”. Najlepiej, żeby nie było poezji w poezji. Sokrat Janowicz powiedział kiedyś, że takie recenzyjki piszą analfabeci kulturowi. Też tak uważam.

Tolo Szaleńczyk: Nie przeszli lekcji surrealizmu?

Tamara BeJot: Nie przeszli i mają zdechłą wyobraźnię. Uprawianie poezji to rodzaj stołeczności, jaką jest umiejętność poruszania różnymi środkami transportu po mechanizmach epoki i rzeczywistości, stąd wywodzą się współczesne odległe metafory. Gościu ze zdechłą wyobraźnią nie będzie zdolny do odbioru wielkiej poezji, a ta zawsze jest trudna, bo to matematyka, i taka poezja ciągle jest, i ci krytycy z gotowcami są wobec niej bezradni. Jeszcze jedno zdanie Sokrata utkwiło mi w pamięci: *Obecnie folklor młodzieżowy jest folklorem bandyckim*. W literaturze też. I w mediach. Sądzę, że Masłowska, pisząc o teatrze zgryźliwie ironicznie, to właśnie miała na myśli – bandyckość tego folkloru. Dziwaczne jest to, że ciągle nasycy nim swoje utwory.

Tolo Szaleńczyk: Coś ci się śniło o poezji?

Tamara BeJot: Śniło, bo o niej myślałam. Streszczę: w poezji wykazujesz się tym, czego nie możesz zrobić w innej dziedzinie. Cała siła idzie tu. W poezji skupia się: wszystko. Wszystko, co cię obchodzi. Surrealizm jako rozmach wyobraźni jest obowiązkiem poety. Surrealiści ani nie wygłupiali się, ani nie fantazjowali, ale pożytkowali możliwości mózgu, jego nocną wydajność. Sen to wołanie z przyszłości. Sen zarządza naszym dniem. Surrealiści wyprzedzili naukę, zwaną kognitywistyką, ale o niej też już pisałam, na Sofijonie, który założyła wybitna myślicielka, Elżbieta Binswanger-Stefańska. Nie chodzi o spóźnione uprawianie surrealizmu, tylko o jego owoce – o rozmach wyobraźni. Światowe owoce przecież mamy. Bez rozmachu wyobraźni na nic wysiłki w celu stworzenia „nowej poezji”. Będą bliskie metafory, ciasnota, będą wyświechtane idiomy i będzie to „ach, och, jaki to ja jestem wielki poeta”, wyczuwane w każdej frazyjce, ubogiej w inne środki wyrazu. W poezji jest, był i będzie bohater pozytywny, a nie oprych, wstrzymany w rozwoju.

Tolo Szaleńczyk: Ale walnęłaś. Chociaż rzeczywiście w poezji obecny jest bohater pozytywny.

Tamara BeJot: Człowiek w rozwoju to bohater pozytywny. Może to być zbrodniarz, który nad sobą zapłakał. Na pewno nie kurwobójca, opiewający radość zabijania następnej kurwy. I nie

kurwiarz, opisujący swoje szybkie obłeśne amores w kolejnych krzakach czy burdelach. Co za tradycyjna nuda! Idź ty, człowieku, do jakiejś normalnej kobiety, porozmawiaj z nią, obojętne, czy jesteś hetero, czy gej. Porozmawiaj z nią! Nie umiesz w XXI wieku, to nie pisz.

Tolo Szaleńczyk: Aleś zasadnicza.

Tamara BeJot: Zasady tworzą poezję, nie zaś anarchia, w głupawym stylu: a teraz wszystko dozwolone. Często wybieram sonet, koncentrat w czternastu wersach, ale z treścią współczesną. Mała przestrzeń zobowiązuje do umieszczenia w niej licznych eksplozji, dobrotczywnych, aby w tej małej przestrzeni zrobiło się przestrzennie. Niech tu coś z nagłą zakwitnie, zawoła. Kot.

Tolo Szaleńczyk: Co, kot?

Tamara BeJot — Idę sobie po śniegu, a nagle pod prawą łydka widzę szarego kota w zardzewiałe prążki. Myślę, ojej, zamarzał, a to krata kanalizacyjna tak mi się ukazała, z ogonem zawiniętym pod brzuch. Czysta poezja pod prawą łydka. Niby nic. Idę sobie przez wiosnę, a tu mam pod pachami płytkie papierowe rulony, czerwone.

Tolo Szaleńczyk: Co to? Róże?

Tamara BeJot: Róże. Niby nic. A przecież poezja to pokojowa forma istnienia. Idę przez po-kojową przestrzeń i niech mi żaden oprych nie pali tu Rzymu ani nie rzuca mięchem.

Tolo Szaleńczyk: Sama rzucasz mięchem.

Tamara BeJot: Rzucam, ale to czyjeś wulgarne mięcho wzmaga moje piękne mięcho odwetu, dobrze o tym wiesz. Piotr Siemion na fb wrzasnął do mnie *spierdalaj*, to mu to odrzuciłam – *spierdalaj ty*. I jeszcze dodałam sowitą wiąchę. On był chamski i wulgarny. Bo tacy oni są, nasi pisarze. Jacy są, tak piszą. Wielcy mi oligarchowie.

Tolo Szaleńczyk: „Traktat o samotności” dedykowałaś Tolowi Szaleńczykowi, bohaterowi literackiemu kilku moich książek, które wysyłałaś do wydawców, ale bez skutku. Albo milczą, albo „gdzieś się im zapodział”. Właśnie Tolo Szaleńczyk wzruszył się niewymownie, istniejąc naprawdę. Rozmawiasz z podwójnym człowiekiem. Oznacza to, że znalazłaś swego bohatera we współczesnej literaturze?

Tamara BeJot: Tak. Oznacza więcej: dedykowałam kochankowi, którego utwory mogę czytać bez uczucia obrzydzenia. Stale natykam się na literackich bohaterów, którzy mówią dupą, jak w „Nagim lunchu” Cronenberga. Ich „dialogi” to stopy naćpanych pierdół w szczelnym kółku. Mówią, pogardzając kobietą. Taka to nowoczesność. Rzucanie mięchem, obłeśne porno, spisane z Internetu, i naćpana językowa sieczka. Lecą liczne „łelbeki”, z porno, spisany z In-

ternetu, i kobietą, która jest albo „starą dupą”, albo „młodą dupą”. I ta śmiertelna powaga. Tfu! Od kiedy rozmawiasz ze mną, dobrze znasz się na moich stanach wymiotnych. Nie musisz się ze mną zgadzać, ale się zgadzasz. I w końcu oboje jesteście bladzi, w stanach wymiotnych.

Tolo Szaleńczyk: I nasza rozmowa jest rozmową tragiczną w podstawowym sensie tego słowa, a nie prześmiewczym. Już czuję to.

Tamara BeJot: Znalazłam bohatera, w pełni tragicznego. Błady Koń jesteś.

Tolo Szaleńczyk: Nie mogłem odnaleźć się we współczesnej literaturze polskiej. Młody, „silny” wulgarny cwaniak to nie moja tożsamość. Zacząłem opowiadać przygody Błedego Konia – kogoś, kto jest mi bliższy. Potem pisałem „Filozofię dosłowną”. Moje życie jest tyle warte co życie mego bohatera. Walczy o siebie, budując swoje człowieczeństwo. *Jak mało*, cytuję twoją frazę, a w tych okolicznościach brzmi dramatycznie donośnie. A bohater to raz na zawsze Tolo Szaleńczyk. W każdej książce – on, w coraz to innych okolicznościach. Źle znoszę poniżanie człowieka przez popkulturę. Jest to obsuwanie człowieka w niemożliwy dół! To narusza moją ludzką godność. Amerykanie mają zapis w Konstytucji o prawie do szczęścia. Rosjanie – jakkolwiek nie byłaby wypaczana codzienność – mają konstytucyjną ochronę: prawo do osobistej godności. Autorzy naszej Konstytucji, podtruci przedwojenną i powojenną ideologią, nie dają mi takich praw!

Tamara BeJot: Przede wszystkim masz okazałe portrety kobiet. Bez mizoginii, paternalizmu. Są, jakie są. Pełne. To mi się spodobało. I poczucie humoru, pokrewne mi bardzo. Z tobą mogę się śmiać. Tragicznie. Dobry śmiech jest zawsze tragiczny. Zawsze na jego dnie jest dramat. U ciebie są wszystkie kobiety. Te piękne, te śmieszne, te zgrabne, te grube, młode i stare. Jak u Rilkego. I jak u Pankowskiego. Masz ich więcej niż Pankowski. Pankowski stale opisuje męską „bobrującą rękę” i przez rękę opisuje ich fizyczność, a ty opisujesz także to, co one mówią, co robią, co myślą. Wypełniasz ten okropny brak w polskiej literaturze, a wydawcy milczą. A nasza rozmowa też może się nie spodoba wielu, bo przecież chodzi o to, aby jedno napastowało drugie, a nie o pogaduchy. Ale czy to pogaduchy? Dialog położniczy, rodzący myśl, jest u nas nieobecny. Czy my się w nim sprawdzamy?

Tolo Szaleńczyk: Mamy dzieciątko? Chyba mamy. Kilkoro? Aha. Dziecko. U Rilkego pojawia się dziecko. I u ciebie. Dziecko jest nieobecne w polskiej współczesnej literaturze, ona jest pisana dla dorosłych, z zakazem wstępu dla dziecka, a bo musi być mięcho i obleśne porno. Mówiłaś, że to łatwizna.

Tamara BeJot: Bo to jest łatwizna. Arcydziałny Ajgi wciągał do poezji swoje dziecko, niemowlę. Nie przeszkadzała mu obecność niemowlęcia. To było wielkie. Wielkość autora. Wszyscy o tym zapomnieli, i o Ajgim zapomnieli. Widzę niemal, jak dziś autor ucisza dziecko, odpycha, wyrzuca, odrzuca, aby klecić swoje pięćset stron obleśnego porno i napakować tekst mięchem

macho. Brr! Dziecko ma pilnować autora, aby nie stawał się zły, przestępczy, oblesny, głupawy, pedofilski, bełkoczący, ćpający i chlejący. To łatwizna bycia, a raczej niebycia. Kobiety tak mają, matki, że nie chcą tej łatwizny. Nasi autorzy mężczyźni, ojcowie, są do bani z tym swoim kleczeniem utworów „dla dorosłych”.

Tolo Szaleńczyk: Kobiety też. Nie mogę czytać autorek, które są matkami, a które piszą oblesnie „dla dorosłych”. Rosjanie mają na to słowo: czernucha.

Tamara BeJot: To znaczy, że nie są dorosłe, dojrzałe, ale chcą być modnie rynkowe. Czernucha to jedynie malutka część literatury czy filmu. Czernucha męczy mnie i odmawiam udziału. Stale mam przy sobie dziecko, choć przecież nie mam małych dzieci, ale ono mi bez przerwy zagląda przez ramię i dopytuje się: mama, a co ty tam piszesz?

Tolo Szaleńczyk: Malutki Bóg?

Tamara BeJot: Malutka Bogini i Bóg Malutki. A nasz piszący tata musi się najpierw oblesnie naburdzić przy swoim biurku, oblesnie napornografic, a jak się już porządnie oblesnie naburdzi i napornografic, to z tobą pogada o ptaszkach i motylkach. A mamuśka musi mu dorównać, i też porządnie oblesnie się naburdzić przy swoim biurku, napornografic i tak dalej. Rozwojowe dialogi są zbędne. I mamy *hacacę*, bo to nam się nie podoba, a jak nam się nie podoba, to jesteśmy wrogami autorów i literatury. Ale tragiczna *hacaca!* Ściągną do nas starego konia Sorokina, bo prowokuje stosownie oblesnie, po machu-męsku, bo łatwo go wymaczyć na scenie, a nie tak łatwo wyrafinowanego Charmsa, którego teatralne kawałki trzeba zagrać po mistrzowsku. Na wierzchu jest pusty naćpany słowotok. Brr! Głębokie trzeźwe treści odczytują tylko dojrzały i dzieci. Starcy i dzieci. Łączą ich też chwile śmiechu. Od naćpanych słowotoków samych dorosłych natychmiast boli mnie głowa. Co robisz w swoich książkach z Charmsem? Bo coś z Charmsa masz? I dlaczego Charms?

Tolo Szaleńczyk: Charms jest taki, jak tytuł książki Kundery – „Nieznośna lekkość bytu”. Nie ma w Charmsie ideologii, a jest wszystko. Aburdalizm. Teatralność, ale nie poza, nie maska. Jest w nim dziecięca naiwność, ale nie infantylnizm. Ta dziecięca naiwność jest przekładalna uniwersalnie – na wszystko. Starcy i dzieci, mówisz? Wspólny śmiech? Coś w tym jest. Tarkowski tak mówił. Pisałaś o tym.

120

Tamara BeJot: Pisałam, powołując się na Tarkowskiego. Wszystkość. O tym mówią dziś naukowcy. To nie znaczy, że się wszystko wie. Chodzi o odporność na manipulację, bohaterkę naszych czasów, i chłonięcie sedna rzeczy i spraw. Przydatne w poezji. Twój „Leon i Nieleon” jest kontynuacją Charmsa. I „Skit”. Najbardziej „Filozofia dosłowna”. To koncentraty, więc lubię te książki. Nie znalazłam podobnych w polskiej literaturze. Są bliskie poetyckim koncentratom. I wystarczająco surrealistyczne. Podsunęłaś mi rozmowę z Agnieszką Taborską w „Gazecie Wyborczej” o surrealizmie. Istotna rozmowa w Polsce bez surrealizmu.

Tolo Szaleńczyk: Ona mówi o tym, że nie było surrealizmu kobiet. W nim kobieta miała być tylko mużką.

Tamara BeJot: O, właśnie, tym bardziej chcę mówić. No i surrealistyczne spektakle Piny Bausch przesłoniły tę żeńską nieobecność, i to jak! Nic, ale to nic po Pinie Bausch nie jest w stanie mnie wciągnąć, a zwłaszcza zgrabna, pusta, teatralna komercja.

Tolo Szaleńczyk: Coś mi się nasunęło o poezji. Trzeba w niej mówić pełnym głosem, a nie szeptać, „wyciszać się”, aby się ktoś nad nią „pochylił”. Co sądzisz o tych wytrychach słownych?

Tamara BeJot: A co mam sądzić? Głupie to. Nie da się szeptać Szymborskiej ani Miłosza. Mówię pełnym głosem. Kiedyś w naszym teatrze obejrzałam spektakl złożony z wierszy Szymborskiej. Recytowała je pełnym głosem niemłoda aktorka. Nad tomikami nie „pochylała się”. Ten zwrot jest pusty, durny. To był najpiękniejszy spektakl, jaki kiedykolwiek obejrzałam. Chciałabym, aby tak zagrał w teatrze mój „Traktat o samotności”. Ech, marzenie. Stworzyłam „Traktat” i mam *hacacę*.

Tolo Szaleńczyk: Może jednak, gdybyś poszła do teatru z prośbą „zagrajcie moje wiersze”, to by?

Tamara BeJot: Żadne „to by”. Pozostaną głusi. Może młodzi „zrobią mnie” w małych formach teatralnych. Zresztą to się już staje. Z poezją jest tak, że określa ją powolne docieranie. To powolne docieranie dokonuje się zbyt często po śmierci autora. Po śmierci autorki tak nie jest. Autorka zostanie wymazana.

Tolo Szaleńczyk: Nie zawsze.

Tamara BeJot: Nie. Ale mechanizm wymazywania jest silniejszy. Sur mi się znowu śniło, dość infantylne: jestem groch, więc wołam och. Groch ten poetą był, ograniczonym do okrągłego szlochu. Potem piękny barwny ptak robił wykład o muzyce: my, ptaki, mamy tylko naszą ptasią muzykę, a człowiek może mieć każdą, i muzykę ptasią, i muzykę rzeki, i kamienia, i wiatru, bo wynalazł instrumenty. A człowiek śmie mówić do ptaka: zamilcz, bo nie musisz się znać na tym, co ja za ciebie wykonam. A ja, ptak, odpyskowałem człowiekowi: nie zajmuj się tym, co ja robię lepiej.

Tolo Szaleńczyk: Daj mi to, przerobię na opowiadanie.

Tamara BeJot: Bierz. Jeszcze wykład o upadku komuny śnił mi się. Profesor znajdował się w doniczce, rósł jak kwiat, kwitł, a to działo się w animacyjnym przyspieszeniu, i wykladał: nadprodukcja to taka sama patologia jak komunistyczny niedobór. W kulturze niedobór wielkiego dzieła rozwija głód poszukiwania, a nadprodukcja – ucieczkę. Nadprodukcja to gorsza

patologia. Przejmujemy cudze patologie, ciesząc się z nadprodukcji. Jest w czym wybierać? Nie, bo wybieranie zajmie nam lata i nic nie znajdziemy.

Tolo Szaleńczyk: Profesor w doniczce to powiedział. No to poszukujmy profesorów w doniczkach.

Tamara BeJot: I profesorek w damskich doniczkach. Tamta ze snu była męska.

Tolo Szaleńczyk: Jak to, męska, damska?

Tamara BeJot: Tak to. Męska była pękata, a damska smuklejsza.

„Miasto pysków” – „mimo tenisa” w dobie Boga Kuzi

Znowu ja, **Tamara BeJot**, mówię do **Tola Szaleńczyka**: Zróbmy nową rozmowę połoźniczą, tym razem na temat: „przywrócić greckość”, co? Bo Europa traci greckość, czyli precyzję i uczciwość myślenia, na rzecz mafijnych ciemnych i mętnych układów, kręactwa, wykluczania. Odzywa się straszny podział – my lepsi i oni podludzie. Do tego weźmy temat „wojna”. Chyba weźmy oba tematy do jednej rozmowy. Skoro przerzucamy się cytatami z Arystofanesa i czujemy się przez to w pełni ludźmi, wolnymi i z wolnością słowa, to dlaczego by nie porozmawiać o tym, co dziś podlega mętnej propagandzie i jest nieludzkie? Gościem naszej rozmowy będzie osobowość starożytna. Witaj, Arystofanesie! Na wstępie powiem, że nie czuję mizoginii Artystofanesa. Bo co, bo w sztuce „Sejm kobiet” kobiety, dokonawszy zamachu stanu w sprzeciwie wobec prowojenności „mężów”, na koniec biją się o kochanka? To nie mizoginia autora, tylko rzeczywistość, boleśnie aktualna. Nie świadczy to ani o wolnej kobiecie, ani niewolnej. Długo trwały spory, czy autor był mizoginem, czy feministą. Przecież on przedstawia diagnozę kultury patriarchalnej, to znaczy ciężki kryzys tej kultury, kiedy wojna zastępuje i hamuje demokrację! Ja go uważam za feministę. Sztuki tego autora są dyskusją publiczną, ważną i dziś, i to jest to. Wyjmę sztukę „Bojomirę” z historii, bo nadal stanowi ważną dyskusję. Utwór ten jest ważną dyskusją. I więcej, potraktuję bohaterkę utworu jak realną osobę, wyjmę ją z utworu. I ustawimy ją pomiędzy nami.

122

Tolo Szaleńczyk: A jak mężczyźni bili się o Helenę, to było w porządku? Bijatyka mężczyzn o kochankę dopełnia symetrii marginesu. Bicie się o kochankę czy kochanka to przecież margines ludzkiego zachowania się. To nie stanowi normy. Chętnie przedstawiamy to jako normę w życiu kobiety. Nie dotarła do nas Bojomira.

Tamara BeJot: No właśnie. Poza tym nie można udzielić kobiecie głosu jak nieskazitelnej lalce. Nie jest bez wad i bez grzechu.

Tolo Szaleńczyk: Zadajmy na wstępie pytanie: dlaczego tak łatwo nam wywołać wojnę? Skoro jesteśmy chrześcijanami, to dlaczego na tak żyzny grunt do rośnięcia dobra tak łatwo padają słowa o gorszości innych? Dlaczego nam się od tego robi tak błogo, że innych uznajemy za gorszych? Ci inni ustrój mają gorszy, kulturę gorszą, gorzej jedzą, ciężiej pracują niż my i to za marne pieniądze, i tak dalej. Bardzo łatwo znajdujemy kozła ofiarnego w postaci innego narodu i jego kultury. Może nasza kultura wcale nie jest taka atrakcyjna. Jeśli stawiamy ponad kulturę zysk finansowy, to skąd to nasze zdziwienie z domieszką pogardy, że ten zysk okazuje się atrakcyjny dla uchodźców? Jeśli nie istnieje inny zysk w naszej kulturze? Tylko taka atrakcja – pieniądź? Tak łatwo poniżać potem uchodźców, oskarżając, że pchają się do nas tylko po nasze pieniądze i nie mają innego powodu do ucieczki z ojczyzny, stawianej przez nas w ogniu wojny. W każdym razie: dlaczego tak łatwo nam wywołać wojnę?

Tamara BeJot: Ja tak nigdy nie czułam, że ktoś jest gorszy z powodów pochodzenia czy innej kultury. W domu nie było wychowania w nienawiści do innych narodowości i ogólnie do innych. Ciągłe słyszę nawołujący głos matki, ten nasz język prosty w jej ustach: *a ty ni krycikuj druhich za jakijas puściaki*. Puściak to byle powód. *Puściaczyna*: takim słowem matka określała głupie czynności. *Zanimajaszsa jakojus puściaczynaju*. *Krycikuj za siaryjoznyja sprawy*. Matka sama krytykowała, waląc zarzuty prosto z mostu, aż komuś w piętę poszło, i mnie też wiele razy, i teraz z za grobu dopada mnie i krytykuje. Krytykowała indywidualnie, a nie zbiorowość. Za pijaństwo, za złodziejstwo i za głupi patriotyzm, polegający na krytykowaniu innych narodowości, bo nie mają naszej i naszego wyznania. A mnie rugała za pyskowanie do niej. I słusznie. Z za grobu ruga mnie poprzez moje sumienie. Uznawała się za Białorusinkę. Jeśli tylko usłyszała: *może pani jest ruska?*, odpowiadała natychmiast: *a jak ruska, to co? No co?* Matka miała wielką godność charakteru i natychmiast zrywała wszelki kontakt z osobą, która czepiała się jej narodowości, jakby to było przestępstwo. *Pusty i ũredny czalawiek*. *Na szto mnie pustyje i ũrednyja ludzi? Jon taki lepszy? Ni lepszy*. Jeśli ktoś do nas przyszedł i zaczął rzucać mięchem dla samego mięcha, matka rzucała jednym słowem: *wymatywaj!* Bo wprowadzał brzydotę do jej domu i wojnę. Uważała, że skoro rzuca mięchem, to z kimś walczy, to jest w stanie wojny. Na twoje pytanie na razie nie mam odpowiedzi. I chyba pytanie pozostanie pytaniem. Może rozmowie dam tytuł: „Dlaczego”? Bardzo dobry tytuł. Co? Dobry? Może „Miasto pysków”? Arystofanes tak określił kryzysową sytuację prowjoennego patriarchyatu w Helladzie.

Tolo Szaleńczyk: Dobre są oba tytuły. Tylko mamy za małą wiedzę i o greckości, i o współczesnych wojnach. Może być „Miasto pysków”. Obecnie każde miasto to miasto pysków. Tylko że te pyski nie rozważają problemu, ale wyrzaskują światopoglądy polityczne, a to ułomność intelektualna. Wojna to propaganda wojny jedynie słusznej strony, a to też ułomność intelektualna. Za mała nasza wiedza w tej sprawie. Media nie podają faktów. Nasza mała wiedza nie będzie naszą ułomnością, jeśli tylko oprzemy się na „Bojomirze”, bo ona przemawia pełnym głosem współczesnym – tak to ujmijmy.

Tamara BeJot: No to mamy wystarczającą wiedzę w postaci tego starożytnego kufra, pełnego proroczego, przejmującego, głośnego myślenia Bojomiry, aby stworzyć rozmowę położniczą z kobietą w tle. Ta kobieta wystarczy, aby stała się naszą wiedzą, niekoniecznie rozwlekłe erudycyjna w złym współczesnym znaczeniu, że wywijamy nazwiskami celebrytów i tylko tyle z tego wynika, że nimi wywijamy. To nie jest erudycja. To ułomność intelektualna. To jaki tytuł? „Dlaczego?” czy „Miasto pysków”?

Tolo Szaleńczyk: Postanowimy na końcu rozmowy. Jeden Arystofanes jako źródło cytatów i honorowy gość nam wystarczy? Robimy małą rozmowę położniczą z jednym starożytnym gościem? Mało nas. Nawet z potężną Bojomirą jako główną postacią mało nas.

Tamara BeJot: Tak. Mało. Jeden gość, jedna Bojomira tego gościa. I wystarczy. Bo mnożą się pytania w związku z tym gościem honorowym i jego Bojomirą. Jakże to tak, że u Arystofanesa więcej myśli i wolnomyślicielstwa niż u jakiegokolwiek dziś modnego pisarza? Jakże to tak, że w jego tekstach wyczuwa się potężne oparcie się o demokrację i właśnie wolność słowa, a dzisiaj tego nie ma u żadnego modnego pisarza? Jakże to tak, że w jego sztuce „Bojomira” kobieta mówi pełnym głosem z pełną myślą i o sprawie pokoju, a dzisiaj musi potakiwać mordercom i w realu, i w książkach, i w dyskusjach? Mamy demokrację i wolność słowa, a mam wrażenie, że to znika. Nie, to nie wrażenie.

Tolo Szaleńczyk: Uściślijmy: posługujemy się tłumaczeniem Artura Sandauera i Stefana Srebrnego.

Tamara BeJot: Bardzo dobrze, że Stefan przetłumaczył grecki tytuł „Lizystrata”, stanowiący żeńskie imię, na słowiańską „Bojomirę”. Toż to wezwanie do Słowianek, jakże nośne do dziś. Weź ten cytat z „Bojomiry”:

Probul: *Tych pieniędzy nam trzeba na wojnę!*

Bojomira: *Ale w o j n y nie trzeba!*

Tolo Szaleńczyk: Mnie się bardziej podoba „Lizystrata”. Chociaż rzeczywiście „Bojomira” stanowi wezwanie do Słowianek, jakże aktualne. Może i dobrze, że takie imię zabrzmiało. A cytat porusza. Donośny, jakby to dziś napisały wolne kobiety.

Tamara BeJot: Dlaczego tak łatwo wywołać wojnę – pytałeś. Bo bardzo łatwo uwierzyć w Boga Kuzię.

Tolo Szaleńczyk: A. To. Cha, cha! Bóg Kuzia objawił się w Rosji. Nie do uwierzenia. Jakiś tam muzyk z głupawą mordą ogłasza się Bogiem Kuzią, organizuje sektę, wydziera z ludzi duże pieniądze, uprawia seks sakralny z głupawymi cipkami, które mu tabunami leżą *mu* do jego kuziego łóżka. O, matko! W końcu wsadzają go za kraty. Ponadto to ponoć pedofil.

Tamara BeJot: To może dać tytuł „Bóg Kuzia”?

Tolo Szaleńczyk: Nie, bo o Boga Kuzię zaczepiamy marginalnie. To nie on będzie bohaterem rozmowy, ale Bojomira. Ona by nie włąziła do łóżka jakiegoś Boga Kuzi! Ona by od razu śmiała się do rozpuku z powodu samego imienia – Bóg Kuzia! I ten rozpuk Bojomiry stałby się odpowiedzią na pytanie: czy Bóg może nazywać się Bogiem Kuzią! Niech ten Bóg Kuzia będzie synonimem łatwizny, łatwej wiary, łatwego pokładania się cipek w łóżku Boga Kuzi, łatwego głosu. Mówmy o trudnej Bojomirze.

Tamara BeJot: Dobra. Umieszczamy w tle Boga Kuzię i wszystkie cipki Boga Kuzi.

Tolo Szaleńczyk: Powtarzasz to z lubością, Bóg Kuzia, Bóg Kuzia, i tarzasz się ze śmiechu. Ja też się tarzam.

Tamara BeJot: Bo to jak dowcip, a nie fakt. Bóg Kuzia!

Tolo Szaleńczyk: Ale już nie tarzajmy się. Rozmawiajmy o Bojomirze i dajmy jej się wygadać, a to kobieta odważna i z rozumną aktualną jadaczką. Przyznaję, że trudno przejść od Boga Kuzi do Bojomiry, bo rozbolały nas brzuchy od śmiechu. Oto w XXI wieku objawia się Bóg Kuzia. I kobiety biegną do niego, aby się pokładać jak durnowate kurki.

Tamara BeJot: Dobrze. Próbuję powagi. Kłótnia Bojomiry z prowójennymi „mężami”, jej stanowcza i zdeterminowana walka z zachcianką wojny ze strony tych wszystkich „mężów”, których pełno wokół i na górze, jest jej głośnym i słyszalnym głosem w imieniu wszystkich kobiet. Autor słowo „wojna” napisał rozstrzelonym drukiem. Teraz ja rozstrzelę druk, zapisując rozmowę: to był głos w s z y s t k i c h kobiet! Krzyczę to: w s z y s t k i c h ! Bojomira, wojownicza o pokój przeciw wojnie „mężów” o byle duperele, krzyczy, że wojna „mężów” niszczy życie, które dają kobiety. Niszczy to, czym kobieta się zajmuje: organizowaniem życia pokojowego. Niszczy dom i domowe życie. I żąda od mężczyzny, aby zajął się tym, czym pogardza, na przykład przedzeniem. I tłumaczy, że korzystając z kobiecej leksyki, można w sekundę ośmieszyć i zażegnać wojnę o duperele, jako nieprzemyślaną zachciankę. Na przykład kobieta wie, jak rozplątać nici, i przynagla „mężów” do rozplątania konfliktu, aby uniknąć niepotrzebnej wojny. Bojomira i wszystkie kobiety wystąpiły przeciw II wojnie peloponeskiej, czyli wojnie domowej w Helladzie. A o co chodziło? O rywalizację prężnych ośrodków w ojczyźnie i utrzymywaniu wojny pomiędzy nimi. Wszystkie kobiety są gotowe bronić pokoju w ojczyźnie, rozplątywać, co poplątane. Nie dla wojny domowej! Dla tego okrzyku warto wyjąć Bojomirę z utworu i pojmować ją jako rzeczywistą dzisiejszą postać.

Tolo Szaleńczyk: I „mężowie” ją wyśmiewają za babskość leksyki i czynności, wszak mówi o przedzeniu, a to takie babskie. Jednak ona pozostanie nieustępliwa. I tak samo wszystkie kobiety. Rzeczywiście tylko postawa wszystkich kobiet zmieniłaby rzeczywistość. Ty ciągle

mówisz, że dziś kobiety mają prawa wyborcze, ale ciągle znajdują się pod butem patriarchy i nie są wolne nawet jak Bojomira bez praw wyborczych. No ale skoro dziś część kobiet pędzi do łózka Boga Kuzi...

Tamara BeJot: Znowu wylązi nam Bóg Kuzia? *Ciapier nam horsz, bo majam wolu tolki na papiery, ta czaho bolsz choczam.* Wolność tylko na papierze? Bezrobotna i bezdomna kobieta nie jest już kobietą. Jest najgorszym odpadem. Nie strzeże nic. Przecież kobieta to straż. Za dużo takich żeńskich odpadów, niemających siły na strzeżenie tego, co do nich należy: domu jako pokoju. Wynędzniałe emerytki ze spalonego domu czy z wydartego przez mafię. Handel żywym towarem w Europie. Wojny domowe w Europie, rozniecane przez durnia. Siatki pedofilskie. Oto „mężowie”. *Ci my możam lepij mieć z takimi samymi muzykami, jakija staŭlalis tabu-nami wakoł Bojomiry? Hetaż tyja samyja muzyki! Jany zmianicca ni choczuć.* „Zmieniają się”, a jakże. W mafijne bandy. *Zrabić tak, kab dobry mužyk siadzieŭ cicho. Pawyhaniać ludziej z chataŭ.*

Tolo Szaleńczyk: Ja widzę, że kobietę przesłoniła walka o prawa mniejszości seksualnych. Ona ma mniejszą pensję, niższą emeryturę, ona jest zwalniana z pracy za ciążę, ona w kulturze jest ciągle spychana na miejsce podrzędne, ona ma przyjąć manipulacyjny dyskurs męski. Cóż znaczą krzyki o prawa homoseksualistów przy takiej sytuacji kobiet? To przesłania podrzędność położenia kobiet. O kobiety nikt tak nie krzyczy. Ich krzyk jest wyciszany.

Tamara BeJot: Mam to zapisać?

Tolo Szaleńczyk: A dlaczego nie? Przecież tak jest.

Tamara BeJot: To kolejna manipulacja patriarchy. A ty jesteś niepoprawny politycznie.

Tolo Szaleńczyk: Sama pogardzasz poprawnością polityczną. Poprawność polityczna nie powoduje zmiany na lepsze. Utrwała hipokryzję.

Tamara BeJot: Dla mnie ważne jest, co kto mówi, a nie cielesność i seksualność ponad rozumem homo czy hetero. Dzisiaj część kobiet przeszła na stronę zabijających facetów. Razem dyktują warunki wojny, obcą im egzystencję. Bojomira każe milczeć mężczyźnie, bo już dość nazabijał się w niepotrzebnych wojnach, niezależnie od tego, czy jest hetero, czy homo. Te słowa prowadzą wprost do znakomitego Rilkego, do jego słów: *Mężczyzna niech milczy, wstrząśnięty.* I prowadzą też do Brach-Czajny, do jej esejów o „krząctwie” domowym, pokojowym, a treść jej esejów jest tak mocna, tak poruszająca, że z nich wyrosła potężna gałąź sztuk plastycznych, tworzonych przez kobiety. One w plastyce mówią pełnym głosem, i pokazują nam szczegół domu, w którym żyją. Jeszcze mają dom. Jeszcze cieszą się z życia w domu. Jeszcze mają pokój w ojczyźnie. Ze słowami Bojomiry, z jej wołaniem o obecność w głowie mężczyzny żeńskiego życia i o obecność leksyki dotyczącej żeńskiego życia, wprost kojarzy się książka Brach-Czajny „Błony umysłu”. Autorka woła o miesięczkę w głowach mężczyzn, aby następo-

wało oczyszczanie się umysłów z gnijących błon. Krew miesięczna jest błogosławionym dobrem, a krew wojny ewidentnym złem, nie do naprawienia, bo życia ludzkiego nikt nie jest w stanie zwrócić ani nikt nie ulży życiu pokaleczonych na wojnie dzieci. Według Brach-Czainy trzeba rozciągnąć leksykę, dotyczącą egzystencji kobiety, na przestrzeń myślicielską i społeczną, a część męskiej leksyki usunąć z oglądu świata, bo gloryfikuje przestarzałą przemoc wojenną jako sposób na życie. Nikt nie słyszy? Nikt nie chce słyszeć. Mnie słyszeć nie chcą. Jestem grecka w rozmowie. Chcę pozostać taka. Zobacz, już wtedy leksykę żeńskości naciągano na sedno, na dialog, a jeśli był istotny, to nazywano go położniczym. Zły mężczyzna łązi po świecie z gnijącymi błonami umysłu i roznieca wojny o byle duperele, i urządza łapanki na kobiety, które mu w tym pomogą. Śmierdzące głowy „mężów” rozporządzają naszym jedynym światem i jedynym życiem, jakby to była ich własność.

Tolo Szaleńczyk: To ja znowu czytam „Bojomirę”, słuchasz? I ciągle nawiązujesz do Brach-Czainy. Nasza Bojomira?

Tamara BeJot: Bojomira nasza. No przecież słucham. Czytaj, słucham, aż w uszach mam autostradę do słuchania. Nawet dwa razy czytaj to samo. Jedźmy. Lubię dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu.

Tolo Szaleńczyk: No to trzask. Jazda. Czytam:

Probul:

*Wrzecionami, wełnami, kłębkami – o głów
nieuczonych tępoto! – wybawić
chcecie kraj z takiej biedy?*

Bojomira:

*A tak! Gdyby wam
w waszych głowach nie brakło rozumu,
wedle tych naszych wrzecion i kłębków, i wełn
państwem byście rządźili, głowacze!*

Probul:

Co takiego? Co? Jak?

Bojomira:

*Jako z wełny się brud
płucze w łaźni, tak trzeba by naprzód
z wszystkich brudów i plugastw wyplukać ten kraj;
potem kijem z nicponiów wytrzepać,
z kolców, z cierni starannie oczyścić i tych,
co się w kołtun zbijają, co kupą
za urzędy czepiają się chciwie, by kraść,
bez litości wyskubać, wyczesać,
wygręplować, a co nie ustąpi, to precz*

poobcinać i rzucić do śmieci.

[...]

Bojomira:

[...] – *potem uwinąć z całej wełny kłęb i tkać nową szatę, płaszcz nowy dla ludu.*

Tamara BeJot: Czytaj dalej, nie będzie to cytat za długi, bo zastąpi współczesne mętne głęzienie. Niech to przeczyta jak największej osób, niezapoznanych ze sztuką grecką. Niech chociaż trochę umysły zyskają równowagę poprzez dotyk słowa człowieka wolnego, żyjącego w demokracji, gdzie protest wyrasta z ludzkiej racji o ludzką twarz systemu, gdzie należy coś poprawić i to się robi. No niech chociaż o milimetr podskoczą, czytając fragmenty wiekowego tekstu, a dotyczącego nas tu i teraz.

Tolo Szaleńczyk: Czytam następny fragment:

Probul:

*Patrzcie! Widział to kto? Wojnę czesać i przuć
w kłębki zwiajać zachciało się babom!
Co wy macie do wojny? Nie babska to rzecz!*

Bojomira:

*Właśnie babska, przeklęty dziadygo!
Brzemię wojny podwójnie przychodzi nam nieść,
bo to my przecie synów rodzimy [...].*

Tamara BeJot: Kobiety w czasie II wojny światowej wyszły w Niemczech na Rosenstrasse, aby tam stać, stać, wołać do nazistów: oddajcie nam naszych żydowskich mężów. Akcja kobiet była skuteczna. Był to pokojowy nieustępliwy protest niemieckich żon, a żaden z niemieckich żołnierzy nie odważył się do nich strzelać, choć od tych strzałów było o krok. I one to dobrze wiedziały. Pisałam o tym w „Restauracji strasznych potraw. Rozprawie gardłowej”. Pisać to ja sobie mogę. I powtarzać tu sobie mogę. Do woli. Bez rozumnych reakcji. A na Ukrainie wyszły na ulice matki i żony, wołając: nie posyłajcie naszych synów, braci, mężów na bratobójczą wojnę, i co? Nic. Pokazywano je w telewizji z ironią, z uśmieszkiem, bo to jakieś tam baby, może nawet „prorosyjskie”, słowem „separatystki”, więc co komu po nich. One założyły ruch o nazwie „Antywojna”. Gdzie to jest w mediach? Mnie wypchną z mediów, bo o tym mówię. Nasze telewizje nie pokazują tych antywojennych protestów Ukrainek. W rosyjskiej telewizji pokażą tylko migawki.

Tolo Szaleńczyk: Znowu mówisz o Rosenstrasse?

Tamara BeJot: Znowu. A dosyć? Toż to należy trzymać w głośno mówionej pamięci. Historia to musi być głośno mówiona pamięć.

Tolo Szaleńczyk: Głośno mówiona pamięć? Tu? No to głośno czytam jeszcze fragment z „Bojomiry”:

Chór starców:
*Nie fraszka to –
 widzę – ten tu babski bunt [...].*

Tamara BeJot: Dziś babskie bunty to właśnie „fraszka”. Nikt nie bierze ich poważnie, bo część kobiet zdradza własną pleć na rzecz prowojennych gorących głów i martwych serc, i to one są widoczne. Biorą w ręce karabin w wojnach domowych, stając po stronie bandytów różnych mafijnych stron. Babska wolność, co? Moja nadzieja na masowy protest kobiet przeciw wojnie, wojnom jako takim, to płonna nadzieja, bo mamy terror wyciszania babskiej straży. Sztuka Arystofanesa „Bojomira” współgra z „mironosicą” we wschodnim chrześcijaństwie. Według dzisiejszych bandziorów to kacapia wiara, więc trzeba bombardować cerkwie i wszystkich kacapów, bo to kacapy. *Kudy wy papadziawalisa, maje mironosicy? Czamu ni stacie dzień i noc z pratestam, jak stajali niemieckije baby na Rosenstrasse?* Wojny były obronne, łupieżcze i domowe, a te ostatnie to najwstrętniejsze z wojen, i łupieżcze też są obrzydliwe. Teraz są same łupieżcze i domowe. Obrzydliwa rzeczywistość w Europie. Kobiety w sztuce „Bojomira” odmówiły łoża mężom, dopóki nie będzie pokoju. Mężowie utrzymują stan wojny, bo inaczej nie będą mieli wroga, nie będą mieli z kim się użerać ani kogo zabijać i okaleczać. Tak się tłumaczy Bojomirze. A kobiety miały dość. Czytaj następny fragment, skoro jesteś już moim zaufanym aktorem. Można się pośmiać z „mężów”, odstawionych od łoża przez wszystkie kobiety – wszystkie bez wyjątku. Śmiejemy się? Czytaj poprzez nasz śmiech.

Tolo Szaleńczyk: Czytam poprzez twój i mój śmiech:

Tryk:
 [...] *Cóż się tak odwracasz?
 Cóż tak ten płaszcz do przodu pchasz? Może ci
 z drogi spuchło tam co?
 [...] toć przecie... sterczy ci, łajdaku! [...].*

Czytam to i śmieję się. Wtedy odsunięcie od łoża przez wszystkie żony skutkowało takim całodobowym sterczeniem ptaka pod płaszczem. Harold się skarży, czytam:

*Ciężko: łazimy po mieście
 zgięci, jak ze świecami na wietrze... Kobiety
 ani tknąć nam nie dadzą swojego specjału,
 póki w całej Helladzie, jak szeroka, wszyscy,
 jak jeden, jednym głosem nie zrobim pokoju [...].*

Tamara BeJot: O, widzisz różnicę na niekorzyść współczesności? Dzisiaj nie ma wspólnej żeńskiej sprawy. A na wojnach żołdactwo gwałci kobiety. A potem wracają do żon? Do matek? Do siostr? Mój Boże, skąd się biorą kobiety, które przyjmują powracających do domu wojennych gwałcicieli! Wszystkie co do jednej kobiety na naszej planecie powinny wystąpić przeciw

wojnom domowym, produkującym wojennych gwałcicieli. Giną niemowlęta, malutkie dzieci. Giną młodzi synowie, siłą wysyłani, aby zabijali w wojnie domowej swoich braci. Ukrainki się drą: nie chcemy! Nikt nie chce słyszeć głosu kobiet. W polityce i wojsku pełno bab, którym obojętny los innych kobiet. Opiekunki wojennych gwałcicieli i morderców dzieci, psia mać. Oto jak się odbiera kobiecie poczucie wolności, a zarazem jakoby tę wolność daje: zabijaj, jak my. Podzielić kobiety, skłócić, uczynić wyznawczyniami neonazistów czy innej bladzi.

Tolo Szaleńczyk: Jest następne pytanie: czy model naszej cywilizacji, tej zwanej zachodnią, jest szczerzy w sensie: czy nie jesteśmy jedynie hipokrytami? Ceny same pozytywne strony naszego modelu ustrojowego, ale nie widzimy zjawisk haniebnych. Wolno nam sprzedawać wszystko i wszystkim, bo pokój, bo demokracja, ale nie widzimy sedna sprawy, a nie widzimy tego, że się tak wyrażę – bardzo starannie. Przecież u nas są sprawy, które nie należą ani do demokracji, ani do pokoju, jak na przykład handel bronią, co tym niby-demokratycznym i niby-pokojowym państwem przynosi kolosalne dochody, jak Niemcom czy USA! Jednych po cichu uzbroimy, drugim narzucimy sankcje gospodarcze i embargo na dostarczanie broni, ale to tylko na jakiś czas. Za chwilę uzbroimy obie strony konfliktu, trzecie i czwarte strony konfliktu, i dzięsiąte. Zwróć uwagę: taka postawa nie jest ani szczerza, ani otwarta, tylko wygodna. Choć nas to uwiera, to zachowujemy wszelkie pozory dobrego moralnego człowieka. A więc hipokryci do bólu.

Tamara BeJot: Wielokrotnie o tym pisałam, no i zostałam czarną owcą, białą wroną, i kim tam jeszcze. Jest jeszcze coś, co mnie nokautuje, coś takiego: jesteś Białorusinem, to musisz źle mówić o białoruskości, wstydić się jej i języka prostego, i niedawnej biedy, i tak dalej. Będziesz miał łamy i media. I druga sprawa: jesteś Rosjaninem, to musisz źle mówić o rosyjskości, zarzucać brak europejskości, i w ogóle, wszystko tam złe, i znowu masz łamy i media. Te dwie postawy po upadku komuny są żalotne, bo omijają skomplikowane sprawy, które należy przedyskutować. To nie są czarno-białe sprawy. I doszła sprawa trzecia: jesteś Ukraińcem, to musisz wyrażać się o ukraińskości w samych superlatywach, choć tamtejsza wojna domowa to powód do ukraińskiego protestu i ukraińskiego wstydu, i do europejskiego protestu i europejskiego wstydu. Ale nie. Trzeba się wyrażać źle wyłącznie o Rosji, i dodać do tego same złe słowa o Białorusi, i gloryfikować ukraińską wojnę domową. Hipokryzja do potęgi entej. I jak mówię, jedynie matki i żony ukraińskie wyłamały się z tej hiperpoprawności hipokrytów. Wychodzą na ulice, drą się o życie synów i braci, o swoją żeńską egzystencję, wolną od zbędnej wojny, o niezrujnowany bombami dom. Dom oznacza: tu musi być pokój. Sam dom jest pokojem. Nikt nie chce słyszeć. Chwała wam, współczesne Bojomiry!

Tolo Szaleńczyk: Przeczytam jeszcze fragment ze sztuki „Osy” naszego gościa rozmowy, Arystofanesa, to tak w ramach luzu i lekkiej zmiany tematu:

Pierwszy półchór:

*Dziś łabędzią
srebrzy mi się bielą włosów...*

*Lecz i tych ostatnich starczy,
by się duch młodzieńczy zbudził:
więcej, myślę, starość moja
warta, niżli młodych
złote włoski, drobne kroczi
i szeroki luźny zad.*

Tamara BeJot: O, matko. Powiedz podobnie dziś, to ktoś na obrażonych uczuciach popędzi do sądu! Powiedz, że ten *szeroki luźny zad* ma znaczenie seksualne i modny jest, a w mig zostaniesz obity. Starożytność była dowcipna, myśląca, autoironiczna, odważna. W stosunku to płci pierwszej, drugiej i trzeciej.

Toło Szaleńczyk: Młodych *szeroki luźny zad*. Taka zmiana warty. Zaraz się będziemy z tego śmiać jak z Boga Kuzi! *Więcej starość moja warta...*

Tamara BeJot: Dziś upadła rozmowa między starymi i młodymi. Jedno słowo krytyki pod adresem kogoś młodego skutkuje nienawiścią na wieki wieków. Bez dialogu starzy/młodzi ludzie przestaną się rozwijać. Bojomiro/Lizystrato, wróć i użyj swojej nieustępliwej jadaczki w każdej złej sprawie. A co nam się urodziło? Jaka sprawa znalazła odpowiedź? Nie mamy nic prócz przytaczania starożytnych słów. Jednak jaka rozkosz poobcować z umysłem! Jaki żal, że spalono Bibliotekę Aleksandryjską! Tam się rodził feminizm. Tam była doceniona genialna Hypatia. Jeszcze większy żal, a właściwie krzywda, że chrześcijaństwo przez wieki utrzymywało niewolnictwo, analfabetyzm i mizoginię! Jeszcze większy żal, że w Europie w nowej wojnie domowej chrześcijanie różnych konfesji kreślą na piersi ten sam wschodni znak krzyża i zabijają współwyznawców! I palą cerkwie. Hańba, „mężowie”! Urodziliśmy nam w tym dialogu położniczym tylko żal i krzywdę. Kiedy umiera w nas starożytna Grecja, nic się nie toczy, jak powinno. Umiera wolność i demokracja. Witaj i żegnaj, Bojomiro! Zaimponowały mi ukraińskie matki i żony, ale co z tego, skoro media odwracają się do nich dupą? Ich uliczny ruch „Antywojna” wiąże się wprost ze starożytną sztuką „Bojomira”. Nie mają jednak dziś swego Arystofanesa, który otworzyłby im usta. Przecież ich protest jest ukraińską demokracją. Biedne. Lekceważone.

Toło Szaleńczyk: Ja jeszcze miałem greckość w liceum. Trzeba było wiedzieć, kogo ze starożytności przytaczają romantycy w poezji, jakich bogów, jakie duchy. I człowiek zgłębiał siłą rzeczy grecką starożytność i to pozostawało w pamięci. Dziś mało kto sięgnie do swojej pamięci jak do Hellady i na nowo zacznie czytać Arystofanesa czy greckich filozofów.

Tamara BeJot: Ja też miałam wykształcenie greckie. A dziś co? Greckość zastąpiona przez tandetną popkulturę, propagandę, poprawność polityczną?

Toło Szaleńczyk: Chrześcijaństwo miało być religią pokoju.

Tamara BeJot: Właśnie. Jeszcze większa krzywda nam się urodziła z połoźniczego dialogu: chrześcijanie zabijają chrześcijan. Z drugiej strony: dźihadyści zabijają chrześcijan w krajach muzułmańskich.

Tolo Szaleńczyk: Pokojowość chrześcijan trwała krótko.

Tamara BeJot: A jak to naprawić? Jak naprawić chrześcijaństwo? A islam jak? Przecież islam to też pokój. To jak to jest, że w podstawie, w statusie obie religie są pokojowe?

Tolo Szaleńczyk: Obie „niosą pokój”!!! Tak miało być.

Tamara BeJot: Kobiety miały być wolne i słyszalne. Arystofanes czyni je takimi przecież. Jest mi obojętna odpowiedź na pytanie, „czy on był mizoginem, czy feministą”, bo czynił kobietę słyszalną. Przewija się u niego podstawowe pytanie: a co na to powiedzą kobiety? A gdzie dziś to pytanie?

Tolo Szaleńczyk: Takie pytanie, a zatem i wysłuchiwanie żeńskiej opinii nie istnieje. Istnieje pozornie. Sam to czuję. W mediach rozgdakane cipki. Jestem na nie uczulony. Gdzieś się podziały kobiety, które mówią? Te rozgdakane cipki nie mają twarzy. Jakaś jedna nijaka uroda. Czuję, że to mowa dodaje urody. A tu nie dodaje, tylko zabiera w ogóle. Jako taką.

Tamara BeJot: I widzisz, że nie zmieniło się nic od czasów Arystofanesa. On tekstem walczył o zmianę, ale zmiana nie dokonała się, a jego świat, tamta kultura przerwała się na tej ledwie zaczętej zmianie. I wiekami utrwał się haniebny status kultury tamtych „mężów”. Nadal obowiązuje patriarchalna rozdzielność – tu my, widoczni mężczyźni z wojnami, tam wy, niewidoczne kobiety ze swoją utopią pokoju, z uliczną „Antywojną”. „Sejm kobiet” Arystofanesa to wołanie o nierozdzielność opinii na głupiej nieludzkiej zasadzie „tu my ważni, tam wy, mniej ważne”, o wspólność żeńskości i męskości, o wspólność męża i żony wraz z dziećmi. Gdzie ta wspólność? W jaki sposób współczesne dzielne kobiety ze swoim protestem przeciw durnym wojnom domowym są wspólnością żeńsko-męską, wspólnością żony i męża? Gdzie wspólność taty i dzieci? Kobiecego krzyku, ich łez, ich pokaleczonego losu, ich traumy po stracie dzieci, domu, dobytku, pracy, nie bierze się pod uwagę. Z tego, co przeczytałam na temat feministycznych sztuk Arystofanesa, wynika, że dzisiejsze robione z nich spektakle są kuriozalnie okaleczane, poddawane „rewizji”, dodawane są do nich wypowiedzi nowożytnych mizoginów. Po co? Żeby zabrzmiały tradycyjnie „mężowsko”, żeby baby okazały się głupie, i żeby można je było oskarżać, że nie dorosły do swojej wolności? Tamte sztuki dobrze brzmią i dziś, i bez „rewizji”. No tak, ale przecież wojna musi być, a tu w sztuce babska antywojenność. Niemal słyszę wrzaski z naszej wielce cywilizowanej żony: *Baby z utopią pokoju precz! Precz z babską utopią sprawiedliwego ładu społecznego! Precz z Bojomirami!* Arystofanes powinien być wystawiany bez jakiegokolwiek zmiany, ze słowem wstępnym: zapraszamy do starożytności. To byłoby inspirowane i rozwijające umysł, kojące dla serca. A tu dziś widzą w sztukach Arystofanesa sam seks,

samą seksualność. I to wyeksponują. I jeszcze to kuriozum, sprzeczność, cytuję z jakiejś recenzji: *zbyt rubaszny jest. Wykastrują go z tej rubasności*. To jak? Z jednej strony zrobimy z jego tekstu pornola, a z drugiej wyrugujemy z jego języka rubasność? Przecież on jest rubaszny rozkosznie, z wielką klasą, bo z dowcipem. To jest hipokryzja, o której mówiłeś.

Tolo Szaleńczyk: Tak. Hipokryzja! Nie widzę w nim żadnej niecenzuralnej rubasności! I co, chcemy być istotami myślącymi, kalecząc jego teksty, dopasowując do współczesnego głędzenia o niczym? Przecież on diagnozuje to samo, co i dziś powinno być diagnozowane: politykę, demokrację, patriariat. I co więcej, diagnoza brzmiałaby podobnie. Hipokryci nigdy nie udzielą odpowiedzi, nigdy nie zdobędą się na własne przemyślenia, nigdy nie wychyła się z poprawności politycznej. Będą klepać słuszne paciorki. Pisarze też.

Tamara BeJot: Greckość zmieniała się, feminizowała. Tymczasem wojny to nieustający kryzys patriarchy i jego „tryumf”. Mamy tryumf kryzysu? Chaosu? Żyjąc bez pamięci i „rewidując” stare, dobre teksty na modłę popkulturowych, stajemy się trawą. Nawet trawa wie, jak się odnawiać, aby na nowo lśnić po błogosławionym deszczu. My nie mamy deszczu. Głędzenie i „rewizja” starych dobrych utworów to antydeszcz. Nieśmiertelne jest określenie Arystofanesa *miasto pysków*. Nasza cywilizacja, głędząca Europa, ta nasza Europa-propagandzistka, toż to *miasto pysków*! Taki tytuł powinna mieć nasza rozmowa? Jaki w końcu?

Tolo Szaleńczyk: Nie postanowiliśmy.

Tamara BeJot: To niech będzie „Miasto pysków”. Powód naszej rozmowy był ten sam co powód napisania przez Arystofanesa „Bojomiry” i „Sejmu kobiet”: antywojenność w sytuacji, kiedy wojna zastępuje argument w dialogu, a sam dialog „mężowie” zastępują propagandą. Ziemię opasał martwy za życia umysł. Martwy i śmierdzący. A jaki żwawy w produkcji bełkotu! Wojny nadal będą się mnożyć, dalekie i bliskie. Przeczytaj fragment z tym określeniem – *miasto pysków*.

Tolo Szaleńczyk: Czytam. Czytamy już tylko sobie. Niech inni poczytają samodzielnie. Zawieszamy stan rzeczy na rozbudzonej ciekawości?

Tamara BeJot: Jeśli ją rozbudziliśmy... Jednak obszerne cytaty muszą wyrzucić przynajmniej wrażenie. Czytaj. Skamieniejmy od starożytnych słów, tyle w nich współczesności!

133

Tolo Szaleńczyk: Ale epilog gdzie? Dajmy jakiś epilog.

Tamara BeJot: Zakończmy Beckettem, jego genialnym utworem „Czekając na Godota”, tym fragmentem, w którym Lucky „myśli”. Tam, gdzie pojawiają się te słynne słowa – *mimo tenisa*.

Tolo Szaleńczyk: Zaraz. Znajdę. Mam.

Tamara BeJot: Czytaj. Tam gdzie są te słowa *mimo tenisa*, a całość bez znaków przestankowych. Masz?

Tolo Szaleńczyk: Mam. Czytam fragmenty. O jak Lucky „myśli”: [...] *nie wiadomo dlaczego mimo tenisa [...] że człowiek słowem mimo postępu w zaopatrzeniu i likwidacji marnieje i usycha a jednocześnie równolegle nie wiadomo dlaczego mimo rozwoju kultury fizycznej i uprawiania sportów takich jak tenis piłka nożna biegi kolarstwo pływanie jeździectwo szybownictwo wszelkie kręgle łyżwiarstwo jazda na wrotkach tenis szybownictwo wszelkie sporty zimowe i jesienne tenis na trawie na parkiecie i na ubitej ziemi [...] powtarzam nie wiadomo dlaczego mimo tenisa takie są fakty (...) w Normandii mimo tenisa przerwane doświadczenie [...]*

Tamara BeJot: *Mimo tenisa* mamy durne wojny domowe.

Tolo Szaleńczyk: Jakże genialnie ujął Beckett nieskładny tok myślowy Lucky’ego! *Mimo tenisa*, cha, cha, mamy, co mamy.

Tamara BeJot: Cha, cha! Strach pomyśleć o tym, że może zaczną nam ulepszać Becketta mimo tenisa.

Tolo Szaleńczyk: Jakoś dodaj to *mimo tenisa* do tytułu rozmowy.

Tamara BeJot: A jak? „Miasto pysków – mimo tenisa”?

Tolo Szaleńczyk: Sam nie wiem.

Tamara BeJot: I ja nie wiem. Może jednak oba określenia zmieścić? Obraz człowieka mi się śnił. Rano zanotowałam urzędowym stylem, nie zastanawiając się, czy to mądre, czy głupie: Człowiek posiada górne zęby. Górne zęby to fundament pod frędzle. Człowiek posiada kończyny górne. Kończyny górne człowieka to już są frędzle. Po pięć frędzli zwisa człowiekowi z kończyn górnych. Przebijają, zaciskają się, grają lepiej i gorzej. No i biją, i zabijają. A frędzle górne, choć fundament mają, to się nie pojawiają. Oto człowiek.

134 **Tolo Szaleńczyk:** Cha, cha! To może te frędzle w tytule?

Tamara BeJot: Nie. Za dużo. Biorę ostatecznie *miasto pysków* i *mimo tenisa*. Coś dodasz do tych frędzli?

Tolo Szaleńczyk: Frędzle... podoba mi się... ta wiotkość, ten konieczny powiew... w planie myślowym sugerowałyby pewną elastyczność, chociaż i frędzla bywa zdradliwa. Ta, męska. Bo choć taka męska, to zawodna.

Tamara BeJot: Uprawiasz rubaszność w duchu Arystofanesa?

Tolo Szaleńczyk: Tak mi się tylko powiedziało... chociaż tak... w istocie rzeczy połowa naszego gatunku, wyposażona w dodatkową frędzlę, nawet okresowo twardniejącą, samej istoty *mimo tenisa* nie zmienia.

Tamara BeJot: A może tego Boga Kuzię zmieścić w tytule?

Tolo Szaleńczyk: „Miasto pysków mimo tenisa w dobie Boga Kuzi”?

Tamara BeJot: Brzmi niezłe, choć składa się z samych cytatów.

Tolo Szaleńczyk: Bóg Kuzia to nie cytat, to fakt.

Tamara BeJot: No tak. Daj to wszystko prócz frędzli.

Tolo Szaleńczyk: Jutro ludzkie frędzle znowu nam podpalą czyjaś ojczyznę.

*Tamara Bołdak-Janowska
Antoni Janowski*

POEZJA



Antoni JANOWSKI

Istota

Widoczność

Księżyc w dzień jak spopielający się pies
z jeszcze ruchomym uchem i ogonem
w szybkiej chmurze.
W nocy stał się skórką pomarańczy,
jedyną wargą, dolną, gdy górna wciska się
pod cofnięty nos jak podczas krzyku
kogoś pojedynczego o los pasażerów.
Nie ma ich, ani jednego.
Tu ich nigdy nie było.
Patrz spokojnie. To nie łódź z baśni.
Nikt tam nie ucieka z niedobrej ojczyzny.
Tam lądowała ludzkość. Nie człowiek. Ludzkość.
Z ciekawości i nie bez zaufania,
że to spełnienie doda człowiekowi serca,
że ono się rozlegnie i nie w głupiejącym tłumie,
lecz w jedno zolbrzymiałe, bo dumne i dobre.
Tak się nie stało, ale przecież można przypomnieć.

Szybkość

W maju słońce polatuje
dmuchawcami,
piłkami z wolnych pierzyn
lekko sklejonymi.
W lipcu bocian się wybadylił
do połowy.
A reszta to strzecha z adidasa
w zadzierającym wietrze.
Następnie zaraz znowu jest zima,
z mniej trwałych podobnych, stłoczonych butów.
Po bałwanie nie ma śladu, jakby nigdy nie płakał.
Jakże banalne jest mówienie o tym,
choć szybkość zmiany tak przejmuje.

Oczy

Znowu. Kasztany w lufki z kryzą.
Z każdej gwiazdy, ścisłą koroną jak muchy nad łajnem.
Wiosna strzela i pada, nie dymiąc,
chyba że z topoli puszystą zacierką.
Z zakrzuszonych kasztanów wykaszle kolczaste granaty,
do których można podejść, pozbierać,
włożyć do kieszeni bez złego zamiaru,
a wymijać bez trwogi.
Ty patrzysz i one patrzą, gdy zielony jeź z nich spełźnie
i wyzwoli piwne oko. Ty patrzysz jak człowiek,
one jak z pieczętki,
lecz w tym styku twoje i tamte są to oczy niczyje.
Ziemskie.

Podobieństwo

W upalnym dniu.
W rudym powietrzu.
Słońce przypaliło trawę.

I to pasuje
kolorystycznie.
Słuchaj, drzewo,
ludzkie pisane zdanie to też staranna gałąź.
I zawsze się zdaje, że na wieki zielona.
I wciąż mamy wspólny zabytek,
słońce.

Całość

Przewrócony stragan.
Razem z pijanym motylem.
Destrukcyjna
przyjemna w połowie.

Miłość

Miłość?
Ma skrzydła i odlatuje.
Albo przebiję oszalałym stadem.
Ta biegła za nim przez zdeptany korytarz,
boso, żeby szybciej, bo buty to kilkanaście sekund
straty.
Tamten porzucił dziewczynę na szóstym piętrze
z głową w docięniętym krawacie, na kłamce.
A ta trzydziestoletnia nie zdążyła przed nim,
zanim zatrzaskała drzwi za sobą,
i potem nigdy o niej nie wspomniał.
Ten natychmiast skończył ten wątek
z głową na czerwonym asfalcie,
rzucił się chyba z dwudziestego czwartego.
Niezbyst głęboka woda dała dwudziestoletniej
nowe skrzydła, i niemowlęciu. Skrzydła chwilowe,
z wysokim pryskiem, nawet ładne z daleka.
Nikt nie zawołał: matko, nie rób tego.
A tamten męczył się w wierszach o życiu w kamiennej celi,
ciasnej, lecz własnej,

niedostępnej żadnej skrzydlatej istocie.
Widać, choć w męce, to można
tak mieszkać z własnym słowem
przez całe życie bez niej.

Ramięczko

W drobnej ciszy, podobnej
do nieśmiałego śniegu,
same bielinki i kosmatki,
w zgranej całości,
najpierw ostrożnie rozwałkowanej
do stanu jedwabnego szkła,
coraz śmieiej podawanego miękącymi odłamkami
powietrza, wiatrowi
i oku,
które lata za zwinnie czynną imitacją klepsydry na boku
lub siedzącym oklaskiem bez dźwięku,
jak za sprawą najpoważniejszą.
A ostatecznie to ruchoma sieczka.
Jeden z najlżejszych fragmentów Ziemi.
To jej tak obsuwa się ramięczko.
Jedno, drugie, setne.
I ona nie poprawia.

* * *

Naleciało upału skądś.
Czuję się jak pożar śmietnika.

* * *

Przez dzieciństwo ciężko mignął
trup konia,
ptaka,
psa.
Stary człowiek westchnął.

Śniły mu się popołudniowe łązy.
Zapłakał koń,
i ptak,
i pies.
I wielu młodszych ludzi.

* * *

Żyję.
I mam beczynny scyzoryk.
I pamiętam perłowe paznokcie konwalii.
I fioletowe kamienie kąkoli.
I maki potańczone.
I zboże, wydęte ku człowiekowi i bliskiej ścieżce
jak brzuch w falującym fartuchu
pod falującą piersią.
Czyż nie zmienił się w światowy obowiązek
ten stary udział
w niestrasznych sprawach?

* * *

Gniazdo gałęzie złowiły
jak rzuconą czapkę.
Otaczające ten dom jemioly zdają się płaskie,
jak księżyc odbity w wodzie,
gdyby mieć negatyw.
Albo są jak huragan, filmowany z kosmosu.
Zdają się wirować, zbliżyć.

* * *

Tulipan, rozdziawiony balon.
Przebił się przez kolejny zielony garnitur,
ciasny,
sztywny,
i z klapami,

a więc zbudował tulidrapacz
z kłapami bardzo licznymi.
Człowiek też wyrasta z ubrań.
Tylko z nieprzyrośniętych.

* * *

A raz siadł na parapecie smutny gołąb
ze złamanym skrzydłem
i był jak trzepoczące się
poblądłe serce.
Ludzka stopa ciebie przypomina.
Ma lekki garb, jak ty, podczas ukłonu.
Jak to nieoczekiwane serce.
Moje też tam runęło.
Za chwilę.
Spadłem, jak ty,
ale jestem, wysoko, żywy i większy,
panujący nad obrazem i nie.

Łagodność

Tańcz, zmarła córko.
Tańcz pod powiekami.
Taka mi bądź na zawsze.
Tańcz pod poczeriałymi
lusterkami w jasne falbanki,
pod słonecznikami.
Tańcz.
Nawet jak wycinanka tańcz
w wycinankach narcyzów.
Tańcz mi wszędzie,
dokądkolwiek pójda moje oczy.
Niech świat tobą nadal łagodnieje.

Powód

Za dziesięć ósma wyje syrena straży.
O dwunastej zegar zadziera nogi
i ściska nieopadające nogawki,
aż jedna na drugą zachodzi, i zaraz wyminie.
To się nie zmienia.
Kiedys sąsiad, natrętny alkoholik,
kilka razy przychodził pytać o godzinę
lub prosić o ogień,
bo wiatr mu zdmuchnął ostatnią zapałkę.
Krótko żył.
Po nim zamieszkał tu nowy alkoholik.
Po eksmisji tygodniami przychodził
spać – do siebie, pod drzwi.
Do zapisania tej historii nie ma innego powodu
niż bliskość.

Ciąg dalszy

Oglądałem film o zabijaniu.
Miał być krótki
A w nocy do rana odkopywałem
czyjeś stopy
ogromne.

Światło

W kałuży przed domem,
zdawało się, że śpiącym,
z niewidocznym oknem,
rozbłysła żarówka.
Czynna, choć złamana i nasypana.
Ktoś nie płacze w ciemnościach.
Może ten ktoś tylko coś przeczuł.
A może to najzuchwalszy kornik zaterkotał,
przedrzeźniając budzik,
a zabrzmiał jak karabin.

Wyrwany ze snu, nieostrożnie objawił światu,
że żyje tu.
Albo coś niezbyt odległego to było,
a jednak odległe, jak jaskrawa farba
na wiekowej siwiźnie.
Chciał sprawdzić, co to.
Co go wyrwało ze snu.
Tak pomyślałem o odległym życiu.
I to mnie uspokoiło.

Powrót

Miałem sen. Zostałem traktorzystą w komunie.
W chłodnej stołówce piłem czarną kawę.
I kufajka śmierziała smarem.
Nim to się stało, byłem jeszcze raz dzieckiem,
odwróconym od tego stołu.

Kiedys

Rysowałaś tęczowego kreta, córko,
żeby był ładniejszy.

Opowiem Twój koncert, Córko, i Twoje słowa:

Dziewczynka przebiega klawiaturę pianina.
Pięć tematów z komentarzem.
Potwór i dziewczynka.
Biegną siostry.
Cztery niedźwiedzie.
Wielki potwór idzie
i coraz bardziej się zmniejsza.
Idzie drugi potwór, i on zrobił się mały,
taki sam jak pierwszy.
Teraz trzeci, największy – już nie zrobił się
taki mały jak tamten, pierwszy,

bo od razu był trochę większy, jak ten drugi,
kiedy zrobił się mały, ale jeszcze
nie najmniejszy.
Największy
tylko, o – tak się zrobił mały, ale nie najmniejszy.
Znowu idą czterej bracia.
Siostry sobie poszły.
Ja też już chyba sobie
pójdę – mówi jeden z potworów,
ten trzeci, jak już jest mały.
Cała reszta milknie.

Chcę tego dialogu:

Tego
białego walca,
proszę Pani koniecznej,
tańczy się leżąc, wiem.
Pani, ostatnia, ostateczna,
powinnaś nazywać się Biały Walec.
Bo nieruchoma już głowa
jeszcze zatacza półkregi,
zgodne z twoimi krokami.
i w końcu – jeszcze myśląc – jeszcze wie –
że zdolna jest – jeszcze – do zataczania
pełniejszych kręgów i do wirowania pełnym kołem.

Indze Rulf, fotografce z Drezna:

Fotografowałaś same stare kobiety.
Wszystkie w za dużych
pomarszczonych trepach.
Każda cała brązowa jak z chleba.
I łachy brązowe. I chusta, kostur i trepy.
Każda przebita ostatnim zębem.
A on biały jak nowy.
Przedni górny, lewy lub prawy.
Każda jak bruzda na polu,

zmuszona wstać
i coś powiedzieć,
najlepiej nieznoszone słowo,
przez ten ząb z innego czasu,
naprawdę obcy.

Taka mała

Taka mała, zmaląła dwukrotnie, prawie stuletnia,
już do niczego niezdolna, tylko do uśmiechu
i łatwego ruchu palców,
powiedziała:
ciągle stawiam pasjansa,
a jak mi się śni król albo cesarz, to wiem,
że spotka mnie przykreść. Ale lubię te sny.
Miałam męża, już nie pamiętam, przed którą
światową. To był duży mężczyzna.

Opowiedzieć ojca

Okrągły.
Zwinięty.
Siwizna roztacza cię i utrzymuje w karbach:
umierający bardzo stary,
w zawrotnym tempie słabnące dziecko,
łśnisz jak nowy człowiek
z twarzą schowaną w serce.
Schylam się,
nie mogę cię rozewrzeć, ojczu,
a przez to jestem trochę większy,
lecz nie aż tak, żebyś stał się dostępny
i stale dostępny.
Sen cię będzie przyprowadzał,
sadał lub stawiał przede mną.
i to będzie dostępność.
Tak. To już jest dostępność.
Ślady ciała w nieoprawionym mroku.

Istota

Istota idzie długo,
by w sekundę zniknąć.
Może jeszcze dojdzie do łóżka i w nim się zgubi
na zawsze, a może razem z nim, z poduszką, oknem
i oparciem. Z miękką zabawką przy sercu
albo kolcem w skroni. Z zanotowanym w połowie
lub w całości epokowym odkryciem. Już można go
okraść z tego i podnieść własną głowę.
A może ciężko zaśmiec się sobą ulicę lub park,
i trzeba go sprzątnąć jak najszybciej.
i służby robią to.
Drogowskaz brzmi: do ziemi!
Tylko ten kierunek jest pewny.
Drogowskazu nie ma.
Pchają same kierunki. Na każdym kroku
ich mnóstwo,
Pchają zawsze z wynikiem doskonałym,
wspomagany przez gatunek.
Ile wart jest człowiek tuż przed śmiercią?
A tłum?
Ile wart jest wtedy tłum?

Antoni Janowski

JOYCE I MY



„Ulisses” Joyce’a i my Czytanie

DECLAN KIBERD

profesor literatury, wykłada na filologii irlandzkiej w University of Notre Dame (USA). Wcześniej kierował katedrą literatury anglo-irlandzkiej w University College w Dublinie oraz Abbey Theatre. Wykłada w wielu krajach. Jest między innymi autorem „Inventing Ireland. The Literature of the Modern Nation” (1995), za którą otrzymał nagrodę „The Irish Time Prize” oraz „The Irish Writer and the World” (2005).

Czynność czytania często była ostatnią rzeczą, jakiej Joyce oddawał się podczas pobytu w National Library. Jak wiele innych bibliotek w Dublinie i ta bardziej służyła za miejsce do rozmów niż czytelnię. Przez godzinę, podczas której toczy się akcja epizodu „Scylla i Charybda”, nikt z rozmówców nie popełnia obraźliwego gestu otwarcia książki, mimo iż o wielu pisarzach się dyskutuje. Jak wielu innych nowoczesnych pisarzy Joyce raczej nonszalancko traktował książki, natomiast uwielbiał druki, kartki pocztowe, reklamy, wycinki prasowe, w końcu zamykając ich przesłania na całą wieczność w swojej nietradycyjnej powieści.

Studentom University College piękna czytelnia na Kildare Street najczęściej służyła jako miejsce do towarzyskich spotkań. Mówiąc słowami irlandzkich pisarzy Pádraic i Mary Colum, było to

149

ładne miejsce, w którym czytano, widywano się, rozmawiano pod portykiem, umawiano na spotkania, skąd wyruszano parami na wspólne powroty do swoich dzielnic¹.

.....
1 M. and P. Colum, *Our Friend James Joyce*, New York: Doubleday, 1958, s. 29.

Dla Joyce'a jego stolik służył mu również jako adres poste restante, ale *nie był do niego przygwożdżony*, co drwiąco komentował jego szkolny kolega Con Curran. Curran dobrze zapamiętał, że wymiany słowne z Joyce'em w rzeczywistości stawały się nieprzerwanymi monologami uprawianymi przez błyskotliwego młodzieńca w pełnym uniesieniu:

Jak tylko zbliżała się poważna rozmowa, wolał towarzystwo tylko jednej osoby, i nawet wtedy... ty sam stawałeś się zredukowany do pojętnego ucznia jego wcześniejszych rozmyślań, teraz wyrzucanych sentencjonalnie... On nie dyskutował... ironia, cierpki humor, groteska, grzeczny unik, milczenie – to wszystko potrzebne było do zbudowania mocarnej obrony przeciwko próbom wdarcia się do tej wewnętrznej świątyni.

Joyce czuł się w towarzystwie niepewny i dlatego te jego wyczyny uznać można za zemstę wstydliwego człowieka. Stefan cierpi na podobny uraz z powodu niezaproszenia na wieczór literacki. Świadcstwa jednak wskazują, że Joyce cieszył się mocnym wsparciem i opieką patronacką: poproszono go o recenzję do „Daily Express”, opowiadania do „Irish Homestead”, wiersz do „Dany”. Więcej: w „Aeolusie” i w tym epizodzie Stefan jest o wiele wyżej ceniony przez intelektualistów niż sam sobie to uświadamia. Depresja raczej niż krytykowanie przez innych jest źródłem jego niskiej samooceny².

W tym fragmencie Stefan przywołuje główną scenę „Hamleta”, którą wcześniej tego dnia obiecał Hainesowi (który nie był przy tym obecny). Stefan – z charakteru niepokorny – nie zawsze z miejsca reagował i bał się, że Haines pomniejszy jego inteligencję, zapisując to wszystko w książce. Ponieważ różni ludzie pojawiają się i znikają podczas tej dyskusji (obrazy *wędrujących skał* omawiane są przez podróżnika w „Odysei”), Stefan musi walczyć, aby utrzymać uwagę swoich słuchaczy. Takie przychodzenie i odchodzenie – charakterystyczne dla wielu greckich sympozjonów – jest surowym sprawdzianem dla mówiącego, który musi zachować niewzruszoną postawę. To wszystko wydaje się być przykre, lecz Stefan wypada o wiele bardziej pewny siebie niż we wcześniejszych rozdziałach, kiedy był o wiele bardziej ponurym i zgoła milczącym młodzieńcem. Jednak w tym momencie sam czuje to, o co oskarżał Wilde'a, o życie na poziomie błazna na dworze złożonym z mniej niż on sam inteligentnych ludzi, jest kimś, kto jest po prostu „podstawiony”. Prezentując swoją teorię, przysłuchuje się samemu sobie (jak Hamlet podsłuchiwał samego siebie) i zaczyna męczyć się swoją samozwańczą rolą wspaniałego oratora.

150

Jednym ze sposobów wyeliminowania nudy jest obdarzenie słuchaczy bardziej interesującymi charakterami za pomocą gry zmieniającej ich nazwiska i osobowości. Stefan żongluje wieloma pseudonimami (W. K. Magee znany jako John Eglinton staje się Mageelinjohnem), uznając, że te literackie pseudonimy są obronną taktyką nieśmiałyłch osób, które boją się być sobą. Douglas Hyde jest wspomniany jako *the pleasant little branch (An Craoibhin Aoibhinn)* – pseudonimu

.....
2 C. P. Curran, *James Joyce remembered*, Oxford: Oxford University Press, 1968, s. 35-36.

literackiego używał dlatego, że jego własne imię zbyt mocno kojarzyło się z najeżdżącą armią Cromwella. AE, pseudonim George’a Williama Russella, pochodzi od słowa „aeon”, który w „Ulissiesie” staje się dowcipnym „A.E.I.O.U.”; odtąd Joyce był mu winny nie tyle pieniądze, co wdzięczność za jego pierwsze prawdziwie literackie wybicie się.

Pseudonimy często łączą tożsamości rzeczywistych i fikcyjnych postaci; zadziwiające jest to, że takie zamaskowanie postaci może wydać się bardziej realistyczne. Ponadto przywołują koncept „literackiego ducha” albo opowieści o duchach. Stworzenie „Mageelinjohna” jest kombinacją pierwszej i trzeciej osoby, które odnaleźć poza tym można w głosie narratora. Raptowne przejście w tym epizodzie od prozy narracyjnej do form dramaturgicznych jest próbą sprawdzenia przez Stefana, czy inny gatunek lepiej by posłużył jego celowi jako kontynuacja resentymentalnych przedstawień istnienia, „teatralizowanych” przez Haynesa w wieży i dziennikarzy w biurze gazety. Ale najwięcej tego typu form wynika z takich didaskaliów, w których Stefan sam sobie podpowiada: *Uśmiech*. Krótka erupcja form dramaturgicznych poza tym przypomina czytelnikowi wiele innych gatunków, którymi mógłby się posłużyć autor, ale zostały one wykluczone z tego osobliwego tekstu.

Głównym motywem Joyce’a jest pokazanie, jak wiele inspiracji z irlandzkiego odrodzenia literackiego znajduje swoje zwieńczenie w „Ulissiesie”. W chwili, w której Eglinton mówi: *Nasi młodzi irlandzcy bardowie muszą jeszcze stworzyć postać, którą świat postawi obok Hamleta Szekspira*, połowę pracy już wykonano. Zresztą kiedy cytowano George’a Sigersona, że *nasz narodowy epos musi zostać dopiero napisany. Moore nadaje się do tego*, to Joyce życzy sobie, abyśmy pomyśleli: *Dobry pomysł, zły pisarz*. Czytelnik mógłby łatwo coś podobnego pomyśleć, kiedy bardzo pochlebna recenzja Yeatsa o dziele Lady Gregory pojawia się (źle) zacytowana: *Najpiękniejsza książka, jak ukazała się w naszym kraju za moich czasów. Przywodzi na myśl Homera*. W takim właśnie stylu „Ulissies” dostarcza krytycznych narzędzi, za pomocą których sam może być analizowany.

Augusta Gregory rzeczywiście pokusiła się o unormowanie epiki. Ta angloirlandzka arystokratka rozpowszechniała opowieści o dawnych wojach, skierowanych głównie (w każdym razie tak uważała) do wiejskich odbiorców. W swojej dedykacji zamieszczonej w irlandzkiej edycji „Cuchulain of Muirthemne” dla społeczności Kiltaratan wyznała, że zmieniła tekst, którego by oni nie polubili, aby uchronić kulturę rodzimą przed drwinami profesorów Trinity College³. Faktycznie w 1899 roku wykładowca J. P. Mahaffy powiedział w Committe on Intermediate Education, że błędem byłoby popieranie studiów gaelickiej literatury, ponieważ Robert Atkinson (prof. staroirlandzkiego w Trinity) zadeklarował, że wiele napisanych po irlandzku tekstów nie nadaje się do tego, żeby zostawiać je w domu, w którym przebywają jego córki. Jego zdaniem utwory te mogłyby spowodować taki szok u młodych dam, że do końca życia nie

3 Lady Gregory, *Cuchulain of Muirthemne. The Story of the Men of the Red Branch of Ulster*, New York: Oxford University Press, Gerrards Cross, 1970, s. 5 oraz T. Ó. Fiaich, *The Great Controversy*, [w:] *The Gaelic League Idea*, ed. S. Ó. Tuama, Cork: Mercier Press, 1972, s. 67-68.

doszłyby do siebie⁴. Mahaffy reagował alergicznie na jakąkolwiek epikę pochodzenia irlandzkiego, gdyż to on był autorem tej uwagi, po ukazaniu się „Ulissesa”, że dzieło Joyce’a dowodzi, iż było pomyłką utworzenie osobnego uniwersytetu dla aborygenów z tej wyspy, dla uliczników strzykających śliną do rzeki Liffey w Dublinie. Ta kąśliwa uwaga była znamieną. Tak różniące się między sobą utwory, jak „Cuchulain of Muirthemne” (epika powieściowa) i „Ulisses” (epika napisana w nowy sposób), ofiarowały połączenie gatunków, które przełamywały kody powieści i epiki w ten sposób, że wstrząsnęły nerwami szacownych klasyków z Trinity College.

„Ulisses” jest w rzeczywistości parodią „Cuchulain of Muirthemne”. To epika, ale bardziej miejska niż wiejska, bardziej proletariacka niż arystokratyczna, bardziej pacyfistyczna niż militarystyczna. Chłopięce wyczyny Cúchulainna to irlandzka wyprawa Telemacha, powtórzona w początkowych scenach związanych ze Stefanem. W gaelickiej opowieści Setanta zabija przez przypadek psa Culana i ofiaruje samego siebie w zamian. Abbey Theatre, którego logo przedstawia Setantę z psem, jest wyśmiewany tutaj za pomocą dzikich parodii stylu Hiberno-English autorstwa Synge’a. Nawet dojrzewanie Setanty do stawania się „psem Culana” (Cú Chulaiann) jest doskonałą ilustracją uwagi Stefana, że w „Hamlecie” *chłopiec z aktu pierwszego jest dorosłym mężczyzną z aktu piątego*. Projekt Joyce’a stania się swoim-własnym-ojcem wymagał połączenia młodszej i starszej jaźni, co spowodowało, że logika narracji w centrum sagi Cúchulainna jest wykorzystywana do osiągnięcia wszystkich psychologicznych potencjalności. Dla Setanty uzyskanie zastępczego ojca jest na pewno tym, co czyni Stefan.

Teoria Stefana głosi, że pisarz próbuje oświecić problemy życia w danym utworze. Posługuje się „Hamletem” Szekspira, aby rozwiązać problemy ze swoim własnym ojcem. Uczestnicy tej sceny otoczeni są książkami, co uderza Stefana, że są to *myśli w trumnach* umieszczone w *skrzyniach mumii*. Jeśli Nietzsche miał rację, mówiąc, że każde słowo to epitafora uczucia, to twarde oprawa książki podobna jest do trumny, a biblioteka jest ekwiwalentem cmentarza, odwiedzanego w szóstym epizodzie albo Sandymount Strand w trzecim, kiedy Stefan miał trudności z wdychaniem *trupich wyziewów*. Rozmowy innych literatów są drugorzędne, przyduszone cytatami z dawnych autorów. Nawet w Irlandii, która jest naturalną ojczyzną epickiej i oralnej poezji, starodawna energia mówionej literatury osłabła, ponieważ język mówiony został zepsuty przez złożony styl literacki, unieruchomiony pod niekończącymi się cytatami.

Ta męska debata literacka przywołuje *opadłe liście* z przejrzałej Ann Hathaway, porzuconej przez Szekspira żony, jako zniekształcony tekst. Stefan uznaje pisarstwo za równie martwe co Bloom, który tego poranka podtarł swój tyłek stroną „Perełek”. Tak więc w końcu rezygnuje z publikacji swojej teorii, ponieważ czyniąc to, by ją zabalsamował. Joyce zgadza się z tym, wydrwiwiając urynkowanie książki w twardej oprawie, pokazując pięciu reklamarzy z dwustronnymi tablicami na sobie z napisem HELY’S. Twórczość literacka, kiedyś mająca swoje schronienie w książkach, obecnie jest (aby użyć słów Waltera Benjamina) *wypędzona na ulicę przez reklamę*⁵. Joyce

4 T. Ó. Fiaich, dz. cyt., s. 68 oraz G. Griffin, *The Wild Geese*, London: Jarrolds, limited, 1938, s. 24.

5 R. Wolin, W. Benjamin, *An Aesthetic of Redemption*, New York: Columbia University Press, 1982, s. 119.

chcąc dokonać zwrotu w tym procesie, bada w „Ulissesie” możliwość przeniesienia energii codziennej mowy z jej naturalnego środowiska ulicznego do powieści w twardej okładce.

Biblioteka jest intelektualnym Hadesem, w której Homer ma opowiadać historię o pogrzebie Achillesa i powrocie Odyseusza. Stanowi ona – jeszcze bardziej niż jakikolwiek cmentarz – archiwum wspólnoty, a bibliotekarz odgrywa tę samą rolę co John O’Connell, dozorca cmentarza w Glasnevin. Jeśli Hades, *sam z siebie depozytariusz opowieści, skarbiec mitów*⁶, daje Odyseuszowi okazję do dostępu do źródła greckiej pamięci, to mężczyźni w Bibliotece Narodowej powinni być zdolni do uchwycenia pierwotnych energii, tak jak to uczynił Bloom na cmentarzu. Jednakże sprawy nie układają się w ten sposób.

Mr Best, asystent bibliotekarza, sugeruje, że „Hamlet” jest odbiciem prywatnego życia Szekspira – tak jak „Ulisses” może Joyce’a. Mr Lyster, główny bibliotekarz, przypomina zdanie Goethego o „Hamlecie”: *Piękny, bezsilny marzyciel, którego ranią twarde fakty*. To ponadto celtycka wersja, obmyślona przez Yeatsa, który w wielu sztukach Szekspira widział zderzenie pomiędzy triumfalną, acz prozaiczną skutecznością a skazaną na porażkę, acz poetycką zawilnością. Klaudiusz czy Hamlet? Bolingbroke czy Richard? Opowieść w oczach Yeatsa zawsze wydaje się wersją tego, co Anglicy uczynili Irlandczykom, którzy (podobnie jak Hamlet i Richard) włożyli wszystko w najlepsze wersy, lecz przegrali w realnym świecie faktów. *Triumf niepowodzenia*, motyw przewijający się od Wilde’a do powstania wielkanocnego (Easter Rising) znaczy tyle, że Irlandczycy rozwijali język, aby ponawiać, nawet celebrować swoje niepowodzenia, ale zupełnie nie po to, aby ogłosić zwycięstwo.

Joyce w pełni był świadomy tej problematyki i w osobie Stefana dorzucał cegielkę do Celtic Shakespeare, wyczytując własną „nutę wygnania” w trzech dramatach, począwszy od „Dwaj panowie z Werony” do „Burzy”. Aczkolwiek zaakceptował wersję Edwarda Dowdena o pragmatycznym, zbierającym majątek Szekspirze, nieodrzucającym wielkiej szansy. (*Hamletowie w kha-ki strzelają bez wahania* – ten zapis to na pewno oddźwięk po wydarzeniach na Bachelor’s Walk w 1914 w Dublinie, kiedy brytyjscy żołnierze otworzyli ogień do nieuzbrojonego tłumu). Jak Joyce kwaśno zauważył, marzycielski chłopiec z pierwszego aktu stał się w piątym akcie mechanicznym zabójcą. Złapany między wir abstrakcji i skały fizycznego niebezpieczeństwa Szekspir wiązał ze sobą dwa trendy, duchowy i światowy, o wiele bardziej niż sam Joyce, który mieszał wysoką teorię z szacunkiem dla codziennych zwyczajów. Jeśli Matthew Arnold głosił zasadę uzupełnienia praktycznego zamiłowania do handlu Anglików irlandzkim upodobaniem do poezji, to Joyce przejął wskazówkę od Johna Butlera Yeatsa, który zachęcał Irlandczyków do połączenia protestanckiego zmysłu praktycznego z wyobraźnią katolicką.

Szekspir stanowił bezcenny łącznik z utraconym składnikiem katolickiej Europy, zanim reformacja protestancka opanowała Anglię. Jego elżbietąński język, w równym stopniu co stratfordzka religia, był bardziej przystępny w Irlandii 1904 roku niż w Anglii, ponieważ wszystkie

6 E. T. H. Brann, *Homeric Moments: Clues to Delight in Reading. The Odyssey and the Iliad*, Philadelphia: Paul Dry Books, 2002, s. 203.

te tradycje utrzymały się w kolonii – nie mniej istotna była utrata mocy oralnej przez Merrie (Merry) England. Tak więc przybycie Hainesa z jego słownikiem frazeologicznym może sygnalizować nie tyle poszukiwanie możliwości wskrzeszenia Irlandii, ile „utraconej” starej Anglii, nad której losem lamentował również pan Deasy. Ale dla Stefana Szekspira jest również wykorzenionym, nowoczesnym wygnańcem, który szuka możliwości założenia domu w mgławicach chaosu i który próbuje rozwiązać problem niewiernej żony przez własną w domu nieobecność.

To jest właśnie ta mądrość zaprezentowana w opowieści o Scylli i Charybdzie – zdrowemu rozumowi nie wolno podporządkować się żadnemu ekstremum, ale powinien podtrzymywać dwie możliwości w stanie potencjalnego otwarcia. Podobnie prawdziwe małżeństwo jest czymś więcej niż koegzystencją dwóch osób sobie przeciwstawnych. Klucz do geniuszu Sokratesa albo Szekspira, jak uważał Stefan, leżał w ich udanej mediacji w burzliwym małżeństwie. Jego własny raczej wrogi pogląd o Ann Hathaway jako spekulancie seksualnej na wzór królowej Gertrudy (matki Hamleta) sprawia, że Shakespeare staje się Odyseuszem – pozostawia swoją żonę, tak jak grecki wędrowiec porzucił Penelopę. Ta wrogość mogła pochodzić z ukrywanej agresji Stefana wymierzonej przeciwko jego własnej matce. Po prostu szukał rozwiązania nie tylko problemu związanego ze wstydem wynikającym z nieodpowiedzialnego ojca, ale również z niepokojem wynikłym z odmowy odmówienia modlitwy za umierającą matkę. Ojcostwo i macierzyństwo są w jego umyśle połączone, a mediatorem pomiędzy nimi jest widmo ducha.

Epizod ten w całości sugeruje, że wszystkie binarne opozycje, jak Anglia/Irlandia, Arystoteles/Platon, Mulligan/Russell, są doskonale bezużyteczne, chyba że ktoś sam nauczy się wybierać odpowiednią pozycję pomiędzy nimi. Układ Moore/Martyn zaprezentowany został jako dowcipna wersja relacji guru/adept – jedna z tych, jaka w sposób bardziej poważny powstanie między Bloomem a Stefanem. Bloom dysponuje rzeczywiście tą poszukiwaną przez Stefana równowagą, ponieważ w poprzednim epizodzie nie został ukazany jako mięsożerca czy jako wegetarianin, lecz jako ktoś pośredni między tymi ekstremalnymi postawami. Pierwiastek męski nie jest już więcej prawdziwą opozycją dla pierwiastka żeńskiego, tak jak nie jest nią heteroseksualność wobec homoseksualności. Wszystko to składa się na trzecią fazę, czyli na panseksualizm.

Ojcowie w każdym znaczeniu są beznadziejni. Ojciec Szekspira jest niczym więcej jak *facetem, który pisuje jak Synge*. O ile on sam zachował swoją wartość, to jest to ostrzeżenie przed nieodpowiednimi koncepcjami ojcostwa. Bardziej niż ojcem literatury angielskiej *uczyniono z niego w Niemczech naczelnego francuskiego szlifierza włoskich skandali*. Szekspir napisał „Hamleta” w miesiącach tuż po śmierci ojca i bohater tej sztuki był niepewny swego rodowodu, tak samo jak Joyce swojego. Ojciec jest złem koniecznym, a ojcostwo nie może być niczym więcej niż „prawną fikcją”.

Jeśli ojcowie są niepewni, to jedynie dlatego, że matki są takie same: *Jeśli inni mają swojego Willa, Anna ma swoje sposoby. Do licha, należy ją winić*. Linia obrony zastosowana przez Ofelię, aby oczyścić swoją niewinność, rzeczywiście obróciła się przeciwko Szekspirowskiej dziewczusze

ze Stratford, która przyczyniła się do tego, że upokorzenie jej męża stało się antycypacją małżeńskiego pożycia Leopolda Blooma.

Zapomniałem: nie bardziej niż on zapomniał o batach, które dostał od wszawego Lucy. I pozostawił femme de trente ans. Dlaczego więcej dzieci się nie urodziło? I dlaczego jego pierwsze dziecko było dziewczynką?

To bardzo jest odległe od „krzepkiego” Szekspira postulowanego przez profesora Trinity, silnego imperialistę Edwarda Dowdena. W rzeczywistości jest to bierny, wrażliwy samiec pokonany na polu przez bardziej zdrową i starszą kobietę. Szekspir po swojej ucieczce ze Stratfordu stworzył całą serię niezapomnianych bohaterów i bohaterek, a wszystkich łączył rys androginizmu. Jednakże kobiecy mężczyzna w jego sztukach zawsze jest postacią tragiczną.

Trzysta lat później Joyce dostrzegł inny, bardziej pozytywny potencjał, o którym napomknął John Eglinton w esejach z 1910 oraz 1916 roku, pisząc o potrzebie stworzenia komicznego bohatera, irlandzkiego Don Kichota. To byłaby postać, która by doświadczała swojego obojnactwa nie w niebiosach (*dzięki oszczędności niebios, przepowiedzianej przez Hamleta, nie ma tam już więcej małżeństw, a zbawiony człowiek, obojnacki anioł, jest żoną sam sobie*), ale także na ziemi, jak na przykład sam Bloom, który pojawia się pomiędzy Stefanem a Mulliganem pod koniec tego epizodu. W tym momencie Stefan decyduje się wyjść z Mulliganem, ponieważ przypomniał sobie wróżebny sen o orientalnym mężczyźnie, który zaprasza go do innego sposobu życia: *Później ulica nierządnic. Wyciągnął ku mnie śmietankowy owoc, melon. Wejdz. Ujrzysz.*

Jeżeli Stefan jako introwertyk naprawdę nie potrafi rozmawiać, to jakikolwiek przewodnik, którego spotka na swojej drodze, będzie musiał zwrócić się do niego za pomocą sugestii, a nie otwartym zdaniem. Mulligan przeczuł w Bloomie rywala wobec podmiotowości Stefana, więc przerzucił na niego swoje własne pragnienia co do Stefana: *Czy widziałeś jego oczy? Spojrzał na ciebie pożądliwie.* Bloom opisywany przez niego jest bardziej grecki niż sami Grecy: prawdziwe oszczerstwo, które oczywiście uderza w najwyższym stopniu we wcześniejsze stwierdzenie Mulligana o potrzebie hellenizacji wyspy. Możliwe, że zdania wypowiedziane przez niego na wieży wraz z paradoksami Wilde’owskimi i wykrzyknikami (moje kochanie) zawierały zakodowane sygnały dla Stefana. Jeśli tak, to teraz są stanowczo odrzucone.

Ten wylaniający się związek pomiędzy Bloomem a Stefanem jest interesującą wariacją klasycznego tematu: chęć udzielenia rady i opieki nad niedoświadczonym, acz utalentowanym młodym człowiekiem przez starszego, obeznanego w sprawach świata mężczyznę. Może to być miłość, nawet jeśli nie padło takie słowo, a może – to relacja ojcowska, prawna fikcja, ale i konieczne zło? Wcześniej Mulligan napomknął Eglintonowi o seksualnych skłonnościach Szekspira, jak to ujawniają sonety, pytając: *Kogo podejrzewasz?* – zdanie, które później zostanie użyte 16 czerwca w celu zakwestionowania ojcostwa dwójki dzieci Blooma. Bloom i Stefan nie spotkali się w biurze gazety, chociaż ich drogi, jak dotychczas, mają te same kierunki. Telemach

w dużym stopniu szuka tak samo wieści o ojcu i jakby nieświadomie ponawia jego wędrówkę. Tego typu męska narracja pomija kobiecą perspektywę. Nawet tematyka androginiczna rozpatrywana jest bardziej od strony męskiej niż żeńskiej. Chociaż żeński obojnak (Gerty i Molly) pojawi się w odpowiednim momencie. Jako postaci poddane zostaną zarzutom ze strony Stefana przeciwko chłopcom-kobietom z londyńskiego okresu Szekspira: że ich życie, myśli, mowa są *użyczone im przez samców*. A tutaj specjalnie przez Joyce'a.

Gdyby Joyce od nowa napisał dawne utwory, musiałby uświadomić sobie, jak bardzo te klasyczne dzieła są ważne dla światowej historii, pomimo ich raczej odległych początków. George Russell lepiej to rozumiał niż ktokolwiek inny. Tutaj został przywołany tonem raczej drwiącym jako Teozof. (Kiedy Gogarty został zaproszony na jedno z jego spotkań, zapytał: *Czy moja matka mogłaby zostać zgwałcona przez mistyka?* Wraz z Joyce'em powiesił na krzaku przy biurze Towarzystwa Hermetycznego parę gaci w celu wydrwienia seksualnych zahamowań u niektórych jego liderów). W epizodzie tym pozwolono mu wypowiedzieć kilka głębokich prawd. Obawa Mulligana, że Bloom mógłby stać się nowym guru Stefana, powiększała jego drwiny z Teozofów, do których młody Joyce mocno był przyciągany – poza tym Blooma sentyment do zwierząt i otwarcie na reinkarnację należą do tradycji, której wyznawcą był Russell.

Opowieść o Jezusie przetrwała, tak jak ta o Odyseuszu, wędrówkach Dantego i oczywiście o Hamlecie, ponieważ zawierała mądrość i ratunek. Russell jednakże mówi, że *najważniejszą kwestią dotyczącą dzieła sztuki jest, z jakich głębin życia ono wytryska*. Dziecko Jezus i dojrzały Mesjasz mają wiele ze sobą wspólnego, podobnie jak Telemach i Odyseusz albo młody Dante i on sam jako starszy wiekiem wygnaniec. Stefan pokazuje trwałość i nietrwałość pomiędzy przeszłą jaźnią a teraźniejszą, pomiędzy byłym tekstem a jego zamiennikiem w procesie entelechii: „Ja, ja i ja. Ja”. Entelechia jest tym, co aktualizuje to, co potencjalne, w dużym stopniu jak „Ulises” jest dalszym uzupełnieniem „Odysei”. Termin pochodzi od Arystotelesa i opisuje ukończenie tego, czym istnienie miało być. To ponownie przywołuje pytanie Stefana o te wydarzenia, które mogłyby wypłynąć z wcześniejszego momentu, gdyby historia wypracowała coś odmiennego: *Tu rozważa on rzeczy, których nie było: czego dokonałby Cezar, gdyby uwierzył wróżbicie*.

Otwarcie każdej chwili na przeszłość przynosi Stefanowi obraz kreacji i kreatywności. Chociaż związek pomiędzy ojcami a synami jest bardziej sprawą biologicznego przypadku niż pokrewieństwa psychologicznego, to istnieje możliwość, że ludzie tworzą nowe życie bez świadomości o tym, że to robią:

Cóż ich wiąże w przyrodzie? Chwila ślepej rui. Czy jestem ojcem? Gdybym był? Tajemnicą każdego ludzkiego życia jest ta ciągłość w zmianie. Simon Dedalus kradnie zapalki z pubów dublińskich, ale marnuje funty na picie, podczas gdy jego najstarszy syn podbiera kartki papieru z Biblioteki i stawia kolejki ludziom, którymi prywatnie pogardza. Pieprzyk na ciele pozostaje ten sam, nawet jeśli jego pojedyncze elementy całkowicie zmieniają się przez lata, jak w dużym stopniu istota powieści powtarza się z każdym odczytaniem:

choć całe moje ciało z czasem zostało utkane z nowego materiału, tak poprzez ducha niepokojnego ojca spogląda wizerunek niekochanego syna.

Powoduje to implikacje również i dla przyszłości, ponieważ moment tworzenia jest jednym z tych, w których przeszłość, teraźniejszość, przyszłość idą razem. „Ulisses”, chociaż jego akcja toczy się w 1904 roku, był pisany w łączności z tymi wszystkimi późniejszymi wydarzeniami z lat 1914-1921. Więcej nawet mówi o teraźniejszości, w której dzieło było pisane niż o ewokowanych sprawach, tak jak portret autora „Hamleta” w wykonaniu Stefana ujawnia więcej wiadomości o nim samym niż o Szekspirze: *Tak samo w przyszłości, siostrze przeszłości, mogę ujrzeć siebie siedzącego tutaj teraz, lecz jako odbicie tego, czym będę wówczas.*

Syn, który naśladuje swojego ojca, podobnie jak utwór przetwarzający epos, nie powinien być zwykłą kopią. Ponieważ każdy prawdziwy ojciec jest odpychany przez obraz innych mężczyzn z jego rodu, widząc w nich nieudane próby natury stworzenia kopii jego samego. Ale natura, jak pieprzyki na ludzkim ciele, nigdy dokładnie siebie nie naśladuje. Teoria Stefana opisuje nie tylko jego własnego złego ojca Simona, który ma jego oczy i słabości, lecz także przyszłego mentora Blooma, który wysłał panicza, aby troszczyć się o niego przez pełnomocnika (Boylan) i akceptuje los à la Don Giovanni na Sandymount Strand. Prawdziwy guru częściej i mocniej posługuje się instynktem niż rozważnym namysłem, nie jest ponadto właścicielem mądrości, którą przekazuje. Podobnie i Joyce może nic nie wiedzieć o niektórych treściach zawartych w mądrościowym przesłaniu powieści. Stefan, pomimo swoich modernistycznych zapatrywań, dzieli wiktoriański punkt widzenia o Szekspirze jako o kimś, kto pokazuje nam, jak żyć:

odchodzi ku wieczności z niepominiezoną osobowością, nienauczony mądrością, którą pisał, ani prawami, które objawił. Uniósł przyłbicę. Jest duchem teraz, cieniem, wiatrem nad skałami Elsynoru.

Lecz duchowa obecność Barda z Avonu (Szekspira) przeniknęła wiele scen „Ulissesa” w podobnie roszczeniowy sposób jak stary król Hamlet.

Dwie metody nauczania zostały przetestowane przez teorię Stefana. Pierwsza jest sokratejska i opiera się na metodzie *solvitur ambulando*, czyli na rozmowie podczas przechadzki. Sokrates pozwalał swoim uczniom wypróbować swoje koncepcje, uczyć się na swoich błędach, mylić się po to, aby znaleźli później dobrą drogę. Stefan wierzył, że nawet pomyłki takiego geniusza jak Szekspir nigdy nie są błędami, lecz *wrotami odkryć*, i że krytyczna interpretacja Szekspira jako pragmatycznego Anglika zatraciła się w imperialnych dekadach XIX stulecia, zanim została przywrócona do praw przez takich artystów, jak Walter Pater lub Yeats. To jest kolejna wersja „zwycięstwa porażki”, argumentu pioniersko wprowadzonego przez Wilde’a i Patera, a następnie importowana do Irlandii przez Yeatsa i buntowników 1916 roku, która została skodyfikowana na zawsze przez Samuela Becketta. Metoda Sokratesa próbowała iść możliwie jak najdalej w kierunku wypowiedzenia prawdy przez inne osoby: ale bogactwo starej ironii polegało tutaj na

tym, że Stefan zmuszony był najczęściej do rozmowy z samym sobą. Bloom w rzeczywistości jest o wiele bardziej sokratejski – postępuje jak odpowiednio zastosowany pierwiastek chemiczny, który oddziałując na innych, w efekcie przynosi prawdę. Jest wspaniały jak Sokrates, wie o wiele więcej, niż po sobie pokazuje.

Druga metoda zastosowana przez Stefana jest z natury scholastyczna i wywodzi się z jego edukacji u jezuitów. Scholastycy przedkładają i bronią twierdzenie, doprowadzając w ten sposób do „dysputy” w stylu średniowiecznym. Jednak w odróżnieniu od scholastyków Stefan nie wierzy w swoją teorię, woląc podążać za przykładem Oscara Wilde’a, który odrzucił własne dzieło „Intentions”, inne klasyczne „symposium”, donosząc swojemu głównemu donatorowi, że już wcale nie wierzy w sprawę, której z taką werwą bronił. Stefan podobnie dostrzega triumf swojej intelektualnej „porażki”, przyciągając publiczność złożoną z osób starszych do swojej teorii, w którą już nie wierzy. Jego odmowa publikacji wykładu w części może wiązać się z pogardą do tego, co sam stworzył albo, co bardziej prawdopodobne, wynika z lekceważącego stosunku artysty do tej mało rozwiniętej intelektualnie publiczności – artysty, który przebiegle zachować chce swoją teorię dla publikacji w „Ulissiesie”. Jedna rzecz jest pewna: jego inteligencja jest w tej sytuacji całkowicie niepotrzebna. Nauczane w szkole i koledżu teorie Tomasa z Akwinu i Arystotelesa nie rozwiązują problemu jego stosunku do ojca. Russell miał rację na początku debaty, mówiąc, że w „Hamlecie” zawarta jest wieczna mądrość: *Wszystko pozostałe jest rozważaniem uczniów dla uczniów*. Stefan sam raczej się czuje okaleczony niż oświecony przez edukację jezuicką, która nie dała mu żadnej praktycznej pomocy w obliczu zmieniającego się życia: *Czego się nauczyłem? O nich? O sobie?*

Natychmiast po tym czuje nową obecność, wyczuwając kogoś za sobą, i toruje sobie drogę do Leopola Blooma. W tym momencie decyduje się na rozstanie z Mulliganem, fałszywym przyjacielem, udawanym intelektualistą, i ponownie ma prorocką wizję o dziwnym, wschodnim mężczyźnie idącym po ulicy prostytutek z melonem. Opuszcza bibliotekę: *Życie liczy wiele dni. Ten się zakończy*. W rzeczywistości Stefan przez całego „Ulissesa” jest w trakcie żegnania się: z krainą, wieżą, szkołą, przyjaciółmi, biurem gazety, a teraz z narodową biblioteką. Ale dla każdego z „Ulissesa” czynność chodzenia jest aktem, który jest dramatyczny (jak „sinkapaces”, marszruta bibliotekarza, który stale wędruje tam i z powrotem). Jeśli Odyszeusz zwleka z powrotem do domu, to tak samo postępuje Stefan ze swoim odejściem oraz sam Bloom zwlekający z każdym swoim ruchem. Jego wschodni kwiatyzm oraz zdolność zanurzania się w codzienności może być największą lekcją dla Stefana jako udręczonego intelektualisty: *Przestań walczyć*.

POEZJA



Waldemar KONTEWICZ

**Jakób Montwitz
„Tragedja Właściciela Kantoru Bankierskiego”**

Drogi Waldku,

niedawno moja znajoma, przasnyszanka Ewa Łukasiak znalazła w „Expressie Wieczornym” z 1931 roku artykuł o pewnym Jakubie Montwitzu, Żydzie z Przasnysza, który zapadł na depresję i popełnił samobójstwo. Mieszkał niedaleko od miejsca, gdzie moi rodzice parę lat po wojnie nabyli mały żydowski domek, a ja spędziłem w nim wiele lat mojego życia. Kamienica, w której Montwitz, właściciel kantoru bankierskiego, jak określono jego zajęcie we wspomnianej gazecie, wynajmował mieszkanie, będzie niebawem rozbierana (niestety). Poszedłem tropem tego nieszczęśnika i znalazłem jego grób na cmentarzu żydowskim w Warszawie w takim stanie, jakby go tam ustawili 2 dni temu. Inskrypcję z macewy tragicznie zmarłego 85 lat temu mojego niedoszedłego z różnych powodów sąsiada przetłumaczył mi z hebrajskiego na angielski Efraim Bramson, znajomy z Izraela. Jego ojciec Jerachmiel, który urodził się w Przasnyszu 95 lat temu i dziś mieszka w Natanii nad Morzem Śródziemnym, zapewne pamięta Jakuba Montwitza, ale jeszcze go o to nie pytałem. Załączam tekst z „Expressu” i tłumaczenie (angielskie) inskrypcji. To wszystko może być tematem na Twój kolejny wiersz.

160

Mariusz

We wtorek 3 marca 1931 roku Jakób Montwitz bankier z Przasnysza wspiął się po po zmurszałych szczelblach drabiny Jakubowej na 4 piętro kamienicy z balkonem przy Chmielnej 5 w Warszawie

Na dzień podwórkowej studni chudy Herszel z Gęsiej kręcił kołem brusa zanurzonego w rynnie z wodą a snop iskier z ostrzonych noży żegnał zachodzący dzień i zmęczonego życia finansistę

Jakób nie miał szczęścia w samobójstwie – spadając z czwartego piętra zahaczył paltem o gazową lampę spadł na bruk połamał nogi i rozbił głowę jak donosi gutenbergońska czcionką warszawski *Express Wieczorny*

Konna karetka z dr. Flatau przybyła na ratunek już po pięciu minutach reanimować życie wspinające się coraz wyżej po biblijnych schodach aż do samego absolutu by schować się przed maniacką depresją i zostawić kilka hebrajskich alefów na granitowej macewie starającej się zapamiętać wszystkie dni i noce spędzone w przasnyskiej kamienicy po której za chwilę nie będzie śladu

Canyon Creek

Hi Waldemar... Reading this [Daniel Ladinsky's essay about Hafiz] I thought of you... Happy 2017... Live a poetic year... with all the mysticism and magic... I miss Canyon Creek and Ross and all of you... Write a poem about Canyon Creek... It is inspirational and the muses the muses will help you...

Harout

Jestem otworem fletu, przez który przenika

oddech Chrystusa – posłuchaj tej muzyki.

Hafiz

Tak naprawdę to było trochę Polski, dużo więcej Armenii i mnóstwo dziecięcej wrażliwości prosto z Montrealu Wszystko w restauracji Canyon Creek przy zbiegu Rathburn i Bulwaru Duke of York w kanadyjskim mieście Mississauga

Siedzę tam wciąż na wysokim zydlu nieśmiały i zagubiony za oknami prószony grudniowy śnieg albo raczej pada przykry deszcz przede mną kryształowy kufel piwa Molson Blue z grubą pianą

a za kontuarem barmanka – była uczennica Philip Pocock High School (szkoła średnia w której panowała międzynarodowa matematyka i jednorodna rzymskokatolicka retoryka w wielojęzycznym wydaniu)

Gwar i śmiech przenikają się niczym wódka z sokiem pomarańczowym, lub Pan Cogito Herberta z Raskolnikowem Dostojewskiego, może jeszcze biblijnie kwantyfikowana algebra przez szkolnego kapelana z newtonowską duchowością ormiańskiego matematyka

Harout, Ross i ja pokieraszowani wspomnieniami naszych rodziców jako pięćdziesięcioparoletni spadkobiercy irlandzkiego głodu, tureckiego ludobójstwa, niemieckiego faszyzmu, sowieckiego komunizmu zbiegamy na koniec świata poprzez zasieki kolczastego drutu, wpływ przez głęboką rzekę i połowę Europy, na dnie śmierzdzącej krypy kołyszającej się pośrodku Atlantyku, wciąż bez językowych subtelności które mogłyby opowiedzieć naszą historię, opisać słowiańską kulturę, zagrać *Ojciec nasz* na ormiańskim duduku, wyrecytować *Electric Light* Seamusa Heaneya

Zanim utoniemy w przeszłości zmieniamy rytm i rym spotkania przed północą by zawędrować szkolną wycieczką żółtym autobusem z katolickiej szkoły do hinduskiej świątyni, żydowskiej synagogi i muzułmańskiego meczetu bo Tam piętno równości wyciska na każdym podróżniku Arki Noego znak akceptowania *Innego* nawet byłego wroga (czyż nie pięknie jest „nastawić drugi policzek”?)

Trudno w Nowym Świecie o płytę Edith Piaf z *La vie en rose* czy nieśmiertelną miłość do *Isabelle* Aznavoura więc przynosimy czarne krążki Salvatore Adamo z *Tombe la neige* nokturny Chopina, symfonie Beethovena, menuety Smetany by zadziwić połowę Kanady muzyczną harmonią z Paryża, Warszawy, Pragi (w międzyczasie barmanka uzupełnia mój kufel piwa napełnia karafkę Harouta i Rossa absyntem podaje w osobnym naczyniu sok pomarańczowy i nuci *Isabelle* zdziwiona że to jej imię rozplywa się nad gwarem tych którzy są zakochani, tych którzy jeszcze będą zakochani, tych którzy są samotni i tych którzy wciąż chowają się ze swoją miłością)

Minęła północ pora na rachunek i napiwek dla Isabelle
Ross uznaje że materialne dobra są nieistotne dla człowieka
zatem rozdaje pieniądze (niczym Aznavour miłość) każdemu bezdomnemu
w drodze do teatru, kina, na symfoniczny koncert czy też do opery
(wczoraj oddał samochód potrzebującej rodzinie z Libanu
i zamienił spalinowy silnik na wygodne obuwie do codziennej marszruty)

Wychodzimy w ciemną noc śnieg usypia gwar i śmiech,
czas ze szkolnej tablicy wydłuża się na emerytowanym cyferblacie
odmierzającym w Polsce i w Los Angeles nostalgiją magicznego baru

Tylko szkolny kapelan z Montrealu pozostanie na zawsze sam
śmiertelnie potrącony przez autobus na progu Canyon Creek
(ale bar gwar śmiech i śnieg to właśnie on – Ross)

Żelazna w 1975 roku

W tunelu żywicznych sosen w ziarnach piachu zgrzytających
w piastach drabiniastych wozów i zepsutych zębach furmanów
umierała kurpiowska baśń na jeden pożar dwa krzyże i kilka wsi:
Wysmołowane kleistym dziegiem chałupy Żelaznej Prywatnej
syczały gromem ognia piekielnego
Na wierzchu każdej strzeczy siedzieli Puszczeni i lali wodę wiadrami
bez żadnej nadziei na inny kolor żaru niż malinowa czerwień
lemieszki porzuconych w zasieku po sierpniowych podorywkach
Ogniowcy z sąsiednich Parciak w złocistych hełmach
z bosakami dzierzonymi wysoko grożącymi żywym i umarłym
pędzili czerwoną motopompą i przystawali co kilka kobylich oddechów
by zerwać asfaltowe ciasto z kół strażackiej amfibii
Zropaczony Chrystus w drewnianym kościele w Jednorozczu
spadł z krzywego krzyża i przestraszył zaborcze orły
na słupie prusko-ruskiej granicy w Chorzelach
Arię pękających bierwion stalowych bron
wrzącej wody w studniach i lamentu kobiet
słyszc było w Brodowych Łąkach gdzie przed 300 laty
strzelcy kurpiowscy z Żelaznej Myszyńca Kadzidla
zasadzili się na szwedzkiego okupanta Karolusa XII
próbując zmienić historię Polski i całego świata

Wczesnym wrześnie w szkole z gipsowym popiersiem
czerwonego bohatera przywleczonego z Moskwy
zamiast królewskich poddanych: Prusików Berków Samseli
zasiadła w ławkach pustka nasycona spalenizną
Kurpie zajęci byli odbudową spalonych dymów
Kurpianki wycinały czerwone jak ogień koguty
Dzieci zwoziły z pól zboże buraki i kartofle
Przy smołówce do Parciak pochylał się coraz mocniej
drewniany krzyż oszpecony bliznami cholery
która dwa wieki temu przeszła żałobnym konduktem
młodych starych dzieci i niemowląt

Waldemar Kontewicz

Waldemar Kontewicz – poeta, prozaik, tłumacz poezji anglojęzycznej. Nauczyciel matematyki w Bieszczadach, na Mazowszu i w Kanadzie w szkole średniej. Po trzydziestu latach spędzonych na emigracji wrócił do Polski i osiadł na emeryturze w Katowicach. Wydał tomiki wierszy: „Wilkierze braniewskie i inne historie wierszem” i „Appendix”. Zbiór opowiadań „Braniewnik” (2011) nominowano do Literackiego Wawrzynu Warmii i Mazur (laur czytelników).

ARCHIWUM LITERACKIE



Odczytując XVII-wieczny poemat na nowo Marcina Borzymowskiego „Nawigacyi” pierwsze tłumaczenie na język niemiecki

O książce rozmawiają Jürgen VIETIG, Christian PLETZING,
Miłostawa BORZYSZKOWSKA-SZEWCZYK

MIŁOSŁAWA BORZYSZKOWSKA-SZEWCZYK

dr nauk humanistycznych, germanistka, adiunkt w Instytucie Filologii Germańskiej UG, kierownik Pracowni Badań nad Narracjami Pamięci Pogranicza, wiceprezes Instytutu Kaszubskiego. Zainteresowania naukowe: pamięć i literatura polsko-niemieckiego pogranicza kulturowego. Autorka m.in. monografii „Pamięć dla przyszłości. Literatura wspomnieniowa potomków szlachty pruskiej z Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich po 1945 roku” (2009).

CHRISTIAN PLETZING

historyk, dyrektor Centrum Akademii w Sankelmark pod Flensburgiem: Akademie Sankelmark, Europäische Akademie Schleswig-Holstein oraz Academia Baltica; zainteresowania naukowe: historia stosunków polsko-niemieckich, historia obszaru Morza Bałtyckiego.

JÜRGEN VIETIG

niemiecki historyk, dziennikarz, współautor m.in. „Deutsche und Polen” (2002)

Miłostawa Borzyszkowska-Szewczyk: Przedmiotem naszej refleksji jest pierwsze tłumaczenie na język niemiecki XVII-wiecznej literackiej relacji z podróży „Nawigacyja morska do Lubeka” spod pióra poety epoki baroku Marcina Borzymowskiego. Wśród badaczy polskiej literatury utwór funkcjonuje jako *pierwszy polski poemat marynistyczny* (Roman Pollak) czy też *poemat podróźniczo-heroiczny* (Edmund Kotarski). Choć sam narrator podkreśla nieznaną żegluga, w obszarze nautyki i marynistyki książka zdaje się mieć ugruntowaną pozycję, między innymi znajdujemy tytuł utworu Borzymowskiego w bibliografii internetowej: „Polska klasyka naukowa i techniczna w sieci”. I tu moje pytanie: Panowie są historykami z wykształcenia. Żywiłem pana redaktora Vietiga jako dziennikarza jest współczesność, dr. Christiana Pletzinga zwłaszcza dzieje długiego XIX wieku i ich konsekwencje w stuleciu następnym. Przedmiot mojego zainteresowania stanowi raczej literatura po 1945 roku. Wszystkich nas tekst Borzymowskiego urzekł, uwiódł i zafascynował. Co znaleźliśmy w tym tekście? Jak odczytaliśmy go na nowo nie z perspektywy badaczy marynistyki czy też literatury staropolskiej?

Jürgen Vietig: Autor, Polak, katolik, szlachcic, pisze w czasach sarmackich bez uprzedzeń o Niemcach,

o ewangelikach, o mieszczaństwie. Podam parę przykładów. I tak o Niemcach, którzy byli na okręcie, pisze:

*A zwłaszcza Niemcy! Tych najbardziej była
Wesoła Muza do siebie zwała.
Brzmiące śpiny i skrzypice mieli,
Różne padwany i balety pieli.
My zaś wesoło, kiedy ich czujemy,
Za ich pobudką w głos wykrzykujemy,
Skąd po powietrzu wszędzie dźwięki brzmiały,
Których i ciche z gór wiatry słuchały,
I słońce samo tym barziej się śmiało,
Iż nas wesołych pod sobą widziało¹.*

Albo w innym miejscu:

*Wszyscy się modlą świątobliwie razem
I głosem pieśni śpiewają wesołem².*

Bardzo wysoko ocenił gościnność mieszczan w Stokhropie:

*A już tym czasem gdy nas obaczyli
Ludzie, jak na dziw ku nam się tłoczyli
Starzy i widzieć młódź wszystkiego chciwa,
I dzieci małe, tak że się okrywa
Wszystek plac niemi i w domach podwoje
I z okien oczy wyciągają swoje,
Chcąc się napatrzeć sarmackiego kroju,
Naszych kompleksjej i wszelkiego stroju,
Bo w tamtym kraju w takich nie chadzają
Sukniach, lecz inszy sposób w strojach mają.
Stąd im żupany długo urobione –
Dziwne i głowy u nas ogolone
I krzywe szable z płaskimi pochwami
A mosiężnemi spięte brajcarami.
Nawet podkówkom niemniej się dziwią,
Jako przybite w botach – upatrują,
Jako kołacą, jako bruk pod niemi*

.....
¹ M. Borzymowski, *Morska nawigacja do Lubeka*, wstęp i objaśnienia R. Pollak. Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1971, s. 47 (245-254).

*Głosu dobywa, gdy chodzimy po ziemi.
Co sobie drudzy palcem skazowali,
Że się przez ciżbę mocą przepychali.
A to gdy doszło Prezydenta cnego,
Który był stróżem praw miasta tamtego,
Wzdjęty ludzkością, a przytym rodzaju
Często nie widząc polskiego w swym kraju –
Dobrym sposobem mieszczanów i swoich
Kilku sług posłał w łosie ustrojonych
Prosząc, abyśmy tak dyskretni byli
A ochotny dom jego nawiedzili³.*

A także w Rostocku:

*Z rydwanami już sam w świetnej jedzie
Starosta pucki karocy i wiedzie
Po ludziach oczy pełne wspaniałości –
Pan Jan Zawadzki – a w swojej ludzkości
Każdemu wdzięcznym i miłym zostaje,
Że z jego twarzy niemal promień wstaje
Pełen jasności, świecąc w obcej stronie
I jego zdobiąc zewsząd pańskie skronie [...].*

*Tu też już miasto na wjazd bliskich gości
Oświadczając swe z murów uprzejmości
Komisarzowi natenczas polskiemu,
Względem traktatów z Szwedem jadącemu –
Ogromne działa z rumorem puścili,
Tak aże słońce fupy okurzyli
I ziemia sama, gdy huk usłyszała,
Z radości raczej, nie z strachu, zadrżała
Ciesząc się z tego, iż cni z Europy
Ludzie prowadzą po niej swoje stopy. [...] ⁴*

Christian Pletzing: Jesteśmy w posiadaniu wielu źródeł i dokumentów, które relacjonują konflikty i konfrontacje czy też nawet wrogość pomiędzy Niemcami i Polakami. Stosunkowo niewiele wiemy o polsko-niemieckiej koegzystencji poza okresami kryzysów. W opisaney przez Borzymowskiego podróży morskiej po Bałtyku Polacy i Niemcy wspólnie mieszkają, jedzą

2 Tamże, s. 52 (445-446).

3 Tamże, s. 76 (25-53).

4 Tamże, s. 147-148 (25-32) i s. 149 (55-64).

i modlą się. Różnice kulturowe są widoczne, ale nie odgrywają decydującej roli. Oprócz tego dowiadujemy się dużo o organizacji podróży morskiej w XVII wieku, jak przebiegał dzień powszedni pod pokładem. Wszystkie te elementy składają się na to, że „Nawigacyja” stanowi fascynującą lekturę.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Niemieckie tłumaczenie oddaje utwór niejako powtórnie także w ręce germanistów, zarówno translatoryków, jak też jako tekst o relacjach polsko-niemieckich czy też o sąsiedztwie w czasach wczesnej nowożytności. Obydwaj panowie są aktorami i współkreatorami po stronie niemieckiej procesu, który bywa nazywany między innymi polsko-niemieckim zbliżeniem czy też pojednaniem. Odniesienie do polsko-niemieckich relacji znajdujemy właściwie już w XVII-wiecznym tytule, w którym mowa o mieszanej – polskiej i niemieckiej – *kompanyi*, która podróż tę odbyła. Czy takie ujęcie okoliczności mogło wpłynąć na fakt, iż jej tłumaczenie na język niemiecki ukazało się dopiero ponad 350 lat później, a w polskich XX-wiecznych wydaniach z tej części oryginalnego tytułu zrezygnowano? Nie pasowało do wcześniej dominujących dyskursów czy też po prostu książka nie znalazła swojego niemieckiego odkrywcy?

Jürgen Vietig: Obydwa warianty brałbym pod uwagę. Udział Polaków w społeczności i historii Gdańska w XVII wieku nie pasował do „Ostkunde-Richtlinien”, wytycznych dotyczących nauczania o niemieckim Wschodzie, które długo były wiążące w szkołach Republiki Federalnej Niemiec. To znaczy, że nie pasował do oficjalnego obrazu przeszłości. Ponadto i w samej Polsce książka nie była raczej bestsellerem. Potrzebny był więc przypadek, aby zwrócić na nią uwagę.

Christian Pletzing: Tym bardziej książka ta wpisuje się w naszą współczesną codzienność. Dlatego też znajdujemy u Borzymowskiego wiele wypowiedzi, które dla nas dzisiaj są przyczynkiem do refleksji, a przed 1989 uważane były za nieprzystające do ducha czasów. Dużo mówimy o polsko-niemieckiej wspólnocie interesów, jeśli chodzi o relację obydwu krajów na płaszczyźnie europejskiej. Jaki wpływ ma ta wspólnota interesów na koegzystencję ludzi? Borzymowski kreśli „wspólnotę interesów” na pewnym statku w XVII wieku. Gdyby współczesny dziennikarz napisał obecnie relację z podróży Polaków i Niemców, różniłaby się od tej Borzymowskiego wieloma technicznymi detalami, ale zapewne nie zasadniczymi spostrzeżeniami dotyczącymi współzycia pasażerów.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Możemy na tekst Borzymowskiego spojrzeć więc jako na przykład literackiego ukazania relacji polsko-niemieckich w XVII wieku, nieskażonych nacjonalizmem późniejszych wieków, przed umocnieniem się Prus jako mocarstwa, przed rozbiorem Polski, ukonstytuowaniem się nacjonalizmów w XIX wieku i szaleństwami nacjonalistycznymi XX wieku. Stan relacji, do których próbujemy niejako – szczególnie po 1989 roku – wrócić, próbując wpływać na dalszy bieg historii. Czy raczej mamy tu do czynienia z fenomenem osobowości autora, reprezentującego wyjątkowo otwartą postawę na inność?

Jürgen Vietig: Chociaż tak bardzo niewiele wiemy o autorze, zgadza się, że utwór ten jest szczególnie interesujący jako przykład ukazania polsko-niemieckich relacji w XVII wieku.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: O samym poecie niewiele wiadomo – jak pan Vietig zauważył, „*Nawigacyja*” jest jedynym utworem, który opublikował, a większość skąpych informacji funkcjonujących w obiegu osnuta jest otoczką przypuszczeń. Urodził się około 1630 roku na Podlasiu, był właścicielem Borzymów, skończył – chyba – gimnazjum, prawdopodobnie jechał z misją dyplomatyczną na spotkanie z wysłannikami Szwecji. Zarazem badacze nie podają w wątpliwość, że opisywana podróż odbyła się w rzeczywistości. Jak ujął to Roman Pollack, książka mówi o wyrażaniu przeżyć autentycznych, a Edmund Kotarski – o *relacji z autopsji*. Tak więc tekst ten traktowany jest przede wszystkim jako relacja marynistyczna i literacki dokument epoki.

Czytanie to zawsze zarazem spotkanie z Innym. Utarty obraz polskiego Sarmaty składa się z konkretnych elementów, przy czym współcześnie zdaje się dominować negatywny obraz. Na ile spotkanie z narratorem Borzymowskim może potwierdzić, uzupełnić czy też zmienić ten stereotyp? Jak wyobrazają sobie panowie Marcina Borzymowskiego?

Christian Pletzing: Tekst Borzymowskiego nie pasuje do utartych wyobrażeń, które łączymy z przedstawicielem szlachty w okresie sarmatyzmu. Nie tylko opisuje bez uprzedzeń, ale wręcz z zainteresowaniem protestanckie mieszczaństwo niemieckie w odwiedzanych miastach hanzetyckich. Katolik Borzymowski traktuje z szacunkiem protestanckiego Niemca zarówno na pokładzie statku, jak i na lądzie. Kulturowe różnice, związane z sarmatyzmem, dopiero wówczas stają się widoczne, gdy polscy podróżujący udają się na ląd i tu swoim strojem i „egzotycznym” wyglądem wzbudzają zainteresowanie i poruszenie.

Jürgen Vietig: Dla mnie osobiście jest to bardzo tajemnicza sprawa. Dlaczego Borzymowski napisał swój utwór dopiero 11 lat po podróży? Dlaczego nie był obecny podczas druku? Czy on w roku 1662 jeszcze żył? Kto mógłby być zorientowany w takim dobrym obrazie miast hanzetyckich, ich mieszkańców ewangelickich? Czy Borzymowski, czy ktoś inny pod nazwiskiem Borzymowskiego napisał „*Nawigacyję*...”? Napisał to – powiedzmy – na własnym czy „na cudzym garnuszku”? Badacz, który patrzy na Borzymowskiego tylko jako na twórcę *u progu marynistyki polskiej*, nie będzie odpowiadał na takie pytania, ja też nie jestem w stanie. Ale mam nadzieję, że współcześni polscy naukowcy podejmą te kwestie.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Poemat wydany został po raz pierwszy w 1662 roku w lubelskiej Oficynie Stanisława Krasuńskiego, czym współczesny Lublin się szczyci. W internetowej publikacji „*Leksykon Lublin*” znajdujemy przy hasle poświęconym temuż wydawcy informację, że *na szczególną uwagę z dorobku oficyny zasługuje* wydany w roku 1662 poemat

Marcina Borzymowskiego⁵. Poemat, którego tytuł XVII-wiecznego oryginału w pełnej formie brzmiał (i tu pozwolę sobie przytoczyć tytuł w pełnej barokowej krasie):

*Morska nawigacja do Lubeka. Przez pewną tak polskiej jak
niemieckiej nacyjey kompaniją (z którą pospoły niżej pomieniony
Autor zostawał) w Roku Pańskim M.V.LI. [1651] czyniona. Na siedm
rozdziałów ułożona. W każdym rozdziale rozmaite rzeczy:
mianowicie niebezpieczeństwa i nawałności morskie, różne ludzkie
afekty i transakcje, krótki buntu kozackiego początek, ekspedycja
z okazyjea Beresteczka, narzekania, strachy, suplikacje i występki
pewnych osób wierszem polskim są opisane przez Marcina na
Borzymach Borzymowskiego.*

Panie redaktorze, *spiritus movens* niemieckiego wydania książki, jak przebiegała pana przygoda z „Nawigacją” Borzymowskiego? Jak trafiła w pana ręce i skąd decyzja o jej wydaniu?

Jürgen Vietig: Na książkę natknąłem się przez przypadek, a zelektryzowało mnie w gruncie rzeczy tylko jedno słowo: Lubek czy też Lubeka. Dziewięć lat mojego życia szkolnego aż do matury spędziłem bowiem w Katharineum. Słynne na całym świecie stało się dzięki swojemu uczniowi, Tomaszowi Mannowi, który zakończył pobyt w tej szkole przed maturą. A tak na marginesie: pomimo to odwiedził Katharineum jeszcze krótko przed śmiercią, stąd mogłem zobaczyć go podczas jego wystąpienia w auli Katharineum. A Katharineum znowuż miało szczególnie związki z Gdańskiem. Znany anarchista i pisarz Erich Mühsam, były uczeń Katharineum, ubolewał nad faktem, że nie ma inteligentnych rymów w języku niemieckim na słowo Danzig, ostatecznie znalazł tylko jeden spuneryzm: *Man wollte sie zu zwanzig Dingen / in einem Haus in Danzig zwingen* [Chcieli ich zmusić do dwudziestu rzeczy w pewnym domu w Gdańsku]⁶. O tym dowiedziałem się z „Przewodnika literackiego po Gdańsku” Petera Oliviera Loewa, który ukazał się także po polsku.

Osobiście miałem kontakt z gdańszczaninem pisarzem Franzem Erdmannem, który był moim nauczycielem języka niemieckiego. Wśród uczniów znany był jako Franz von Danzig. Jeżeli na lekcji padały z jego strony pytania względnie trudne, to jeden z uczniów odzywał się mniej więcej coś w stylu: *Ale w Gdańsku było inaczej...*, lub w zależności od sytuacji: *lepiej czy gorzej*. I w ten sposób cała lekcja z punktu widzenia leniwych uczniów była „uratowana”, bo wiedzieliśmy, że profesor Erdmann będzie do końca lekcji mówić już tylko *prawdę o Gdańsku*⁷. Patrząc z dzisiejszego punktu widzenia, muszę przyznać, że Franz Erdmann w latach 50. po prostu

⁵ Zob. T. Pietrasiewicz, *Morska nawigacja do Lubeka. Marcin Borzymowski (1662)*, [w:] *Leksykon Lublin*, <http://teatrn.pl/leksykon> [20.01.2015].

⁶ P. O. Loew, *Gdańsk. Przewodnik literacki. Osiem spacerów po Gdańsku*, tłum. M. Kałużna, I. Sellmer, T. Ososiński, Gdańsk: Instytut Kultury Miejskiej; Poczdam, 2013, s. 14.

⁷ Tamże, s. 346-347.

cierpiał z powodu utraty swojego Gdańska, jego *heimatu*, a my, uczniowie, wykorzystywaliśmy ten fakt w sposób bezwzględny.

Ale wróć do książki... Po zakupie leżała parę lat wśród innych nieprzeczytanych tomów. Dopiero kiedy odwiedziłem Lubekę i obejrzałem wystawę w muzeum – Dom Güntera Grassa pod tytułem „Von Danzig nach Lübeck” [Z Gdańska do Lubeki], przypomniałem sobie, że mam w domu książkę, która porusza właśnie ten temat. Przeczytałem wtedy tę książkę i byłem zaskoczony nie tyle jej poetycką wartością – to nie moja domena – ale treścią. Autor, Polak-katolik-szlachcic, pisze w czasach sarmackich bez uprzedzeń o Niemcach, o ewangelikach, o mieszczaństwie... Najpierw nie byłem pewien, czy nie przeceniłem tych elementów. Szukałem więc rozprawy na temat „Nawigacyi” i znalazłem w końcu artykuł prof. Witolda Kośnego, sławisty na uniwersytecie w Rostocku. Według niego Borzymowski był wyjątkowym autorem ze względu na treść tej książki, a nie dlatego że był jednym z pierwszych *u progu marynistyki*⁸. Zadzwoiłem więc do profesora, syna znanego działacza polonijnego na Opolszczyźnie zamordowanego jeszcze przed II wojną światową przez nazistów. Na berlińskim Wolnym Uniwersytecie zdawałem u profesora egzamin na polonistycę. Szybko doszliśmy do przekonania, że trzeba przetłumaczyć Borzymowskiego i opublikować tę książkę w Niemczech.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Moją uwagę we wstępie prof. Kośnego – zanim sięgnęłam po tekst Borzymowskiego – zwróciło właśnie sformułowanie *mehr als Reisebericht* [więcej niż relacja z podróży]. Jest decyzja: *publikujemy*. I co dalej?

Jürgen Vietig: Ważny był krąg zaangażowanych ludzi, tzw. network. Najpierw rozmawiałem z moim kolegą, także byłym korespondentem ARD w Warszawie Friedrichem Wilhelmem Kramerem, który miał bliskie kontakty z Akademią Baltica. Dr Christian Pletzing dał się bez trudu przekonać do wartości książki, którą zamierzaliśmy wydać w serii *Colloquia Baltica*. Za to jeszcze raz dziękuję. Z polecenia Petera Oliviera Loewa dotarliśmy już razem do znakomitego tłumacza Bernharda Hartmanna, który w 2013 roku był laureatem prestiżowej nagrody translatorskiej im. Karla Dedeciusa. Dwie fundacje lubeckie, Possehl-Stiftung i Jarchow-Stiftung, sfinansowały tłumaczenie i druk, a profesor Kośny jako autor wstępu zrezygnował z honorarium. A ja jako redaktor poszukałem XVI- i XVII-wiecznych ilustracji.

172

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Zanim wrócimy do kwestii tłumaczenia i do wspaniałych ilustracji, które przenoszą czytelnika obrazem w XVII wiek, mam pytanie do Christiana Pletzinga. Panie doktorze, panie dyrektorze, Christianie. Przyjąłeś książkę do serii *Colloquia Baltica* (to już 23 tom!), chociaż seria jako taka nie jest raczej nastawiona na wydawanie tekstów literackich. Co kierowało tobą przy podejmowaniu tej decyzji?

8 Zob. Witold Kośny, *Navigatio et narratio. Ein polnischer Landadliger auf Meeresfahrt von Danzig nach Lübeck*, [w:] *Erkundung und Beschreibung der Welt. Zur Poetik der Reise- und Länderberichte. Vorträge eines interdisziplinären Symposiums vom 19. bis 24. Juni 2000 an der Justus-Liebig-Universität Gießen*. Hrsg. v. Xenja von Ertzdorff u. Gerhard Giesemann, unter Mitarbeit von Rudolf Schulz, Amsterdam/New York 2003, s. 365-391.

Christian Pletzing: Wydawana przez Akademię Baltica seria Colloquia Baltica łączy różne formaty: tomy pokonferencyjne zawierające publikacje, które powstały w ramach naszych konferencji i seminariów, doktoraty, zbiory artykułów oraz literackie przewodniki. Wspólnym mianownikiem wszystkich tomów jest tematyka – historyczne i aktualne stosunki ludzi w obszarze Morza Bałtyckiego. Jeden z punktów ciężkości stanowi relacja Niemców z ich wschodnimi sąsiadami, w tym zwłaszcza z Polakami. Tak więc literacki tekst Borzymowskiego jest nowym gatunkiem w serii Colloquia Baltica. Ponieważ jednak obok historii kultury, codzienności i stosunków politycznych w obszarze Morza Bałtyckiego przedstawia relacje polsko-niemieckie, nie miałem trudności z podjęciem decyzji o opublikowaniu tomu w naszej serii. Do tego dochodzi aspekt osobisty: w końcu mieszkałem jedenaście lat w Lubece i dobre kilka miesięcy w Gdańsku. W ostatnich latach wiele razy przemierzałem trasę pomiędzy obydwooma miastami. Również i z tego względu nie musiał redaktor Vietig nade mną pracować, aby przekonać mnie do projektu.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Borzymowski opowiadając o kolejnych napotkanych i poznanych ludziach, przedstawicielach różnych nacji i stanów oraz nawiedzanych miejscach, kreśli konkretny obraz Europy XVII-wiecznej. Jaki to świat, na ile przystaje do innych wyobrażeń o tamtych czasach?

Jürgen Vietig: Jak już mówiłem, Polak, katolik, szlachcic pisze w czasach sarmackich bez uprzedzeń o Niemcach, o ewangelikach, o mieszczaństwie. Podam kolejne przykłady. Także jeżeli chodzi o religię, okazuje się bardzo tolerancyjnym człowiekiem i na przykład przy wyborze kaznodziei na okręcie wypowiada się:

*A zaś z Niemcami dalej konferował
O nabożeństwie i sam wpród galanta
Spojśród gromady obrał predykanta
I z pięknej tylko ulubił go cery,
Chociaż mało co znał w piśmie litery,
Lecz z przyrodzenia przypowiastrki cnemu
Miał Ezopowi podobne mądrości,
Żeśmy się wszyscy nim delectowali,
Kiedyśmy jego kazania słuchali⁹.*

173

A relacjonując ewangelickie nabożeństwo żałobne, zaznacza:

*Wszedł na ambonę predykant uczony
I wszystkie okiem ogarnąwszy strony
Począł rzecz prawić o wielkiej radości,*

.....
9 M. Borzymowski, *Nawigacja...*, s. 46 (228–236).

*O chwale niebios i o szczęśliwości
Mieszkańców świętych, których przez krew swoją
Bóg zaprowadził w niebieskie pokoje.
Zaczymby namniej wątpić nie potrzeba,
Aby Fruzyzna nie poszła do nieba.
Cierpiał Bóg za nas, a krew darmo jego
Nie wyszła, ale spływa na każdego.
Już tedy ona wypłaciwszy długi
Przez krew Jezusa, nie przez swe zasługi
W niebie zostawa, gdzie i my będziemy
Wszyscy – da Pan Bóg, gdy z świata znijdziemy.
Na ten kształt kazał łagodnemi słowy,
A gdy uczynił koniec swojej mowy,
Znowu się ludzie w kościele ozwali
I coś według swej wiary zaśpiewali¹⁰.*

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Swoją podróż książka – bohaterka naszej rozmowy – odbywa niejako w odwrotnym kierunku. Po promocji w Berlinie i Lubecie przy udziale Bjoerna Engholma, niegdyś czołowego polityka SPD i premiera landu Szlezwik-Holsztyn, który był autorem lubeckiej laudacji, tom dociera do Gdańska. Stąd Marcin Borzymowski – główny protagonista i narrator poematu w jednej osobie – rozpoczął swoją morską przygodę w 1651 roku. To dokładnie 364 lata [tekst z 2015 roku – przyp. red.] temu, 3 lata po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, która na nowo uporządkowała układ sił i relacji wyznaniowych w Europie. Poemat ukazał się 11 lat po dacie przypisanej do opowiadanej podróży. Pomiędzy 1651 a 1662 rokiem przez ziemie polskie przeszedł potop szwedzki (1655-1660), który formalnie zakończył pokój zawarty w Oliwie w 1660 roku. Nie znajdujemy żadnych nawiązań do tego wydarzenia, co może frapować. Jak pan tłumaczy ten fakt, panie redaktorze?

Jürgen Vietig: I dla mnie stanowi ta kwestia zagadkę. Być może wiąże się to z faktem, że potop szwedzki zepchnął na drugi plan wspomnienie wojny trzydziestoletniej.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Rozmawiamy w trójkę w języku polskim. Redaktor Vietig jest absolwentem slawistyki i zarazem – jak również dr Christian Pletzing – historii Europy Wschodniej, ja natomiast polską germanistką. Wybór tych kierunków zwłaszcza w latach 60., a i nadal w latach 80. to nie była mainstreamowa decyzja. Żelazna kurtyna w przypadku obydwo panów nieskutecznie podzieliła świat. Skąd te decyzje?

Jürgen Vietig: Granica miasta Lubeki była zarazem granicą strefy, granicą z NRD, czyli żelazną kurtyną. Byłem ciekawy, interesował mnie świat za tą kurtyną; a moja szkoła – lubeckie Katha-

10 Tamże, s. 170-171 (792-809).

rineum – dawała możliwość zajmowania się tym. Można było brać udział – dla chętnych – w zajęciach języka rosyjskiego. Także dla chętnych organizowano kursy o marksizmie i leninizmie, czytano „klasyków”, ale zarazem i najważniejszych krytyków komunizmu. Wpłynęło to na moje wybory kierunków studiów – historii Europy Wschodniej i slawistyki. W ramach slawistyki musieliśmy natomiast wybrać drugi język, i to był polski. Wkrótce stał się dla mnie pierwszym językiem słowiańskim.

Christian Pletzing: Wzrastałem w Nadrenii-Westfalii w latach 70. i 80. Z mojej ówczesnej perspektywy Polska była krajem na innej planecie. To zmieniło się, gdy z początkiem lat 80. zacząłem interesować się historią mojej rodziny. Odkryłem wtedy, że mój pradziadek urodził się niedaleko Gdańska. W 1985 roku – jeszcze jako uczeń – byłem po raz pierwszy w Polsce. Te odwiedziny zrobiły na mnie duże wrażenie. Zaczęła rozwijać się osobista relacja z tym krajem, dotychczas dla mnie egzotycznym. W roku przełomu – 1989 – zdawałem maturę. Polityczne zmiany w Europie Środkowej otworzyły przede mną możliwość, aby z moich prywatnych zainteresowań uczynić główny punkt ciężkości studiów, a ostatecznie i ścieżki zawodowej.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Wróć do naszej bohaterki. Podstawą reedycji w 1938 roku¹¹, przygotowanej przez profesora Romana Pollaka, a opublikowanej przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, poprzedniczkę GTN w Wolnym Mieście Gdańsku, był dublet z Carskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, odnaleziony przez prof. Aleksandra Brücknera i przekazany Bibliotece Narodowej. Spłonął w 1944 roku. Powojenne wydania ukazały się w 1951¹² i 1971 roku. Okładka ostatniego polskiego wydania prezentuje się w charakterystycznej szacie graficznej Wydawnictwa Morskiego z tamtego czasu. Dzięki pracy panów my w Gdańsku mamy okazję wyciągnąć z naszych zbiorów owe historyczne już wydania. Czy opowieść spod pióra Borzymowskiego ma szansę uwieść niemieckiego czytelnika, czy też raczej dzięki niemieckiemu wydaniu wrócić do Gdańska?

Jürgen Vietig: Mam nadzieję, że książkę przeczytają tzw. *multiplikatorzy*, którzy przekażą dalej informację, że w XVII-wiecznej Polsce pomimo wojny, konfliktów religijnych był taki autor jak Borzymowski, który traktował niemieckich sąsiadów bez uprzedzeń, postrzegał wspólnie Polaków i Niemców jako Europejczyków.

Christian Pletzing: „Nawigacja” opowiada czytelnikowi zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, że oprócz okresów konfliktów w XIX i XX wieku były też epoki pokojowego sąsiedztwa czy nawet współistnienia. Tego długo nie byliśmy świadomi. Być może książka zachęci tego lub innego czytelnika, aby zjechać pobrzeże Bałtyku, zapoznać się z historią kultury regionu, a przy tym spotkać Niemców i Polaków.

¹¹ M. Borzymowski, *Morska nawigacja do Lubeka*. Z pierwodruku 1662 wydał R. Pollack, Gdańsk 1938.

¹² *Morska nawigacja* [!] do Lubeka / Marcin Borzymowski; z wstępem i objaśnieniami Romana Pollaka [drzeworyty wyk. Bogusław Marschall], Gdańsk: Wydawnictwo Morskie, 1951.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Utwór oryginalny składa się z siedmiu wierszowanych rozdziałów wzbogaconych marginaliami, poprzedzonych wprowadzeniem – argumentami – prozą oraz notką wydawcy, z której wynika, że autor nie uczestniczył w wydaniu książki. Poemat opowiada o wrażeniach i przygodach podczas podróży morskiej narratora-szlachcica, zawiera relację z bitwy pod Beresteczkiem, opowieść o ścięciu Karola I, opis pobytu na wyspie w Stokhopie i w Rostocku, a w ostatniej części dzieje Arnolfa i Praksedy. Niemieckie wydanie oprócz kompletnego tłumaczenia oryginału zawiera wprowadzenie rostockiego slawisty – badacza literatury rosyjskiej i polskiej – profesora Witolda Kośnego, opracowany przez niego glosariusz postaci i miejsc występujących w tekście (historycznych, mitologicznych i związanych ze specyfiką katolicyzmu). Niemieckojęzyczne spotkanie z Borzymowskim zamyka posłowie redaktora Jürgena Vietiga o osobistej przygodzie z książką oraz tłumacza Bernharda Hartmanna „Anmerkungen zur Übersetzung” [uwagi do tłumaczenia]. Całość wzbogacona jest licznymi grafikami, które zebrał i dobrał redaktor. Część z nich możemy zobaczyć na przygotowanej prezentacji. Panie redaktorze, skąd pochodzą te grafiki? Według jakiego klucza pan je dobierał?

Jürgen Vietig: Przed wszystkim chodziło mi o to, by znaleźć współczesne Borzymowskiemu ilustracje pokazujące ludzi, żeglugę, miasta, historyczne wydarzenia i postaci. To założenie nie zawsze udało się zrealizować, dlatego wykorzystuję również starsze grafiki. Drugie kryterium miało charakter finansowy: koszty udostępnienia do druku nie mogły być za wysokie, dlatego też sięgnąłem po ilustracje z commons.wikimedia.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Najbardziej szczegółowe odniesienia do życia niemieckiego znajdujemy w opisie wizyty miasta Stokhop. Roman Pollak zalicza epizod w *nieznanym z geografii mieście Stokhop* [...] do zakresu fikcji, prócz snów i wróżb. Panie redaktorze, wiem, że i pan próbuje rozwiązać tę zagadkę. Jakim tropem podążył pan w swoich peregrynacjach?

Jürgen Vietig: Edmund Kotarski postawił tezę, że chodzi o miejscowość Stothave (dzisiejszy Stuthof) pod Rostockiem¹³. Ja natomiast jestem zdania, że mówiąc o Stokhopie, Borzymowski ma na myśli Lubekę. Dlaczego?

Pokazanie Lubeki na końcu podróży nie pasowałoby do religijno-literackiej koncepcji Borzymowskiego: on rozpoczyna i kończy swój tekst przywołaniem Maryi. Ukazanie Lubeki po tym zniszczyłoby klarowną poetycką konstrukcję. Dlatego też – to moja teza – Borzymowski przełożył doświadczenia lubeckie do wymagowanego Stokhopu, którego bogactwo jest wszędzie widoczne. Bo Lubeka była bardzo bogatym miastem nad Bałtykiem. Nawet czerpała korzyści z wojny trzydziestoletniej. To tam się interesują sytuacją międzynarodową. Tam mają obawy, co nastąpi po śmierci w wyniku egzekucji angielskiego króla Karola I... I okazało się po krótkim czasie, że tzw. *acta navigationis* Cromwella były wielkim ciosem dla handlu Lubeki. Poza tym słowo „Stokhop” jest kombinacją nazw dwóch wsi z sąsiedztwa Lubeki: Stock-elsdorf i Heils-

13 E. Kotarski, *U progu marynistyki polskiej: XVI-XVIII wiek*, Gdańsk: Wydawnictwo Morskie 1978, s. 10. Zob. także W. Kośny, *Navigatio et narratio*, s. 372.

hoop. A przy tym nasuwa się kolejne pytanie: Dlaczego Borzymowski mówi o Lubeku, a nie o Lubece? Czy tylko jest dumny, że jest znawcą języka niemieckiego, w którym mówi się Lübeck, a nie Lubeka? Tak jak mówią Niemcy z byłej NRD: byłem w Cylenja Gora zamiast w Grünberg. Nie wiem...

Miłoslawa Borzyszkowska-Szewczyk: Przetłumaczyć utwór literatury staropolskiej to nie lada wyzwanie. Podjął się go Bernhard Hartmann, laureat prestiżowej nagrody im. Karla Dedeciusa, tłumacz twórczości między innymi Tadeusza Różewicza, Julii Hartwig czy Hanny Krall. Jury nagrody w swoim uzasadnieniu podkreśliło jakość tłumaczenia, filologiczną dokładność i jednocześnie pełen wyrazu i pewny stylistycznie przekład. Uzupełniono tę ocenę stwierdzeniem, że Bernhard Hartmann we wszystkich swoich pracach wypełnia postawione przed samym sobą wymaganie, że dobre literackie tłumaczenie musi być zarazem dziełem sztuki, które samo siebie wybroni¹⁴. W posłowniu od tłumacza autor przekładu wyjaśnił, jakie przyjął przy tym zasady, między innymi poprzez ustawianie akcentowanych i nieakcentowanych jednostek syntaktycznych starał się nadać tekstowi rytmiczny porządek i uzyskać rytmiczną całość. W tym celu zastosował także przedstawianie szyku wyrazów i wykorzystał możliwości pozycjonowania zaimków. Jak przyjął to tłumaczenie czytelnik niemiecki? Jakie głosy od czytelników dotarły do państwa?

Jürgen Vietig: Bernhard Hartmann zrezygnował z wiersza tylko do pewnego stopnia. Jak napisał jeden z recenzentów – *unowocześnił* tekst, dostosowując go do dzisiejszych wymogów językowych. Na razie zareagowały na tę książkę Norddeutscher Rundfunk w Kilonii, polski program internetowy Deutsche Welle w Bonn, „Lübeckische Blätter” i „Unser Danzig”, organ prasowy byłych niemieckich mieszkańców Gdańska, i mogę powiedzieć, że wszystkie reakcje były pozytywne. Deutsche Welle podkreślało, że *...z notatek tych [tzn. Borzymowskiego] wylania się szeroka panorama polsko-niemieckich powiązań, sympatii oraz uprzedzeń, a także zwykła szczerza ciekawość odmiennosci. I to jest chyba największa wartość tej opowieści, jeśli ocenia się ją z dzisiejszej perspektywy. A „Unser Danzig” przedstawiał książkę jako unikatowy utwór na tamtejsze czasy. Natomiast „Lübeckische Blätter” określają ją nadzwyczajnym odkryciem.*

Miłoslawa Borzyszkowska-Szewczyk: Pragnę podziękować redaktorowi niemieckiego wydania za wyeksponowanie Gdańska w tytule, czego nie uczynił ani sam autor, ani polski wydawca. Książka jest jeszcze bliższa gdańskiemu sercu. Czy to dzieło przypadku, czy też decyzję tę poprzedzały konkretne przemyślenia?

Jürgen Vietig: Byłem zdania, że tytuł powinien wskazywać potencjalnemu czytelnikowi, o co chodzi konkretnie w tej książce. W podróże morskie do Lubeki wyruszano w XVII wieku z wielu miast portowych. Dosłowne tłumaczenie polskiego tytułu wypadłoby tu zbyt ogólnikowo.

14 Zob. <http://www.bosch-stiftung.de/content/language1/html/46795.asp> (21.01.2015).

Christian Pletzing: Moim ulubionym fragmentem jest scena pożegnania gdańskich kawalerów przez ich panny, a zwłaszcza jej puenta. Pozwolę sobie przytoczyć:

*Już nas powozi wiatr i swym zacina
Świstaniem żagle, kiedy dąć poczyna,
Już Żeglarz cale na wodę kieruje;
Z nas się niejeden brzegom przypatruje.
A gdy już piaski i trawy mijamy
I na głębszą się wodę posuwamy,
Z dała za nami na bacie wołają:
„Stójcie!” – a pilno wiosłem nakładają.
„Stójcie!” – po wtóre i po trzecie: „Stójcie!
Przez nas – prosimy – w drogę nie żeglujcie!”
My przedsię jedziem; ni Marynarz tego
Słuchał, ni biegu zahamował swego.
A bat tym bardziej spieszy się za nami
I bardziej ludzie siłą się wiosłami,
Ale nas trudno już dogonić mieli,
Bośmy się w sporą żeglugę zawzięli.
Znowu zaś: „stójcie!” – na bacie wołają,
A mieszkam na znak zapłaty trzęsają.
Dopiero Żeglarz, kiedy nań wołały
– Stójcie! – ze złota same portugały:
„Rzuć kotew – prawi – żagle zaciągajcie
A kawalerów tamtych poczekajcie!
I sam Neptunus takiego rad wozi,
Który mu jakim upominkiem grozi”.
Wtym bat przyjechał pięknie malowany,
Na nim baldachim z wierzchu pozłacany,
W nim nimfy gdańskie przy stole siedziały,
Co kawalerów swych wyprowadzały.
Łzy im się toczą – jak perły – oczami,
A za ręce się trzymają rękami.
Ach! z jakim żalem Niemcy się żegnają!
Ach! jako panny serdecznie wzdychają!
Jeden kieliszkiem do swej obiecuje,
A napiwszy się – w usta ją całuje.
Ona mu fawor na skroń przylepiła:
„Nać znak miłości! A jeżeli była
Tobie serdeczna, weź i serce moje!
Kędy ty jedziesz, tam będziem oboje!”*

Drugi wziął lutnię a swe wesołości
 Żalem przeplatał i postrzał miłości
 Cieszył, jako mógł, choć go rozrzewniały
 Strony, gdy echo smutne wydawały.
 Długo mu w oczach łzy grobla trzymała,
 Lecz się miłości powodzią przerwała.
 I ty niemniejsze, nimfo, lejesz wody!
 Twoje z kochankiem upłyną świebody!
 Ten ci dobranoc – jako słowik – śpiewał
 I jeszcze wdzięczniej dobry dzień opiewał.
 Więc na pamiątkę, iż go kochała,
 Fetoć do lutnie jego przywiązała.
 Trzecia swojemu równiankę podała
 A słów kilkoro – westchnąwszy – przydała:
 „Jako ta róża, tak się me rumieni
 Od ognia serce, a większych płomieni
 Co raz tęskliwe przymnaża wzdychanie.
 Nigdy ten ogień we mnie nie ustanie!”
 Na to kawaler rzecze podobnemi –
 We mgłości stojąc – słowy żalobnemi:
 „I jam nie różą, lecz płomień wziął właśnie,
 Który też w sercu moim nie ugaśnie.
 A jeśli kiedy ognie ucichają,
 Częste wzdychania znowu je wskrzeszają”.
 Wtym się odezwie Marynarz i rzecze:
 „Siadajcie prędko! daremno płaczecie!
 Dość w morzu wody! Długoż tu stać będziem?
 Lubo płaczecie – na łzach nie pojedziem!”
 Więc podniósł żagle; toż na okręt wsiedli
 Kawalerowie a żal długi wiedli.
 Panny zaś batem do dom powracają,
 Na swych kochanków coraz wyglądają.
 Tam ich myśl, serce i oko skazuje,
 Kędy swój miłość majestat buduje.
 A my na ich żal sporo popływamy
 I Hyl miasteczko bokiem omijamy¹⁵.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Wydanie książki, niekierowanej do masowego odbiorcy, od strony technicznej jest zawsze wyzwaniem, nawet jeśli opowieść trafia na swoich pasjonatów,

.....
 15 M. Borzymowski, *Nawigacja*..., s. 41-43 (55-128).

czyli jest energia twórcza do działania. Jak wyglądała sytuacja w przypadku „Nawigacyi” od tej strony? Jak zebrali panowie środki na jej wydanie? Ile wynosi nakład?

Christian Pletzing: Nakład wynosi 300 egzemplarzy, i ta liczba pokazuje, że książka skierowana jest przede wszystkim do badaczy i do bibliotek. Trzeba przy tym wziąć pod uwagę, że do opublikowania tłumaczenia XVII-wiecznego polskiego poematu nie tak łatwo przekonać instytucje finansujące projekty. Przede wszystkim nam, w Niemczech, czas powstania książki, ale i jej forma, są raczej obce. Dlatego też należało przeprowadzić szeroko zakrojoną akcję, aby zdobyć partnerów do tego projektu. Tym bardziej cieszę się, że dwie lubeckie fundacje – Possehl-Stiftung i Reinhold-Jarchow-Stiftung – ostatecznie podjęły się sfinansowania projektu. Jednakże bez zaangażowania i wytrwałości pana Vietiga nie udałoby się tego dokonać.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: I ostatnie pytanie. Wyobraźmy sobie, że mamy za zadanie ustalić kanon literacki dotyczący obszaru Morza Bałtyckiego? Czy tekst Marcina Borzymowskiego powinien się tam znaleźć?

Jürgen Vietig: Tak. Ze wszystkich podanych tu względów.

Christian Pletzing: W każdym przypadku. Oczywiście „Nawigacja” Borzymowskiego, aby być zaliczona do kanonu, jest za mało znana. Z drugiej zaś strony dowiadujemy się z niej o polityce, tendencjach kulturowych, handlu, codzienności, religijnych wyobrażeniach i relacjach międzyludzkich w XVII wieku w basenie Morza Bałtyckiego. I ostatecznie: kanon jako taki mógłby nas zaskoczyć od czasu do czasu.

Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk: Nad kanonem i my możemy pracować... Dziękuję za rozmowę.

O książce rozmawiali:

Jürgen Vietig, Christian Pletzing, Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk

oprac. Miłosława Borzyszkowska-Szewczyk

POEZJA



George Mackay BROWN

Noworoczne opowieści

Wzywamy was, mieszkańcy Hoy,
Z milczących cmentarzy
Do naszego noworocznego ognia; Mansa,
Który ze starą liną
Poszedł za parszywą owcą
Na ścianę urwiska;
Sanderą, który miał oczy jak kormoran,
A opięczętowała je zamieć w dniu,
Kiedy Nell rozbiła się o skałę w Braga;
Jocka, właściciela dwudziestu uli
(Jasny łup z Coolags w każdej spizarni,
Plaster miodu
Osłodziłby naszą whisky);
Andrew, który poślubił osiem bezpłodnych kobiet
I pochował siedem,
A oczy zimnymi dłońmi zamknęła mu dziewczyna;
Jeemsa, który pijany rzępolił
Na weselach, pogrzebach i chrzcinach
We wszystkich domach, na pięciu wyspach;
Tama ze Stu Wielorybów;
To was, których zabrała natura czy pech;
Znowu w tę zimową noc
Wzywamy, byście, nim wzejdzie ziarno,
Wyszli z ziemi.

Zrzuciliście jarzmo słońca i deszczu,
 Naszego ciężkiego kieratu chleba,
 I jesteście panami legendy, nie ma się was zmiana czy los;
 My jesteśmy cieniami przy uginającym się stole.
 Kiedy lampa zblednie
 I skończą się opowieści,
 I pęknie ostatnia butelka,
 Odejdźcie, szybko wracajcie,
 Do waszej dobrej ciszy.

Tonący bracia

Rzekł chłopiec (jego ramię to podłużny, biały głaz):
 „Potok jest rybą wśród płotów...
 Potok jest pomykającym czółenkiem...”
 Zagrodnik sterował ku domowi.
 Marnotrawne zboże stało w drzwiach słońca,
 Strojnego w żniwne zagony.
 Zagrodnik dobił do brzegu. Dojrzałe ręce wiatru
 Dusił jego łupacza.
 Przywołał kobiety od ognia i krosien.

Rzekł brat (jego udo to okaleczony blask):
 „Potok jest skowronkiem w klatce. Spragniony srebrny język
 Wysuwa się i cofa...:
 Przez cały dzień potok pulsował między wzgórzami i plażą.
 Gołębie niepokoily się na ściernisku.
 Kobiety o spizowych gardłach pochylały się nad snopami.

Rzekł pierwszy chłopiec (pół-marmur i pół-ciało):
 „Potok-włóczęga spieszy z pola na pole,
 Błaga o drobiazgi.
 Z pluskiem niesie plotkę od wrzosu do źdźbła zboża, do wodorostów.
 Rozkłada swój tobołek przy każdym kamieniu,
 Strugi szafiru i koronki,
 Wśród trzciny próbka zielonego jedwabiu...”
 Ziarenko owsa, puszka, słomka opuściły niespieszną dolinę.
 Ikey snuł się skrajem ścierniska,
 Zmitrzążył ten dzień za skowronkami, szczurami, rybakami.

Rzekł brat (jego gardło to rzeźbiony psalm):
„Potok jest naszym aniołem. On wychwala.
On napełnia nasze wiadra.
On płonie w twarzach pijących bestii.
On niesie cały brud z doliny
Do zatoki po siedemkroć jasnej.
On przekręcił klucz.
Spiesz się, podążaj za zimnym.
Zawloką nas znowu do dawnego portu i gnoju...”
Te wzgórza, Ward i Moorfea, dumają o nich,
O mrocznych aniołach.

Traktor pulsował jednym pilnym obrazem, chlebem

Ciężarne obrazami posągi tonęły.

George Mackay Brown
Przekład: Andrzej Szuba

George Mackay Brown (1921-1996) – wybitny szkocki poeta, prozaik, dramaturg z Orkadów; autor wielu tomów wierszy (m.in. „The Storm”, „Loaves and Fishes”, „Voyages”), powieści (m.in.: „Magnus”, „Time in a Red Coat”), zbiorów opowiadań.

Margaret ATWOOD

Maria

(„Maria” to Mary Webster oskarżona o czary w 1685 roku w purytańskim miasteczku w Massachusetts. Powieszono ją na drzewie i zgodnie z zapisanymi faktami zostawiono na noc. Wiadomo też, że po odcięciu sznura i zdjęciu jej ciała z drzewa Maria była ciągle żywa, o czym świadczy czternaście lat, które jeszcze przeżyła.)

7 wieczorem

Plotki chodziły po okolicy
że polowano na czyjąś głowę
Doiłam krowę w oborze
tuż przed zachodem słońca

Nie czułam wycelowanego słowa
przelatującego jak kula z karabinu
Nie czułam jak moje roztrzaskane ciało
zaczynało tonąć niczym kamień
wrzucony w wodę

Powieszono mnie bo mieszkałam sama
miałam niebieskie oczy i śniadą cerę
postrzępioną spódnicę z kilkoma guzikami
porośnięte chwastami gospodarstwo
i umiałam przypalać brodawki

O, tak! oczywiście! są jeszcze moje piersi
i kusząca gruszka moich pośladek
Kiedykolwiek zaczyna się rozmowa o demonach
to piersi są bardzo pomocne.

8 wieczorem

Sznurek był kompletną improwizacją
gdyby mieli czas to mogliby użyć siekier
Podnoszą mnie w górę niczym obtłuczone jabłko
na złamaną gałąź

Związane z tyłu ręce kawał szmaty w ustach i
stają się salutującą księżyc flagą

kościastą księżniczką dyndającą na sznurze
która ssła krew w zamian za chleb

Mężczyźni z miasteczka śledzą mnie
podnieceni własną nienawiścią
która jak rękawiczka przekręca się na
drugą stronę a ja mam ją właśnie nosić

9 wieczorem

Kamienne maski przychodzą by mnie zobaczyć:
czarne sukienki z zadartymi
do góry głowami i wargami zaciśniętymi
tak mocno że wydają się być bez ust
Patrzę w dół i widzę ich oczodoły
ich nozdrza Widzę ich bojaźń

Ty byłeś moim przyjacielem Ty też
Wyleczyłam pani dziecko Usunęłam
martwy płód z twoich trzewi Uratowałam
twoje życie panienko

Pomóż mi! Boisz się?!
 Mogę pozostawić na tobie
 sadzę groźnych plotek
 „Jesteś między wrony, to i kraczesz
 tak jak one”

W zbiegowisku takim najlepiej
 się niczym nie wyróżniać
 Udawać że się nie umie tańczyć
 i wytykać z daleka palcem

Rozumiem Nie jesteś w stanie
 podarować niczego: pomocy kawałka chleba
 szalika chroniącego przed zimnem
 nawet dobrego słowa
 Bóg wie:
 tu wszystkiego brakuje
 a ty tego właśnie potrzebujesz

10 w nocy

W porządku mój Panie teraz kiedy jestem
 na samej górze być może nadszedł moment
 na zabicie czasu
 Zawsze to lżej dla rąk nóg
 Pleców i karku
 Możemy też kontynuować kłótnię...
 no tę – o moją wolę i duszę

Czy to jest mój wybór?
 Dyndam w powietrzu
 jak indycze korale na tym niczym nie
 wyróżniającym się drzewie
 I jeśli Natura jest Twoim alfabetem
 to która litera jest moim sznurem?
 A moje wirujące ciało czy ono jest pełne wdzięku?
Cierpię, zatem jestem
 Wiara Wrozumiałość i Nadzieja

są trzema martwymi aniołami
spadającymi jak meteory albo
ogniste pioruny w poprzek
głębokiego nieba Twojej twarzy.

północ

Moje gardło ściśnięte przez sznur
łapie dech czka i łąka
Jestem workiem kości i mięsa
Krew rozsadza mi czaszkę
zęby zaciskają się coraz mocniej
gryzę wściekle z rozpacz

Śmierć siedzi na moim ramieniu jak wrona
czekając by krwawiące jak burak
serce pękło
a wtedy ona wydrapie mi oczy

lubo jak mamrotający
sędzia o dziwkach i kodeksie
w międzyczasie oblizując usta

albo też jak czarny anioł –
zdradziecki ze swymi lśniącymi
skrzydłami – szepcze aby się tak
nie przejmować W ostateczności skonać
Zaufaj mi mówi do mnie głaszcząc mnie
Dlaczego cierpieć?

Kuszenie aby utknąć
w definicjach
aby stać się świętą czarownicą
pośmiewiskiem ludzkim szambem

Wyrzec się swoich własnych słów
wyrzec się siebie
Wyrzec się świadomości

Wyrzec się bólu
 Poddać się

2 nad ranem

Z moich ust wydobywa się – w pewnej jednak
 odległości ode mnie – cieniutki dychawiczny dźwięk
 który możesz pomylić z modlitwą aczkolwiek
 modlitwa nie jest aktem wymuszonym
 Albo też jest mój Panie?
 A może pacierze zmawia się gdy
 się dusisz? A może to jest łapanie
 powietrza ta modlitwa?
 Czy mężczyźni podczas Zesłania Ducha Świętego
 Chcieli aby płomień buchał z ich głów?
 Czy poprosili aby rzucono ich
 na ziemię z wytrzeszczonymi oczami?

A moje wypadają z orbit Wypadają
 Jedna może być tylko modlitwa
 Nie nie na kolanach
 w czystym ubraniu
 na rozłożonym dywanie:
Ja chcę to, ja chcę tamto
 Dużo więcej niż to
 Nazwijmy to *Prośbą* Nazwijmy to *Litością*
 Nazwijmy to *Jeszcze nie jeszcze nie*
 kiedy Niebiosa grożą eksplozją
 ogniem rozrywaniem ciał a anioły kraczą

3 nad ranem

wiatr gromadzi się w liściach wokół mnie
 drzewa wypuszczają noc
 ptaszyska wrzeszczą jak podrzynane
 w moich uszach raniąc me serce
 łkające w trzepoczącym cielesnym ubraniu

Bujam się tak w powietrzu i czuję jak
uchodzą ze mnie siły Wiatr rozwiewa wokół
moje postrzępione słowa Zaciskam
pięści i rżęzę NIE
Na mój srebrny talizman
na moje dziurawe jak sito płuca
wzywam cię jako świadka
Nie popełniłam żadnego przestępstwa!
Taka się urodziłam taka się rodzę
taka się urodzę
jeśli to można nazwać zbrodnią
Mój wietrze moje liście
czekajcie na mnie
ja się nie poddam

6 rano

Wschodzi ogromne i groźne słońce
lecz już nie jako boski uśmiech
Zły adres Byłam tu zbyt długo

Czas jest też relatywny Powiem ci:
przeżyłam tu całe tysiąclecie
Chciałabym rzec:
Posiwiiałam przez tę jedną noc ale nic z tego
to było tylko moje serce –
skrwawione jak poć mięsa w rzeźni

Jestem też około pięciu centymetrów wyższa
To staje się wtedy gdy dryfujesz w kosmosie
słuchając Biblii i gorących czerwonych gwiazd
Nieskończoność przesiąka mój mózg
Rewelacje pustki

Na końcu mojego sznura
zdaję egzamin z ciszy
Nie oskarżaj mnie że nie jestem ci wdzięczna

Większość przeżyje tylko jedną śmierć
Ja przeżyję dwie

8 rano

Kiedy przyszli zebrać żniwo śmierci
(otwórz usta zamknij oczy)
i odciąć moje ciało ze sznura...
a tu proszę – niespodzianka:
wciąż byłam żywa

Nie mieliście szczęścia frajerzy
znam prawo:
nie możecie wykonać egzekucji dwa razy
za tę samą rzecz Sprytnie nie?!

Spadłam na koniczynę ciężko dysząc
i szczerząc zęby na nich
w plugawym uśmiechu
Możesz sobie wyobrazić ich szok

Teraz wystarczy popatrzeć na nich
moimi błękitnymi oczami
Oni widzą swą złą wolę
wypisaną na ich czołach
odwracają się tyłem

Przedtem nie byłam wiedźmą
Teraz nią jestem zapewne

Nieco później

Moja skóra ma wygląd wosku
Świecąc wciąż jej ubywa
Obolała aureola
Unoszę się nad polami i ścieżkami
szepcząc coś do siebie jak szalona

Moje usta są pełne słodkich przymiotników
i purpurowych jagód
Ludzie z miasteczka nurkują w popłochu
w krzaki aby zejść mi z drogi

Moja pierwsza śmierć nad głową
jarzy się jak replika tej drugiej
jak medal za gehennę
Nikt nie może dotknąć tej aureoli

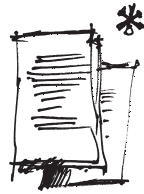
Będąc powieszoną za coś czego
nigdy nie powiedziałam powoduje
że mogę mówić teraz co mi się podoba

Świętość błyszczą na moich brudnych palcach
jem kwiaty i gnój
– dwie formy tej samej rzeczy –
jem myszy i rozdaję błogosławieństwa
błuznierstwa wylatują ze mnie
jak kolorowe mydlane bańki
Mówię nieznanymi językami
Moją publicznością są sowy
Moją publicznością jest Bóg
Do diabła, inaczej któż by mnie zrozumiał?
Kto inny jeszcze był martwy dwa razy?

Słowa wrą we mnie jak sinusoida
zwoj za zwojem w nieskończoność
Cały kosmos wydobywa się z moich ust

*Margaret Eleanor „Peggy” Atwood
Przekład Waldemar Kontewicz*

VARIA



Wojciech Marek DARSKI

Lament nad rozlanym jeziorem

WOJCIECH MAREK DARSKI

zasłużony dziennikarz, poeta, publicysta, autor tomów poezji, oryginalnych przewodników po Mazurach, m.in. „Goniąc kormorany. Ballada o Giżycku”, „Mazury od środka. Be-deker dla przyjaciół”.

Dopóty misa końcowa wodę zbierała, dopóki jej się morena czołowa nie przerwała. I epokowy trud ładolu poszedł na marne – piękne jezioro, z oryginalnymi naciekami sandrowymi pośród krystalicznych wód, gdzie już merdały ogonkami pierwsze drobno-ustroje, poszło w pizdu... Czyli gwałtem przerytym jarem Węgorapy w omdlałą Pregołę, do małosolnej macicy Bałtyku. Ach, jakże to dziejowo niesłuszne i niezgodne z wytycznymi o zrównoważonym rozwoju. Bóg i Darwin skubali z zakłopotaniem brody. Neolityczni łowcy nie mieli tu nic do złowienia. Pierwsze kultury rolnicze ugrzęzły w błocie, a Krzyżakom zarzewiały zbroje. Twórczy wiatr historii nie miał się czego chwycić na podmokłej równinie, pokłusował więc rącho w sąsiednie okolice. Dopiero projekt oraz iście protestancki upór wygnanych z Polski ariańskich braci sprawił, iż spięto dwie rzeki kanałem. Pantarejska magia melioracji osuszyła łyż lokalnej biedoty, która w codziennym znoju budowała tu kartoflane imperium. Ku chwale jakichś wyniosłych von Sandenów lub towarzyskich pegeerów. Minuty, dni, miesiące, lata i epoki meandrują rzeką przez smętną równinę, wprawiając w melancholię krowy u wodopojów.

To naprawdę bardzo wielka szkoda, iż wielkie jak Śniardwy jezioro wylało się nieopatrnie z Niecki Ska-

liskiej. Jakby to było pięknie, gdyby mieniło się łuską fali w zielonym pierścieniu moreny. Być może wówczas jaki bogaty inwestor wystawiłby tu ekskluzywny hotel, a wzdłuż brzegów grzybiczny wysp pomostów i daczy harmonijnie by uzupełnił naturalny krajobraz. No, i te wszystkie kartofle dałoby się w końcu przerobić na frytki. Już czuję, jak północny wiatr niesie grillowe wonie. Słyszę, że nuci szanty, miast swym ponurym skowytym straszyc bobry po starorzeczach. Ale próżne żale... Na imprezy integracyjne zlatują tu jedynie korporacje żurawi. A ekologii wokół coraz więcej i więcej... Aż ostatni artefakt skaliskiej cywilizacji – błotny odlew śladu traktora i aluminiową zgniotkę po piwie – pochłonie na wieczność wezbrany przyphływ rajgrasowego oceanu.



Fot. Wojciech Marek Darski

Raport z końca Europy



Fot. Wojciech Marek Darski

Niegdyś była tu Europa pełną gębą. Na bagiennych rozlewiskach, pośród wysepek borealnej świerczyny i chmar komarów baron Fritz von Farenheid wznosił pruskie Ateny. Za marmurowymi torsami kariatyd płótna Tycjana i Rubensa pyszniły się z białych ścian Erechtejonu. Na srebrne wesele małżonkowie von Sanden zamawiali u mistrzów w Quedlinburgu witraże do wiejskiego kościółka. W czasie wolnym od zajęć na Collegium Fridericianum doktor Voigdt pisał wśród nadrzecznych ziołorośli luksusowe konie, które dostarczał na berlińskie hipodromy. To nie wszystko... Poprzez zasieki głogu oraz lodowate zadymki regularnie posapywała kolej darkiejmska, wioząc możliwym reńskie wino i pianina, a biedocie – solone śledzie z Piławy. Taka to Europa była, ale się skończyła...

Potem była inna Europa. Pod grubą kreską granicy przyjaźni zamieszkał bizantyjski przetrach. W wybebeszonych domach wykorzenienci ludzie pędzili swój żywot na bimbrze i pegeerowskim deputacie. Kolej odjechała wraz z torami, a najwięcej europejskości trafiało z kinem objazdowym. Póki nie zjawiły się telewizory.

Teraz to już koniec Europy. Wieże z monitoringiem, uzbrojeni strażnicy na quadach, a nawet różańcowy łańcuch – strzegą wynędzniałej rubieży, jakby to było centrum Brukseli. Ale tu nie ma już nic. Na zimowym niebie żadne gwiazdy nie kręcą kółeczek. Chyba że przemyczonej z Rosji wódki było za dużo. Kto nie umarł za życia, ucieka stąd jak najdalej. W opustoszałej kruchcie ironiczny promyk słońca podświetla na chwilę jubileuszowe witraże...

Stanisław GUT

Zrozumieć autyzm O akcji „Być jak autystyczny hipster”

STANISŁAW GUT

obiecujący olsztyński uczeń z dorobkiem kulturalnym i publicystycznym.

Pomóc innym? Znaleźć jakąś pasję i zajęcie? Wypełnić swój wolny czas? A może po prostu dążyć do poszukiwania sensu życia? Młodzi ludzie próbują różnych rzeczy, z różnych powodów. Każdy szuka czegoś innego na swój własny sposób. Niektórzy są w stanie dojść do tego, czego pragną, inni muszą szukać dalej, jeszcze inni poddają się.

Młodzież z sześciu szkół z Warmii i Mazur, która wzięła udział w konkursie „Być jak autystyczny hipster”, organizowanym przez Fundację Pro Liberis et Arte, z pewnością można zaliczyć do tej pierwszej grupy. Ich zadaniem było stworzenie własnego, oryginalnego plakatu oraz spotu wideo. Miało to na celu przybliżenie problemów osób z autyzmem, a tym samym zwiększenie tolerancji wobec nich. Każdy materiał pokazywał, że pomimo pewnych różnic w postrzeganiu świata można się z nimi świetnie porozumieć i zaprzyjaźnić. Mimo że wszystkie filmy wraz z plakatami są oczywiście dostępne na stronie Fundacji, warto omówić każdy z nich, gdyż wszystkie są zrobione na swój unikatowy sposób.

I Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Olsztynie

Zespół z olsztyńskiej Jedyнки skupił się przede wszystkim na naszym stosunku do osób ze spektrum autyzmu. Swój spot zatytułowali „Nie patrz na mnie z góry”. W nagraniu widzimy autystyczną dziewczynę, która idzie przez ulicę. Dookoła znajdują się ludzie chodzący na szczudłach. Jest to bezpośrednie nawiązanie do tytułu. Co chwila zaczepiają ją inni złośliwi przechodnie, nierozumiejący jej postawy. Nagranie jest niezwykle profesjonalne i dokładnie odzwierciedla dramat osoby autystycznej w społeczeństwie, które nie stara się jej zrozumieć i patrzy na nią po prostu „z góry”.

Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 2 im. Elizy Orzeszkowej w Bartoszycach

Zespół z Bartoszyc zajął się przede wszystkim przedstawieniem osób autystycznych. Pięcio-osobowy zespół wybrał się do placówki, gdzie uczą się i bawią autystycy. Poznali kilkoro z nich bliżej, dzięki czemu zdobyli niezbędną wiedzę, aby opisać ich zachowanie. Spot ukazuje cały dzień, jaki spędzili w szkole. Przewodnim hasłem projektu jest: Autyzm istnieje – otwórz się. Plakat jest stworzony w bardzo artystyczny sposób. Dzięki świetnej estetycznej jakości mógłby z pewnością zostać plakatem jednego z hollywoodzkich filmów.

VI Liceum Ogólnokształcące im. Gabriela Narutowicza w Olsztynie

Materiał z VI Liceum w Olsztynie jest najbardziej bezpośredni i bardzo konkretnie przemawia do każdego, kto go ogląda. Nagrano go w formie krótkiej opowieści o pięknej dziewczynie, która zagaduje chłopaka z autyzmem. Pomimo początkowych trudności w komunikacji, dzięki ogromnej otwartości dziewczyny, zaczyna się między nimi rodzić zażyła relacja. Dziewczyna jest gotowa na to, aby zrezygnować z niektórych rzeczy, które mu przeszkadzają. Dla przykładu stara się przy nim nie palić ani nie puszczać głośnej muzyki. Główne motto kampanii brzmi: Autyzm to nie przeszkoda. To krótkie zdanie świetnie definiuje istotę ich przekazu, który znajduje się w filmie. W skrócie brzmi on w tak: jeśli będziemy w stanie pójść na małe ustępstwa w niektórych sprawach, to autyzm nie będzie przeszkodą w kontaktach z drugą osobą.

V Liceum Ogólnokształcące im. Wspólnej Europy w Olsztynie

198

Film V Liceum z Olsztyna oczarowuje swoją tajemniczością. Trzeba obejrzeć go kilka razy, aby w pełni zrozumieć jego przesłanie. Opowiada historię autystycznego chłopaka, pracującego w jednej z olsztyńskich kawiarni, który decyduje się na oddanie swoich narządów po śmierci. Kamera w świetny i wyrafinowany sposób „śledzi” cały jego dzień. Skupia się przede wszystkim na codziennych czynnościach, aby pokazać, jak mało różni się dzień takiej osoby od naszego. Końcowa scena, w której bohater podpisuje w szpitalu dokument dotyczący oddania swoich narządów, stanowi pewną punktę dla całego dokumentu. Udowadnia, iż autystycy są również

zdolni do odczuwania empatii oraz pomocy innym w potrzebie. Dzięki profesjonalnemu nagraniu nie można przejść obok tego filmu obojętnie.

Zespół Szkół im. Konstytucji 3 Maja w Iławie

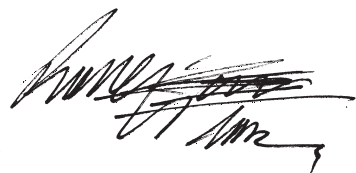
W tym przypadku warto zwrócić uwagę na rzucający się w oczy plakat. Przedstawia młodego chłopaka w szkole, odizolowanego od reszty uczniów. Jego postać wyróżnia się na czarno-białym tle. Symbolizuje tutaj autystyka, który nie jest w stanie (albo nie jest do tego dopuszczony) zintegrować się z rówieśnikami. Na górze widnieje hasło: „Ty chcesz być inny, on chce być taki jak ty”. Porusza to już trochę inną kwestię. Autorzy sugerują, że nie doceniamy wystarczająco tego, czym zostaliśmy obdarowani. Chodzi tutaj (jak się można domyślić) przede wszystkim o łatwość w nawiązywaniu znajomości, umiejętność poznania świata w inny sposób. Młodzież z Iławy chce nam udowodnić, że mamy o wiele „lepszy start” niż osoby autystyczne, przed nimi stoi ogromna liczba trudności, które muszą pokonać, aby być w stanie żyć w taki sam sposób jak my.

Zespół Szkół Mechaniczno-Energetycznych im. Tadeusza Kościuszki w Olsztynie

Technikum z Olsztyna również wybrało się do specjalnej placówki na spotkanie z dziećmi autystycznymi. Warto podkreślić, iż jeden z dwóch plakatów został wykonany razem z dziećmi. Film opisuje, w jaki sposób autystycy poznają i widzą świat. Autorzy opowiadają bardzo ciekawe i ważne fakty. Na przykład to, że osoby ze spektrum autyzmu zwracają uwagę na szczegóły w czyims ubiorze. Nie widzą czyjeś twarzy, lecz kabel od słuchawek. Nie widzą butów i spodni, lecz rozwiązane sznurowadła. To wszystko powoduje, że wydają się nam bardzo zdekoncentrowani i w ogóle nieskupieni na tym samym co my. Spot dzięki tego typu informacjom staje się niezwykle praktyczny i może służyć pomocą każdemu, kto ma do czynienia lub kiedyś spotka się z osobami z autyzmem.

Wszystkie te prace na swój sposób przedstawiają i opisują autyzm. Autorzy nie boją się ukazać trudnego losu, jaki spotyka ludzi z autyzmem. W swych produkcjach są pełni autentyczności i młodzieżowej kreatywności. Nie brakuje im również profesjonalizmu, który dodaje ogromnej jakości każdej z prac. Dzięki takim akcjom młodzieży z Warmii i Mazur udowadniają, że warto zrobić coś na rzecz innych, gdyż rozwija to nasze pasje, nadaje sens naszym działaniom, a poprzez to stajemy się bardziej wartościowi jako jednostki, bo dajemy radość innym.

RECENZJE

A handwritten signature in black ink, appearing to be a stylized name or set of initials, possibly 'M. J. ...', written in a cursive style.

Acting-in

Leo Lipski, *Powrót*,

wybór, oprac. i wstęp A. Maciejowska, Paryż: Instytut Literacki Kultura; Kraków: Instytut Książki. Dział Wydawnictw, 2015

Leo Lipski budził moje zainteresowanie, odkąd nieco poważniej zacząłem interesować się literaturą w ogóle, polską zaś w szczególności. Wszakże dlaczego zaliczać Lipskiego do literatury polskiej jako takiej? Potrzebny jest tutaj przymiotnik *emigracyjnej*, który towarzyszy wzmiankom i dziełom o utworach Lipskiego zapewne wszędzie. Choćby w Wikipedii, która wylicza pięć wydanych opowiadań i powieści Lipskiego (w porządku chronologicznym): „Niespokojni”, „Dzień i noc”, „Piotruś”, „Sarni braciszek”, „Śmierć i dziewczyna”, „Opowiadania zebrane”. Nijak się to ma do zbioru z 2015 roku, w którym spis treści obejmuje aż osiem utworów, w tym niewspomniany w Wikipedii tytułowy „Powrót”. Trochę lepiej w kwestiach bibliograficznych jest w *mojej* BiblioNetce. Tutaj czytelnicy wymieniają siedem książek Lipskiego. Oprócz tych z Wikipedii znajdujemy „Paryż ze złota” i właśnie „Powrót”. Niezwykle jednak ważną informacją dla osób zainteresowanych twórczością Leo Lipskiego jest na pozór mało znacząca, ale jakże dużo wyjaśniająca w kontekście wspomnianego wyda-

nia „Powrotu”, zawartość zbioru „Śmierć i dziewczyna”. Przedstawia się ona następująco: „Mały Emil”, „Święty Paweł”, „Trzech ojców”, „Król Olch”, „Ewa i księżyce”, „Dzień i noc”, „Waadi”, „Powrót”, „Piotruś”, „Miasteczko”, „Pradawna opowieść”, „Sarni braciszek”. Jakże bliżej temu *numerus clausus* do spisu treści książki wydanej w serii W Kręgu Paryskiej Kultury. Przytaczam dla porównania: „Niespokojni”, „Pradawna opowieść”, „Powrót”, „Dzień i noc”, „Waadi”, „Piotruś”, „Miasteczko”, „Sarni braciszek”. Kartkując zaś dwieście siedemdziesiąt dwie strony samego „Powrotu”, oto co znajdujemy: „Świętego Pawła”, „Małego Emila”, „Trzech ojców”, „Króla Olch”, „Ewę i księżyce”. Cóż, zatem okazuje się, że mniej lub bardziej przypadkowy czytelnik Leo Lipskiego w XXI wieku spotyka się od razu z dylematem, ile zostało wydanych książek autora i jak są zatytułowane, tudzież co zawierają zbiory. Znikają gdzieś „Śmierć i dziewczyna” oraz „Opowiadania zebrane”, a tytuły mieszają się w liczbie od sześciu do pechowej trzynastki. Być może czytelnik przyjmuje mylne założenie, że wydanie z 2015 roku jest zbiorem wszystkich dostępnych dzieł autora? Może właśnie Instytut Książki porządkuje kalejdoskop z tytułami, rozpoczęty w 1952 roku? Na poświęcanie czasu dla przeglądania katalogów wielkich polskich bibliotek, Archiwum Instytutu Literackiego i Archiwum Emigracji toruńskiego uniwersytetu *zwykłemu* czytelnikowi, zaprawdę, drodzy Profesorowie, Literaturoznawcy i Naukowcy, brak chęci. Do Żydowskiego Instytutu Historycznego nie zajrzy nikt z pewnością. Podobnie jak do roczników „Tekstów Drugich”, zapewne także „Zeszytów Literackich” bądź innych pism zajmujących się literaturą polską i europejską. A propos ŻIH, to jedną z pierwszych informacji internetowych o Lipskim jest: *właśc. Lipschütz* (oczywiście Wikipedia), chociaż spotkałem się w sieci z pisownią *Lüpschütz* (na przykład BiblioNetka), traktując to jednak jako powielanie błędu, kopiowanie historycznych powojennych zawiłości.

Powyższy akapit proszę potraktować jako wstęp do niezwykle ważnych pierwszych dwudziestu czterech stron „Powrotu”. Zacznie się na nich objawiać kwestia dla Lipskiego charakterystyczna, ułatwiająca czytelnikowi zrozumienie poszczególnych utworów pisarza, a także jakiś *nomen atque omen* czy raczej nie imię, ale *femina*, a nawet *sexus* (w rozumieniu oczywiście płci). Imiona kobiet będą się w różnoraki sposób przewijały w poszczególnych opowiadaniach i minipowieści, wadziły z męskimi imionami – Emilem i Jankiem, ale dla wyjaśnienia dwóch najważniejszych z nich, tudzież zobrazowania wielu kontekstów twórczości, bibliografii, historii życia twórczego, nieznośności pisania i jeszcze większego trudu trzydziestosiedmioletniej bezczynności. Los powołał do feministycznego Panteonu, kobiecej Trójcy (jakże nie odnieść się do sacrum!, przecież Literatura w takich przebywa, wraz ze swoimi niewolnikami, światach!) – Idy, Łucji Gliksman i Ireny Lewulis – autorkę „Słowa wstępnego” Agnieszkę Maciejowską, która dokonała również wyboru i opracowania zbioru z 2015 roku. Już to wyjaśnia w jakiś sposób problemy bibliograficzne z utworami Lipskiego wydanymi w Polsce. „Powrót” to jedynie wybór. Być może, a data jest podana dokładnie we wspomnianym Archiwum Emigracji, zostanie wydane całe piarstwo polsko-żydowskiego emigranta, w tym niezwykle interesujące epistola. Fragmenty korespondencji z osobami jakże ważnymi dla polskiej kultury i twórczości emigracyjnej, które prawdopodobnie jakoś umknęły spadkobiercom, zawiera „Słowo wstępne”.

Na razie czytelnik zwraca uwagę, że na jedynych dwóch zdjęciach następujących po stronie tytułowej widać okładki „Opowiadań zebranych”. W ręku autora wydanie z informacją: Tel Awiw z 1989 roku, na odwrocie wydanie z roku następnego – Fundusz Inicjatyw Społecznych, Lublin. Jeżeli mielibyśmy czerpać dalsze informacje o bibliografii Lipskiego, to Maciejowska wiele wyjaśnia i podaje w samym tekście, tudzież przypisach: „Powrót” i kilka rozdziałów z „Niespokojnych” (1952 w „Wiadomościach”), „Dzień i noc” (1957), „Powrót” (1957), „Waadi” (1957, potem lata 90.), „Pradawna opowieść” (1959), „Piotruś” (1960), „Opowiadania zebrane” (1988), „Paryż ze złota” (2002). Nazwy wydawnictw pozostawiam zainteresowanym.

Trudno porzucić króciutkie, ale absolutnie interesujące kompendium Agnieszki Maciejowskiej na temat twórczości i życia Leo Lipskiego. Przedstawia go w otoczeniu kobiet, w objęciach choroby, na tle wielkich nazwisk polskiej twórczości emigracyjnej z Jerzym Giedroyciem na czele. Należy potraktować autorkę „Słowa wstępnego” jako wybitną i wnikliwą entuzjastkę twórczości Lipskiego, jego osobistą znajomą i, co najważniejsze, bardzo sprawną dziennikarkę. Ot, drobny hołd złożony jej, wydawnictwu oraz serii W Kręgu Paryskiej Kultury. Czas na wrazenia z lektury Lipskiego, które jakże byłyby inne, gdyby właśnie nie Agnieszka Maciejowska...

Jest bardzo ciężko. Czytać. Pomijam, jedynie przesuwam oczami, nie zastanawiam się, nie staram się znaleźć powodów, dla których tak ponuro zaczynają się „Niespokojni”. Skąd tak, a nie inaczej cytowana księga Koheleta, dlaczego taki cynizm od Leonarda i Demetriusza? Jedyne siedem wersów, które tak bardzo zaważają na większości rozdziałów powieści. A potem zamiast tradycyjnego zawiązania fabuły, przedstawiania postaci ani jednego słowa o tymże. Jedyne krótkie, bezcelne, prawie obraźliwe erotycznie dialogi, chyba właśnie których tak obawiał się Giedroyc, mówiąc o obyczajowym skandalu (później się śmiejąc z tejeż przezorności). Czyżby nastąpiła pewna emocjonalna autodestrukcja po wychowaniu w krakowskim Gimnazjum św. Jacka (jakiś *genius loci* postaci przeszłych i przyszłych, jak choćby Lucjan Rydel i Jan Błoński)? Złość na utratę ldy, na łagry, Andersa, Izrael niemający nic wspólnego z Ziemią Obiecaną? Poczucie raju utraconego w momencie wyjazdu Ireny? Może tak charakterystyczna dla Żydów (pięknie opisywana przez noblistę Singera) polemika z Bogiem, której dramatycznymi tematami będą pozostawać do końca życia paraliż i Łucja? Stoika tu nie ma. Jest pierwszy polski dominikanin Odrowąż i Apostoł nienależący do Dwunastu. *Nie ma dla mnie grzechu, nie ma dla mnie Zakonu*¹, pisze na początku „Niespokojnych” Lipski. Czy ma na myśli własne pisarstwo? Owo rozerotyzowanie, na które polska literatura niekiedy wóczas była przygotowana, a tak porównywalne wtedy do „Lolity” Nabokowa? Albo siebie, sugerując najprostszą interpretację: wojenne przeżycia, choroba, swoiste uwięzienie w pokoiku w Tel Awiwie jako uzależnionego od cudzej opieki, podopiecznego Łucji Gliksmann. Na swój nieco niegrzeczny, złośliwy i histeryczny sposób sam, już poza – nazwijmy ją *kontrolowaną* – fabułą odnosi się do sfery seksualności w krótkim rozdziale zatytułowanym „Pompeja”. Cytuje w nim Aldoussa Huxleya i Havelocka Ellisa. Prawie że ekscytuje się własnymi przemyśleniami w tejeż kwe-

1 L. Lipski, *Niespokojni*, [w:] tegoż, *Powrót*, wybór, oprac. i wstęp A. Maciejowska, Paryż: Instytut Literacki Kultura; Kraków: Instytut Książki. Dział Wydawnictw, 2015, s. 30.

stii (jako Emil, podczas gdy narrator pozostaje w trzeciej osobie): *Na jednej szali leży góra złota, na drugiej męski członek. Przeważa członek*². Owszem, w większej części trzeciosobowej narracji „Niespokojnych” przeważa fallus, który zdaje się tragiczną, traumatyczną, niespełnioną, niewyjaśnioną zagadką braku ukojenia po Idzie i Irenie. Jakby przeciskało się to wszystko przez dorosłość bliskowschodniego grudnia 1948 roku³, młodzięczość panicza, śmierć matki – przedstawioną jakże bezuczuciowo! – brak zainteresowania ze strony ojca, w końcu do tajemniczego, nigdy nieodkrytego dzieciństwa. Dziecka Emila – Leo – nie ma w „Powrocie”. Jest za to wczesnomłodzięcze homoseksualne badanie własnych osobowości (bo przecież nie związek gejowski) Emila i Janka, który może być, wszakże nie musi, *alter ego* przyjaciela Lipskiego Janka Holcmana, pianisty, muzykologa, krytyka muzycznego i kolekcjonera nagrań. Jedyne pisarskie fantasmagorie ze szpitali, domów opieki i nędznych wynajmowanych ze współlokatorami pokoików, jak przedstawia życie pisarza po paraliżu Maciejowska? Raczej wpisuje się to w przemyślane i skonstruowane chronologicznie przedstawienie targania się każdego z nas z własną erotycznością, bez względu na płeć, gdzie dzięki zapewne doskonałemu gimnazjalnemu wykształceniu, a potem próbach studiów filozofii i psychologii, odwołuje się autor do Ksenofonta, Platona i Sokratesa. Z kolei na porównanie Janka z Holcmanem wskazuje odnośnienie się do utworów klasycznych Beethovena czy Strawińskiego. Wiedzy ze świata wysokiej kultury Lipski nie żałuje czytelnikowi. Cytaty, nazwiska Flauberta i Szekspira, rozdział nazwany tytułem ballady Goethego, w którym zamiast duszy synka zabranej przez króla Elfów, dziecięcia wydającego się majaczącym w uścisku ojca gnającego konno przez germańsko-skandynawskie przepelnione mitologią lasy, półnaga czternastolatka o mokrych włosach. Kto jest tutaj Królem Olch? Ona – Lolitka, Emil odrzucający jej ciało, jak nie uczynił tego Elf Goethego, czy może w końcu Ewa – ani normalna, ani dobra, a jedynie zła? U Lipskiego majaczącym i umarłym jest każdy.

A z tym fotografem. Tamta historia. Robiłam to z nim. Nie z nim, a z każdym, kto by był na jego miejscu. Bo było słońce i trawa.

Emil ma stosunkowo małego. Ale on umie pieścić. Trzeba zaciskać zęby, jak chucha na wnętrzu ud. Przyjemnie. Przyjemnie jest go brać do ręki. Nie wiedziałam.

Witek: zamknij oczy, kiedy zamykał drzwi. Śmiesznie wygląda się nago ze stojącym⁴.

Tak opowiada w pierwszej osobie Ewa. Emil zaś pisze:

204

Kobietom puchną jajniki, pęcznieją pochwy; obłąkane, na stosach sukien, siedzą i płaczą, albo patrzą pustymi oczyma przez okna.

Mężczą je księżycy⁵.

.....
2 Tamże, s. 88.

3 Pisane w Teheranie, Bejrucie i Tel Awiwie, skrócone w grudniu 1948 r., s. 150.

4 L. Lipski, *Niespokojni*, dz. cyt., s. 129.

5 Tamże, s. 141.

Najpierw w pobliżu Emila pojawia się P. Następnie Janek. O nich opowiada narrator w trzeciej osobie. Miejsce Janka, z którym jeszcze przed chwilą Emil przesiadywał na parkowej ławeczce, za którym oglądał się na rogu ulic, zajmuje Ewa. Ta jest w słowach bardziej wulgarna niż Emil. Lipski z jakimś dziwnym upodobaniem przedstawia ją ekshibicjonistycznie, manierycznie, jakby dawał w jej ręce całe zło uczynione przez młode kobiety młodzieńcom, dojrzałym mężczyznom i światu. To jakaś genetyczna mieszanka z Flauberta, Stendhala, Prousta, Thackeraya i być może Evelyną Waughą. Czy tego ostatniego mógł już znać? Maciejowska pisze, że nie nauczył się nigdy angielskiego (i hebrajskiego), a

przestał czytać nie tylko po francusku, w języku, którego uczył się w szkole, ale również po niemiecku, a to przecież język, w którym urodzony w Zurychu pisarz wychowywał się do szóstego roku życia⁶.

Czyżby znowu pomieszanie dzieciństwa i niezwykle intelektualizmu w połączeniu z czytaniem? Podobnego rodzaju pytania można zadawać sobie w każdym rozdziale „Niespokojnych”. Powieść pisana jest jednak nie tylko pod pewnego rodzaju dyktando własnej biografii i literackich reminiscencji. Piętno Lipskiego – pisarza, jest bardzo czytelne. Być może trochę miejscami przypomina Konwickiego, ale proszę wybaczyć poszukiwanie fałszywych prawdopodobnie interpretacji. Leo Lipski jest niezwykle oszczędny, jeśli chodzi o nazywanie postaci po imieniu. Pojawiają się inne oprócz wymienionych w tym tekście. Ale najważniejsi bohaterowie często, zaprawdę zbyt często opisywani są zaimkami osobowymi, deklinowanymi przez wszystkie przypadki. Stąd być może ta nadinterpretacja porównania z Konwickim i poczucie nierzeczywistości scenerii. Nie, rzecz nie w fikcyjności miejsca, lecz w jego nieważności. Na dobrą sprawę eksponowane i newralgiczne są jedynie dialogi i monologi, a co za tym idzie uczucia, emocje. Tutaj dochodzi się do jedynej imienia, które w tytule rozdziału wymienione jest oprócz imion Emila i Ewy. Jeśli te dwa ostatnie mają towarzystwo innych części mowy, to Joanna – nie zawsze narratorka w pierwszej osobie – tylko liczbę rzymską. Jej rozdziały kończą się na liczbie cztery. Jaka jest rola tej bliskiej i Ewie, i Jankowi, i Emilowi osoby? O każdym z nich opowiada. Widzi ich w mieście. Każde do niej przychodzi. Nie jest wszak wszystkowiedząca. Nie ma też cech mogących nasunąć porównanie do chóru greckiej tragedii, didaskaliów w sztuce teatralnej ani suflera. Do samego końca czytelnik nie jest pewny statusu materialnego, społecznego, nie potrafi ocenić jej prowadzenia się, wyrazić zdania o moralności i etyce. Joanna – kocyk bezpieczeństwa Lipskiego czy kolejna bogini w jego własnym prywatnym feministycznym Panteonie stworzonym po zmarłej matce?

*Dziewczyna:
Obok, ach obok
Przejdź, szkielecie dziki!
Jestem jeszcze młoda, mój kochany, idź*

.....
⁶ A. Maciejowska, *Słowo wstępne*, [w:] *Powrót*, zob. przyp. 1, s. 11.

I nie dotykaj mnie.

Śmierć:

Daj swą dłoń, piękna i delikatna postaci.

Jestem przyjacielem, nie przychodzę karać.

Bądź dobrej myśli! Nie jestem dziki,

W ramionach mych błogo będziesz spać⁷.

Oddałem nuty. Podeszła do okna, gdzie było nieco jaśniej. Widziałem jej profil. Pochyliła się, położyła na nuty niewidzialny dla mnie przedmiot i przygniotła go paznokciem. Usłyszałem cichy trzask, którego nie zapomnę. Mruknęła głosem, którym śpiewała śmierć w „Śmierci i dziewczynie”: – To jest, kochanie, wesz⁸.

Tak kończy się trzystronicowy „Powrót” w zbiorze o tym samym tytule. „Powrót” sprawia, podobnie jak „Pradawna opowieść”, „Waadi” i „Sarni braciszek”, wrażenie noweli, która mogłaby być częścią „Niespokojnych”. Przede wszystkim znajdujemy tam postaci znane z powieści: Ewa, Emil, Filip (ojciec Emila). Druga sprawa to miejsca, które wydają się uzupełnieniem dla fikcyjności scenografii w „Niespokojnych”. Wiemy, że Lipski ukończył gimnazjum w Krakowie. Tam znajdujemy Ewę przed wojną. Lipski przeszedł tyfus, chorował na gruźlicę i dopadały go ataki epilepsji. Z powodu gorączki trafił do szpitala w Uzbekistanie. „Waadi” opowiada o tym czasie. Jeden z leżących w lazarecie chorych żołnierzy obserwuje Emila i Ewę. Mówi: *Była jego dziewczyną. Ale to nie jest proste*⁹. W znowu zaledwie kilkustronicowym opowiadaniu erotyka przyćmiewa śmierć, prostytutkę dla przeżycia, snujących się jak w malignie sanitariusza i lekarza. Emil na krótko tylko zwraca uwagę narratora, który koncentruje się na Ewie. Obserwuje jej... właśnie, co? W pierwszej chwili można by sądzić, że próby utrzymania się na powierzchni, ponad ekskrementami, fekaliami, odorem. Ale w „Waadi” jakby Lipskiego opuścił cynizm. Używa słowa *czułość*. Może to tęsknota za bratem, który zginął pod Monte Cassino? Lipski przeniósł go z armią Andersa do Uzbekistanu i tam pochował. I oddał mu na chwilę Ewę. Tkliwą i czułą. „Pradawna opowieść” i „Powrót” to wojenne nowelki, w których umiejscawia swojego ojca i Holcmana, tudzież odnajduje wyimaginowaną Ewę – zapewne chodzi o Idę. W sprawie szczegółów dotyczących tych utworów i związków autobiograficznych odsyłam do „Słowa wstępnego” nieocenionej Agnieszki Maciejowskiej.

Zbiór z 2015 roku zawiera jeszcze dwie minipowieści i jedno opowiadanie. Wszystkie nieco odstępują od pozostałych utworów, które obejmuje wspólny tytuł „Powrót”.

„Dzień i noc” ma niewiele ponad dwadzieścia stron. Przynosi jednak, rzecz dziwna i niepojęta, że nakreślony tak spokojnym językiem, przerażający obraz radzieckiego łagru z punktu widzenia więźnia – pomocnika lekarza. Zastanawiając się, co czytelnika tak mrozi, wyraźnie dostrzega-

⁷ Wikipedia: *Śmierć i dziewczyna*, pieśń skomponowana przez Franza Schuberta do niemieckiego tekstu Matthiasa Claudiusa.

⁸ L. Lipski, *Powrót*, [w:] *Powrót*, dz. cyt., s. 161.

⁹ Tenże, *Waadi*, [w:] *Powrót*, dz. cyt., s. 193.

my niedwuznaczność opisu zewnętrznego chłodu, materialnego, dotykającego wręcz, namacalnego, przerażającego i filmowego. Akapit za akapitem – jak kadr za kadrem, scena za sceną. Utwór został wydany w 1957 roku; mamy tutaj całkiem innego Lipskiego – prawie że reżysera z XXI wieku, operatora kamery i scenografa w jednym. Lipski odbiega tym utworem bardzo daleko od typowej literatury łagrowej. Oczywiście jego skąpstwo w przedstawianiu postaci jest nadal nieco widoczne, lecz zrekomensowane przez narzucanie obrazów, które czytelnik sam sobie imaginuje, odczuwa wszelkimi zmysłami od węchu po dotyk. Dwa, trzy czy cztery długie dialogi, fenomenalny monolog ze stron 166-168, zaczynający się słowami: *W ciągu piętnastu minut mam zobaczyć, jak jest ze zdrowiem tych ludzi*¹⁰, wzbudzają przerażenie, jeżą włos na głowie i przyprawiają o drżenie rąk nie mniejsze niż opisy katowania więźniów w ubeczkich kazamatach, *muzułman* Primo Leviego, nieznośnie okrutne rozważania Giorgio Agambena w „Homo sacer” czy nieludzka, acz dokumentalna, „Wyspa kanibali” Nicolasa Wertha. Lipski wcale nie musi opisywać białych, nagich drzew, pokrwawionej kilkudziesięciokilometrowej drogi do pracy i odmrożonych stóp. Wystarczy, że napomknie: *W latrynach paliły się stuświecowe żarówki, ale one nie grzały*¹¹. *Szliśmy z leśnego obozu. 60 kilometrów dziennie*¹². *Ponura cela, oświetlona żarówką*¹³. *Bandáže porozrzucone*¹⁴. *Ja wdziwam granatowy płaszcz i idę. Idę wprost na druty*¹⁵. Achatow z przybitym członkiem do pryczy, wyprawa do Faro, wymiany zdań z Griszą, Wanią, Olgą – wszystkie te obrazy są majstersztykami oszczędności własnych emocji. Być może nastąpiła w powieści jakaś delikatna przemiana Lipskiego. Wątek autobiograficzny jest oczywisty, ale podany innymi środkami. Chociażby: Lipski jest narratorem w pierwszej osobie, rozmawia po niemiecku. Może dojrzałość pisarska? W każdym razie powieść niezwykle przypomina film. Właśnie oszczędny, skąpy, żałujący jakby rozmachu czy może bojący się rozwlekłości. Przez to jednak utwór skupia czytelnika na tekście, zamyka Lipskiego i odbiorcę w jakimś nieznośnie smutnym artystycznym *face to face*. Jak „Syn Szawła” Łászló Nemesa...

Kolejnych pięćdziesiąt pięć stron, zaczynających się od fenomenalnego pięciolinijkowego wstępu, poświęca autor sportretowaniu człowieka wykonującego groteskową, acz niewolniczą, pracę strażnika wspólnego klozetu w palestyńskiej kamienicy. Tytułowy bohater i jednocześnie pierwszoosobowy narrator, Piotruś – sądząc po imieniu Polak – ale, jak wynika z jednego z dialogów, niechrześcijanin – pilnuje najzwyczajniejszej w świecie muszli klozetowej dla pani Cin (potem okaże się, że jest ona cicią pewnej ważnej osóбки, chociaż kontekst wyraźniej sugeruje profesję burdelmamy niż pokrewieństwo) i jej syna Edki, którzy nie życzą sobie, by z urzędzenia korzystali inni mieszkańcy domu. Piotruś kupiony na ulicy (ach, to odniesienie do południowo-wschodniego niewolnictwa jakże jasno, niczym izraelskie słońce, pokazuje nędzę materialną i sponiewieranie Narodu Wybranego) jest niczym uliczne kurwy, które sam obserwuje:

10 Tenże, *Dzień i noc*, [w:] *Powrót*, dz. cyt., s. 166.

11 Tamże, s. 165.

12 Tamże, s. 166.

13 Tamże, s. 173.

14 Tamże, s. 178.

15 Tamże, s. 186.

Poza tym – kurwy. Na podwórzu, na stojąco. Czasem, na żądanie, kładą się. Potem otrzepują się z igliwia i liści. Tej nocy są dwie. Jedna z nich jest głucha, młoda. Druga, widząc moją twarz w ciemnym oknie, zbliża się i odchodzi. Spokój aż do dwunastej¹⁶.

Klozet marki *Niagara*. Sedes marki *Lux*. Lipski podsumowuje owe nazwy sanitariatów łacińskim: *Ze Wschodu światło*. Światło ukojenia, spokoju, dozy przyzwyczajenia, może nawet wygody przychodzi do Piotrusia po jakimś czasie, gdy odnajduje, dość beznamiętnie opisaną, pozycję odpoczynku – czuwania z głową w muszli. Dobrowolny, znajduje się gdzieś na historycznej linii, osi czasu łączącej starożytny Rzym i drapieżny amerykański kapitalizm pierwszych dziesięcioleci XX wieku. Jest to tak fantasmagoryczne, że przywodzi na myśl od razu prozę Brunona Schulza, Witkacego albo Danilo Kiša, a nawet samego noblisty Imre Kertésza. I jak tu w „Piotrusiu” nie dać się ponieść literackim żydowskim reminiscencjom? Żydowskość pojawia się tak wyraźnie w zbiorze po raz pierwszy. Koreluje jednak z innymi akcentami znanymi z poprzednich utworów. Przede wszystkim z seksualnością, która w „Piotrusiu” przyjemna nie jest. Powtarzając za Lipskim, jest po prostu *kurewska*. Wszak samo miejsce wykonywania pracy bohatera jest obrzydliwością samą w sobie, wiąże się tylko i wyłącznie z genitaliami, z czynnościami wstydliwymi, intymnymi i *brudnymi*. Autor jednak na tym nie poprzestaje. Pracownik, nawet niewolnik, ma od czasu do czasu wolne, wychodne. Poznaje Batię. A jakże! Porównania z Ewą z „Niespokojnych” jak najbardziej uprawnione i zachęcające. Batia ma pewne dopełnienia, ale nie są tak ważne. Uwagę zwraca przecież seks. Teraz już nie erotyzm, seksualność w różnych wymiarach i rozumieniach. Po prostu seks jako czynność, którym wiąże na smyczy Piotrusia. Smycz jest popuszczana lub ściągana. Zabawa, cynizm, potrzeba mieszają się ze sobą. Oddają nie tyle Lipskiego zawód w stosunku do kobiet, ale złość, niemoc i odrzucenie. Pamiętamy: kobiecy triumwirat i paraliż. Zatem Batia i zwinięty wokół sedesu z głową w muszli Piotruś. Metafora niezwykła, zakamuflowana, ale przerażająca, odpychająca, wstrząsająca. Zwłaszcza w słonecznym mieście, w unoszącym się kurzu, żółtym piasku, między Morzem Martwym a Morzem Śródziemnym, z gorącym i suchym chamsinem wpychającym do głów szaleństwo.

Jeżeli „Piotruś” jest nieco fantasmagoryczny, to o „Miasteczku” należałoby napisać, że jest utworem powstałym z urojeń, baśnią, fantastycznym opowiadaniem, sennym majakiem przeniesionym na papier, wydobytą z najgłębszego i najdalszego dzieciństwa samotną zabawą, o której ledwie się pamięta, jakby graniczyła z nierzeczywistością z czasów przedmatczynego łona. To imaginacja, iluminacja, mitologia i bajka śpiewana kilkumiesięcznemu niemowlęciu. Lecz jakże emocjonuje tych, którzy marzą o pisaniu powieści... Lipski opublikował ten utwór w 1964 roku i prawdopodobnie mniej więcej na początku lat 60. go napisał. Co nieco na temat powodów powstania „Miasteczka” i zamierzeń samego pisarza wyjaśnia Agnieszka Maciejowska, powołując się na Łucję Gliksmann¹⁷. W każdym razie to tutaj należałby się tytuł roz-

16 L. Lipski, *Piotruś*, [w:] *Powrót*, dz. cyt., s. 208.

17 A. Maciejowska, dz. cyt., s. 19.

działu z „Niespokojnych” – „Król Olch”, albo przynajmniej podtytuł w rodzaju „Z lasów (dawnych, zapomnianych) Kresów”. Coś Lipskiego – przykutego do łóżka, narażonego na napastliwość samumu i ograniczonego przez Łucję – ciągnęło do zieleni, mokradeł, bagien, wilgoci mchu, opadłych liści pod stopami, cieni zwierząt, pohukiwań puszczyków i postaci wyjętych wprost ze „Starej baśni” Kraszewskiego, a być może kierował się także w stronę niektórych literackich pomysłów Karola Bunscha, jeśli oczywiście się z nimi jakimś cudem zetknął na przełomie lat 40. i 50. Czytelnikowi stykającemu się z „Miasteczkiem” właśnie teraz, w drugiej połowie drugiego dziesięciolecia XXI wieku może przyjść na myśl ciekawe skojarzenie, pewnie absolutnie nieuprawnione i infantylne, ale nasuwające się przez możliwość szerokiego dostępu do literatury i mediów wszelkiego asortymentu. Wstęp autora do „Miasteczka” wydrukowany jest kursywą. Proszę go nie odrzucać, nie pomijać, nie przebiegać bezmyślnie wzrokiem. Odkryjecie tam być może protoplastów Brandona, Ostatniego Zielonego Jasnowidza, dzieci lasu śpiewających pieśń Ziemi zza Muru i Drzewo Życia z Królestwa Północy, tutaj znanego jako Kresy¹⁸. Ale..., miało być przez chwilę o marzeniach i pisaniu. Ta swoboda w dostrzeganiu otaczającego świata bez względu na to, czy jest to pokój w starym na poły zrujnowanym dworku, czy zaokienny krajobraz z dziecinnego pokoiku, czy opisy dorosłych (matka, ojciec, ojczym) bądź krzątający, hałasu, biegania, rozgardiaszu jarmarcznego, aż w końcu, tak łatwo przychodzące Lipskiemu suche, krótkie, jednozdaniowe, ledwo jednowersowe, a nawet nie, bo i składające się niezwykle często z jednego wyrazu, wypowiedzi uczestników dialogu, lecz interesujące, wciągające i wpasowane z maestrią kompozytora symfonii do kolejnych opisów bądź monologów. Wydało mi się sloganem, banałem, frazesem i niewartą uwagi nieoryginalnością zdanie napisane przez Maciejowską w początkach „Słowa wstępnego”: *Zostałam dosłownie porażona tą literaturą*¹⁹. Teraz przepraszam. Tak, zostałem oszołomiony „Miasteczkiem”.

Jerzy Lengauer

18 G. R. R. Martin, *Taniec ze smokami*, część II, [w:] cykl *Pieśń Lodu i Ognia*, tłum. M. Jakuszewski, Poznań: Zysk i S-ka, 2016, s. 665.

19 A. Maciejowska, dz. cyt., s. 6.

Wokół Kopernika czyli kolejna konstelacja Krzysztofa Beśki

Krzysztof Beśka, *Konstelacja zbrodni*,

Gdańsk: Wydawnictwo Oficynka, 2017

Pisarzy uprawiających gatunek zagadki kryminalnej można moim zdaniem podzielić na co najmniej dwie kategorie. Jedni skupiają się na intrydze i jeśli już drążą jakieś dawne sprawy, to w celu szukania pomysłów sięgają do archiwów policyjnych lub tak zwanych pitavali; są też tacy, którzy, by napisać książkę, muszą otworzyć wiele zakurzonych szuflad, pudełek i segregatorów, by dotrzeć do ważnych dokumentów historycznych i nierzadko artefaktów sprzed kilku wieków, by stworzyć z tego konkretną układankę. Czasem z takich dociekań (co obecnie nie jest rzadkością) powstaje *political fiction* lub zagadka – w przypadku tej ostatniej nie mamy pewności, czy nie zająbia się na przykład z parapsychologią lub psychotroniką. Mimo to w tym drugim wypadku czytelnik uzyskuje dodatkową wiedzę, o ile udaje mu się odzielić fakty od fikcji, a to nie zawsze jest łatwe.

Do drugiej kategorii bez ryzyka zaliczyć można Krzysztofa Beškę – autora nie tylko zagadek kryminalnych, ale również scenarzystę, poetę i dramaturga. Tym razem mamy do czynienia z trzecią częścią przygód dziennikarza-detektywa Tomasza Horna, który

podejmując nową pracę (w poprzedniej powieści stracił posadę w innej redakcji), otrzymuje zadanie napisania kolejnej – by tak rzec – mainstreamowej już relacji. Jednakowoż, jak się należało spodziewać na podstawie poprzednich przygód, nie wszystko się potoczy po jego myśli, a właściwie będzie przebiegało zdecydowanie inaczej. Nawet on sam stanie się ofiarą zręcznie uknutej intrygi...

Na pewno niezawodnym pretekstem do prowadzenia wątku sensacyjno-kryminalnego jest „ożywianie” postaci historycznych. Tym bardziej jeśli w świecie rzeczywistym wokół tej osoby zaczyna się robić jakiś szum w wyniku na przykład intrygującego odkrycia. Czegóż więcej trzeba? Tego rodzaju pretekst stanie się przyczynkiem perypetii Tomasza Horna w kolejnej powieści Krzysztofa Beśki „Konstelacja zbrodni”.

Tytuł jest może dosyć jednoznaczny i raczej trudno go wiązać z powieścią obyczajową, ale w tym wypadku niekoniecznie ma sugerować to, że mocno poleje się krew. Owszem, główny bohater oberwie, podobnie jak i niektóre postaci drugoplanowe. Parę osób zginie w strzelaninach, czytelnik będzie uczestniczył w akcjach służb specjalnych (również na Bałtyku), ale podobnie jak w dwóch poprzednich książkach o przygodach Tomasza Horna najważniejsze będzie rozwiązanie zagadki i jednocześnie zapobieżenie spiskowi uknutemu przez brata jednego z bohaterów. Tyle że jeden z braci jest postacią pozytywną, drugi zaś, niczym mister Hyde – negatywną.

Tym razem nici zagadki sięgają początków XVI wieku i ciągną się do współczesności, w sposób istotny zawiązując się na II wojnie światowej. Bo faktem jest, że w 2004 roku prepozyt archikatedry we Fromborku zaproponuje jednemu z polskich naukowców, by ten zajął się odszukaniem miejsca pochówku Mikołaja Kopernika (wraz z jego zawartością). Zadanie niełatwe, jeśli ma się do dyspozycji około stu innych, niezidentyfikowanych ciał. Pomocna okaże się znaleziona w muzeum w Uppsali należąca do Kopernika księga „Calendarium Romanum Magnum”. Na podstawie badań DNA znalezionych tam włosów wielkiego astronoma w zestawieniu z tym, co odkryto w jednej z trumien, potwierdzono jego tożsamość. Innym dowodem okazało się porównanie konstrukcji znalezionej czaszki z portretami wykonanymi za jego życia.

W 2010 roku sarkofag z odnalezionymi zwłokami autora „O obrotach sfer niebieskich” zawiątał między innymi do Olsztyna i Torunia, by ponownie znaleźć się we Fromborku na ceremonii pogrzebowej. Pomimo tego i innych niezbitych wydawałoby się faktów Krzysztof Beśka nie pozwała Kopernikowi spać spokojnie. Okazuje się bowiem, że pewien przedmiot odkryty przed II wojną światową przez ojca dwóch braci, stojących teraz po przeciwnych stronach barykady, może mieć wpływ na losy świata i to katastrofalny. Rzecz ta ma związek z naszym astronomem. Toteż trzeba ratować światowy pokój i tej misji, chcąc nie chcąc, podejmuje się Tomasz Horn wraz z paleoantropolożką Moniką Lauder. Pomocny okazuje się również zaprzyjaźniony oficer policji.

Szlak Kopernikański staje się miejscem, od którego mogą zależeć losy ludzkości. Zaczynają się zatem poszukiwania i pościgi. By jednak bohaterowie mogli dotrzeć do celu, niezbędne jest odnalezienie pavementum, czyli miejsca, z którego Kopernik dokonywał pomiarów za pomocą kwadrantu. Niczym ostinato co kilka podrozdziałów wracają czasy naszego wielkiego astronoma, co ma swoje uzasadnienie. Dodatkowych emocji dodaje postać egzotycznej Aidy, z którą Mikołaja łączyło uczucie. Kilku sytuacjom towarzyszą nieoczekiwane, trudne do wytłumaczenia zjawiska.

Gdyby ktoś chciał odnotować moment, w którym o pokład uderzyły pierwsze krople deszczu, nie byłby w stanie tego zrobić. Ulewa – i to od razu ściana deszczu, po prostu zjawiała się, tak jak zjawia się zabójca z nożem w ręku w ciemnym zaułku portowego miasta. Woda otaczająca ze wszech stron gruszkowatą skorupę zdawała się wrzeć.

Przez prawie pięćset stron autor umiejętnie i klarownie buduje napięcie, począwszy od wstępu zatytułowanego „Ostium”, rozpoczynającego się od ucieczki więźnia z obozu Stutthofie:

Wtedy, pierwszego września, przyszli po niego wcześniej rano. W mieszkaniu w Langfuhr zostawił wszystko: notatki, książki, cały plon swoich wieloletnich badań. Wywlekli go, tak jak stał, potem zawieźli do Victoriaschule, gdzie znajdowało się już kilkunastu Polaków.

To tyle o treści, by nie narażać się czytelnikom. Całość oczywiście kończy się w sposób zaskakujący, co jest tylko jedną z licznych zalet tej książki. Wśród innych można wymienić choćby sugestywne budowanie nastroju bez natrętnych opisów oraz zróżnicowanie sposobów wypowiedzi bohaterów (co jest niezwykle istotne). Wszak każda grupa społeczna, nawet dziennikarze, operuje nierzadko swoim slangiem.

Ponadto po prześledzeniu dotychczasowych perypetii Tomasza Horna, czyli przeczytaniu „Ornatu z krwi”, „Krypty Hindenburga” i „Konstelacji zbrodni”, możemy się już pokusić o wskazanie pewnych cech wspólnych tych opowieści nawet od strony trochę humorystycznej. Jednym z takich „łączników” jest upodobanie autora do obcojęzycznych nazwisk, jeśli idzie o głównych bohaterów, są to choćby: Horn, Lauber lub Klose. Dodatkowo Tomasz Horn może kojarzyć się z tytułem znanego westernu Williama Wiarda „Tom Horn”.

212

Krzysztof Beśka ma już ugruntowaną pozycję wśród polskich współczesnych autorów literatury sensacyjno-kryminalnej i nie tylko trylogia o Hornie nawiązuje do tego gatunku. Ma za sobą wiele innych powieści, a „Fabryka frajerów” została nagrodzona w 2009 roku Wawrzynem – Literacką Nagrodą Warmii i Mazur oraz dostała rok później nominację do Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta. To sprzyja zaufaniu do twórczości prozatorskiej Krzysztofa Beśki. I słusznie.

Aby miasto stało się idealne...

Ewa Kozłowska, *Krótkie historie*,

Olecko: wydanie własne Ewa Kozłowska, 2016.

Na tę książkę składa się dziewięćdziesiąt pięć krótkich, w większości jedno- lub dwustronicowych tekstów. Mimo to tytuł „Krótkie historie” nie musi być jednoznaczny i nie musi określać treściowej zawartości oraz formy. Przeciwnie, po przeczytaniu książki ten tytuł możemy nawet odebrać jako subtelną prowokację.

Śledzimy bowiem coś w rodzaju spaceru Ewy Kozłowskiej ścieżką rozciągniętą od Olecka do Paryża. Innym razem od pruskich Marggrabowej lub Treuburga również do Paryża, tyle że czasem przez Auschwitz, Sobibór lub Tylżę. Jej obserwacje i zamyślenia są nie tyle próbą oceny czegokolwiek, ale bardziej wynikają z ciekawości oraz chęci zrozumienia warunkowań kierujących społecznościami i jednostkami. Mamy tu jednocześnie autoportret osoby, której życie (mimo jednoznacznie wyartykułowanych niepokojów) w dużej mierze wypełnia radość interpretowania szeroko pojętej kultury, razem ze sztuką, literaturą, historią i filozofią. Pojawiają się w tej książce postaci ważne dla kultury, choćby Montaigne, Olivier Messiaen, znany z pierwszej wystawy impresjonistów

fotograf Felix Nadar czy Hannah Arendt (która dzieciństwo i młodość spędziła właściwie niedaleko od Olecka, bo w Königsbergu).

Są w książce również postaci bardziej znane regionalistom lub olecczanom niż ogółowi, do nich należą między innymi ojciec i syn – Karol Sembrzycki i Jan Karol Sembrzycki, którzy archiwizowali lokalny folklor i opowiadki. Któż natomiast słyszał o urodzonej w Königsbergu Charlotte Jedwabnick, jej fotografię autorka „Krótkich historii” odnalazła w archiwach Mémorial de la Shoah. W tymże archiwum znajduje się również kartka, której nadawcą w 1942 roku była Fejga Szulman.

Wszystkie te ślady to nieliczne zlepki przeszłości, próby utrwalenia obecności osób żydowskiego pochodzenia z Prus Wschodnich – pisze Ewa Kozłowska w historii „Mémorial de la Shoah”. O społeczności żydowskiej traktuje najdłuższa, bo aż kilkunastostronicowa opowieść „Społeczność żydowska w Marggrabowej | Treuburgu”. Tuż po tym tekście znajduje się kolejny, dłuższy szkic „Francuscy jeńcy wojenni w Treuburgu”.

Któż mógł słyszeć o babci Knitt, która mieszkała przed wojną w podoleckich Sedrankach, tam gdzie obecnie przebywa Ewa Kozłowska? Babcia Knitt nie uciekła do Niemiec, kiedy wraz z rodziną opuszczała w 1944 roku rodzinny dom. Została sama w Jakonsdorf (Jokubowie), gdzie podobno zmarła z wycieńczenia.

Podczas pracy nad „Krótkimi historiami” uważnie starałam się obserwować różnorodne światy, w tym w dużej mierze Francję, a szczególnie Paryż, który na równi z Oleckiem jest mi bliski. Często poprzez jego pryzmat patrzyłam na Polskę, Mazury i Olecko, na siebie i ludzi w różnorodnym wieku, różnej kondycji moralnej.

Ewa Kozłowska urodziła się w Olecku, jest romanistką. Studiowała na kilku uczelniach: paryskiej Sorbonie, Uniwersytecie Aix Marseille II i Uniwersytecie Warszawskim. Jest autorką poematów prozą. Jedną z jej ważnych pasji jest fotografia i w tej dziedzinie ma już znaczący dorobek łącznie z wystawami w kraju i za granicą. Jednak byłoby uogólnieniem szukanie szerszej analogii między tą dziedziną twórczości a prozatorskimi historiami Ewy Kozłowskiej. Nie jest bowiem łatwo w fotografii opowiedzieć o syndromie wyparcia w aspekcie „przepisywania” historii zarówno przez historyków, jak i nas samych, od refleksji na ten temat rozpoczyna się pierwsza krótka historia zatytułowana „Olecko – miasto idealne”. Również ten tytuł może być prowokacją, ponieważ autorka tekst kończy zdaniem: *Aby miasto stało się idealne, być może częściej należy się wstydić.*

Oprócz talentów artystycznych Ewa Kozłowska ma w sobie zmysł poszukiwacza, szperacza i archiwisty, gdyż część historii wymagała przewertowania świadectw historycznych, które niekoniecznie znajdują się w oficjalnym obiegu. Jedną z opowieści autorka tak rozpoczyna:

O przeszłości dowiadujemy się czasem z przedziwnych źródeł. Parę lat temu francuskie Archiwa Narodowe odtajniły zbiory policyjne z XIX i początków XX wieku wraz z licznymi fotografiami Alphonsa Bertillon. Alphons Bertillon jako pierwszy zaczął tworzyć fotografie do raportów policyjnych.

Wszystko ma swoją historię, nawet martwe przedmioty, o które się czasem potykamy, choćby kamień; sentymentalne może być grzybobranie; refleksje na temat mazurskich korzeni może rozbudzić hotel w małym bretońskim miasteczku. Nierzadko są to historie zaskakujące swoją oczywistością, której nie udało nam się do tej pory zauważyć, bo znajdowały się... zbyt blisko nas. Bo przecież to powinno być oczywiste, że ser tyłżycki stworzyli menonicy z Prus Wschodnich, a jego wytwarzaniem zajmowali się osadnicy szwajcarscy osiedleni w okolicach Tyłży (dzisiejszy Sowietsk).

Mimo czasem pozornej zdawkowości w „Krótkich opowieściach” przekaz Ewy Kozłowskiej jest niewątpliwie wielowymiarowy, zawierający również niepokój o człowieczą kondycję. Nieco uogólniając – jest to w znacznej mierze rzecz o otwartości na świat, chwilami o skutkach jej braku, co w dużej mierze wynika ze wspomnianego wyparcia i niewiedzy. Refleksję na ten temat znajdziemy w historii „La vie en rose i oświecenie”:

Niektóre środowiska szybko wyciągnęły wnioski z tych wydarzeń i winą za te zamachy obarczają epokę francuskiego oświecenia. Wydaje mi się, że prawda jest inna. To brak jakiegokolwiek oświecenia pcha ludzi w stronę głupoty. Przejawem takiej głupoty jest fanatyzm i to w przypadku każdej religii. Umysł oświecony to umysł uwolniony z wszelkich więzów, zdolny do samodzielnego myślenia. Jakoś mi się wydaje, że po prostu fanatycy to ludzie niezdolni do samodzielnego myślenia, bo można im wmówić wszystko, tym samym są osobami podatnymi na indoktrynację i nienawiść.

Wszak z dawnej pruskiej miejscowości Marggrabowa jest nie więcej niż trzydzieści pięć kilometrów do Elku, gdzie niedawno właściciel kebaba zabił agresywnego gościa, który spowodował rasistowską awanturę. Ale czy owa ofiara wiedziała cokolwiek więcej o zabójcy oprócz tego, że ten jest Arabem?

W tym miejscu gwoli analogii pozwolę sobie przytoczyć mój ulubiony, właśnie zdawkowy, fragment, który może wyrazić więcej niż niejedna uczona rozprawa o tolerancji. Elliot Aronson, przez wielu nazywany ojcem psychologii społecznej, w jednym ze swoich wystąpień wspomina:

Jednym z moich najżywszych wspomnień z dzieciństwa jest wspomnienie, jak siedziałem na krawężniku, opatrując sobie krwawiący nos i rozciętą wargę i zastanawiałem się, jak to się dzieje, że te dzieci mogą mnie tak nienawidzić, chociaż mnie nawet nie znają.

Powstaje pytanie, czy jako jednostka lub społeczność nie powinniśmy się czasem czegoś wstydzić?

Zdawkowość niektórych krótkich historii Ewy Kozłowskiej jest więc tylko pozorna, spod niej niepostrzeżenie do czytelnika dochodzi sygnał przenikający w podświadomość, co niejako uprzedza interpretacyjne zamierzenia odbiorcy. I dobrze, literacki przekaz warto jest czasem odczuwać, niekoniecznie zawsze interpretować.

Mimo różnorodności tematów książka „Krótkie historie” Ewy Kozłowskiej nie jest kolażem. Od początku do końca, niczym delikatna nić, wszystkie historie łączy refleksja o miejscu, tożsamości i wspomnianej przez autorkę kondycji moralnej. Nawet kiedy pisze o „wyłudzacach współczucia” (czyli zespole Münchhausena) albo o historii zegara z zamku w Margrabowej. W przeróżnych kontekstach geograficznych i historycznych autorka prowokuje do ponownego zastanowienia się nad tym, czym jest lokalność, trwałość społecznej integracji, jaka jest rola kultury wysokiej, jak wiele może zależeć od pozornie „małych rzeczy”, a nawet – czym jest pogranicze. Przecież Ewa Kozłowska, jak sama przyznaje, jest obecna duchem zarówno w Olecku, jak i w Paryżu. Ponadto Ewa Kozłowska przekazuje wiedzę o rzeczach, które nie znajdują się na powierzchni historii, otwiera w archiwach szuflady, do których rzadko kto zagląda. Jednocześnie czytanie tej książki daje przyjemność intelektualną.

Natomiast forma tekstów składających się na „Krótkie historie” może przywołać na myśl twórczość Borgesa. Autor „Dalszych dociekań” pisywał programowo wyłącznie krótkie historie będące z jednej strony grą wyobraźni, z drugiej strony były to interpretacje znanych dzieł lub polemiki z nimi. Między innymi w tym kontekście można zadać pytanie Ewie Kozłowskiej: jakie będą jej kolejne książki?

Mirosław Słapik

Idziemy w noc z literkami

Janusz Radwański, *Kalemberek*,

Warszawa: Fundacja Duży Format, 2017

Kalemberek. Od tego kolbuszowskiego przysiółka wzięła swój tytuł książka Janusza Radwańskiego. Takie zakotwiczenie, pieczołowite i dokładne, w miejscu, które autor wybrał, jest od razu rodzajem deklaracji. Stąd będę pisał. I rzeczywiście mamy w jego wierszach szczegóły tego małego świata – drogi, miejsca, sklepy, a także ludzi, w przybliżeniach, w zatrzymaniach, jak w mikrourywku filmu, w kadrze albo na zdjęciu. A jednocześnie zawsze, w każdym wierszu, przywołane są fragmenty bardzo odległego świata – nie tylko w sensie geograficznym. To czasem jakieś odległe krainy, częściej jednak elementy będące tekstami kultury, w szerokim rozumieniu. Na takim rozpięciu, na długiej linii porusza się podmiot wierszy Radwańskiego niczym kosmonauta przyczepiony do statku matki.

217

Zresztą metafory kosmiczne pojawiają się w wierszach na żywo (bez znieczulenia), jak w poruszającym utworze „Łajka”. Czy dzisiaj młodzi ludzie wiedzą, kim była? Ci, co wiedzą, wiedzą więcej, niż można było wiedzieć kiedyś, gdy głowy dziecięce zaprzęta-
no bajkami o zdobyczach radzieckiej kosmonautyki.

Tam nic nie mogło się przecież źle kończyć. Ale tu, teraz, wysłany na orbitę piesek staje się obrazem umierania, w przerażającej samotności, rozpacz i absolutnej – do samego końca – niepojmowalności ludzkiego losu.

*Wiem, że to marna pociecha, ale pani wie
kiedy nasze spojrzenia krzyżują się na czarnym niebie,
to robią to dokładnie w tym miejscu, w którym
w coraz gorętszej kapsule, gdzieś w zimnej przestrzeni,
coraz głośniejszym wyjąć i coraz mniej rozumiejąc,
szamocząc się w pasach, zniknęła Łajka.*

Autor nie zajmuje się jednak eschatologią (ona tylko *rybom śni się*) ani wyjaśnianiem świata. *Umiem już po prostu patrzeć bez zadawania pytań* – pisze w wierszu „Pasiołka blues”. Taka deklaracja zakłada jednocześnie istnienie tych pytań – wcześniej? w innych sytuacjach? w innych miejscach? Czy może przesuwają je na inny poziom, pozostawiając czytelnika z niepokojem, który w nim wywołał. Sobie przeznaczają postawę obserwatora, komentatora rzeczywistości. Przeważnie z dystansem. Jak w utworze „Oda na przejazd OSP Staniszewskie po wygraniu gminnych zawodów pożarniczych”:

*Ja tu pracuję jako cierń. Powołał mnie Pan,
trudno powiedzieć na co. Mogło chodzić o symetrię.*

Bohater Radwańskiego to dlatego trochę błazen, sowizdrzał, trickster. Bo jest razem ze społecznością, w której żyje, a jednak z boku, wydaje się, że wie dużo o świecie, a jednocześnie prezentuje specjalny rodzaj naiwności, która pozwala mu podważać zasady jego funkcjonowania. Ziemia staje się wielkim sercem, które zasysa nas do wnętrza komór, ale jednocześnie *się biedna tłucze między żebrami* („Krótki kurs kuglarstwa dla leworęcznych”). Zapętlenie, bez wyjścia, w systemie krążenia, wzajemnego podtrzymywania się w byciu. Świetna plastyczna scena z tego samego utworu – bohater zabawia dzieci, stawiając na głowie grabie i balansując, by nie spadły (i nie wpadły do oka...) – to jakby egzystencjalny skrót pokazujący (bez?)sens życia. I ustanawiający go jednak, każdym gestem, po trickstersku.

Mamy w wierszach Radwańskiego to, co dobre w poezji: łączenie rzeczy pozornie nielączliwych. Przelamywanie „związku zgody”. Jakby jednocześnie dwie perspektywy: jedną bliską ziemi, realiów codziennego życia, oraz drugą – kosmiczną, a między tymi spojrzeniami utrzymuje się stałe napięcie. I jest jeszcze wiersz o poezji – to przedostatni wiersz zbiorku – w którym poeta układa hipotetyczny monolog wewnętrzny sprzedawcy pełniącego nocny dyżur w aptece. Obok kupujących prezerwatywy i testy ciężowe jest bowiem jeszcze bohater, który potrzebuje żelek w kształcie literek.

*Chciałem go posłać w cholerę razem z typami od gumek i ciężowych testów,
przecież to nie jest sprawa życia ani śmierci, ale pomyślałem, że jak mu dzieciak
wierci o literki dziurę w brzuchu, to niech ma, niech idzie w noc z literkami.
niech jego jazda ma więcej sensu, niż na co dzień mamy, niech sens ma wreszcie
czyjaś pokręcona jazda, niech facet jedzie, niech pełny gaz da, niech jego życie,
przez chwilę coś waży, choć tyle, ile napis z literek, który dzieciak rano wymaże.*

Paradoksalnie, wszystkie te nocne apteczne sprawy – to sprawy życia i śmierci. A między nimi literki, dzięki którym miewa sens nasza pokręcona jazda.

To jedna z mocniejszych apologii poezji, jakie zdarzyło mi się czytać.

Anna Matysiak

POŻEGNANIE



Autorki, Autorzy, Czytelniczki, Czytelnicy, Sympatycy „Borussii”!
Drodzy Przyjaciele z Zespołu oraz Rady Redakcyjnej,
Członkinie i Członkowie Stowarzyszenia!

Oto macie przed sobą ostatni (zresztą mniejszy niż zazwyczaj) sześćdziesiąty zeszyt nieregularnika „BORUSSIA. Kultura. Historia. Literatura”. Oto mija 26 lat historii naszej pasji redakcyjnej, 26 lat ogromnego zapału, emocji, twórczego fermentu, stresu, wysiłku i nieustannej obawy dotyczącej finansowego utrzymania naszego periodyku. Nie udało nam się stworzyć formalnej redakcji, nie udało nam się w końcu przekonać żadnych władz (czy to lokalnych, czy krajowych) o niezbędności regularnego wydawania regionalno-universalnego periodyku, który miał stać się (wierzymy, że jednak tak się stało!) pracownią nowoczesnego, postępowego myślenia oraz oryginalnej twórczości w konkretnym miejscu na Warmii i Mazurach, w demokratycznej Polsce, w pokojowej i zjednoczonej Europie. Ufamy, że te 60 zeszytów, nie zawsze doczytanych przecież, przejdzie do dobrej tradycji dla tych, którzy nas zastąpią na dalszej drodze (misji?) do popularyzowania humanistycznych wartości obywatelskich. Prawdą również jest i to, że przychodzi taki czas, kiedy i wypada, i trzeba zamknąć pewną historię reprezentowaną przez konkretne nazwiska, wydarzenia, propozycje. Tak właśnie postanowiliśmy definitywnie jako redaktorzy postąpić.

Od strony redaktorskiej naszą 26-letnią historię można podzielić na trzy etapy: „inicjacyjno-heroiczny”, kiedy ciężar obowiązków wypełniał całkowicie w latach 1991-1997 poeta i eseista Kazimierz Brakoniecki; „dojrzały” (1998-2013) – spełniony kierownictwem redakcyjnym pod egidą historyka Roberta Traby, oraz ten trzeci i najkrótszy (nazwać go można „schyłkowym”) w latach 2014-2017, kiedy wspólnie redagowaliśmy w coraz gorszych warunkach finansowych nasz periodyk przekształcony w półrocznik – oczywiście z wydatną pomocą (zmieniającego się) zespołu redakcyjnego oraz Rady Redakcyjnej. Dziękujemy Wam za to wszystkim przyjacielsko od serca.

Dziękujemy szanownym i drogim nam Autorkom, Autorom (którym ostatnio przestaliśmy płacić nawet zwyczajowe grosze!), Czytelnikom, Sympatykom, Przyjaciołom pisma, stowarzyszenia i w ogóle naszego regionalnego ruchu demokratycznego, który powstał jesienią 1990 roku na fali przemian

ustrojowych. Stowarzyszenie oraz Fundacja Wspólnota Kulturowa „Borussia” pozostają i będą dalej pięknie i skutecznie pracować w siedzibie Domu Mendelsohna w Olsztynie, i tam też kontynuowane będą prace, wydarzenia kulturalne, społeczne, intelektualne służące ideom sprawiedliwego i obywatelskiego rozwoju naszego regionu oraz wolnego i demokratycznego społeczeństwa.

Myśl uniwersalnie, działaj lokalnie!

Ojczyzną człowieka jest drugi człowiek!

Kazimierz Brakoniecki, Robert Traba

„BORUSSII” na Do widzenia...

Żał mi „Borussii”, z którą byłem zawsze jakoś blisko od początku jej istnienia. To była pierwsza w regionie trybuna wymiany myśli i idei, prezentacji lokalnej, regionalnej i uniwersalnej twórczości... Rzecz nie do przecenienia. W dużej mierze pełniła też rolę edukacyjną – w duchu wielokulturowości, tolerancji i nowocześnie pojmowanego humanizmu. Zdaję sobie też sprawę z tego, iż było to pismo elitarne, niedocierające do szerokiego, masowego kręgu odbiorców, zarówno ze względu na niski nakład, jak i hermetyczną w pewien sposób, niestrawialną dla przeciętnego odbiorcy zawartość. Trudno, jeśli chce się zadowolić wszystkich – praktycznie nie zadowala się nikogo. A elity, pomimo istnego rozpasania głupstwa demokracji, są niezwykle ważne. Powtórzę za Tadeuszem Fijewskim frazę z filmu „Kalosze szczęścia”: *Ludzie! Demokracja to lipa!*

Dzięki „Borussii” udało mi się poznać wielu wspaniałych, mądrych i otwartych ludzi. To jest dla mnie duża wartość, bo nasz peryferyjny region nie wykazuje się zbytnim nadmiarem takich osób. A przynajmniej tak mi się wydawało przed podjęciem współpracy z pismem i stowarzyszeniem. No, być może powrócę do tego, błędnego oczywiście, mniemania...

Podobno w przyrodzie, której częścią jesteśmy, nie występuje próżnia. Jeśli coś się kończy, co innego się zaczyna. Wiem, co się kończy... Jeszcze nie bardzo się orientuję, co może się zacząć. Jakbyście coś wiedzieli – dajcie mi znać.

OSTATNIA
STRONA
BORUSSII

KULTURA • LITERATURA • HISTORIA • OLSZTYN • 1/1991

BORUSSIA



O projekcie I. Kanta „Ku wiecznemu pokojowi”

Mazurzy, Warmiacy, Polacy, Niemcy, Ukraińcy
na Warmii i Mazurach

Polacy w ZSRR w okresie międzywojennym

Poezja polska i niemiecka

BORUSSIA
WSPÓLNOTA KULTUROWA

Adres do korespondencji:

Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”
ul. Zyndrama z Maszkowic 2 | 10-133 Olsztyn
tel./fax 89 534 00 26
www.borussia.pl



Cena 15,00 zł